

DANIEL TAMMET

Urodziłem się
pewnego
błękitnego
dnia

Pamiętniki nadzwyczajnego umysłu
z zespołem Aspergera



Daniel Tammet

Urodziłem się pewnego błękitnego dnia
Pamiętniki nadzwyczajnego umysłu z zespołem Aspergera

Przełożyła Małgorzata Mysiorska



Wołowiec 2018

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Tytuł oryginału angielskiego *Born on a Blue Day. A Memoir of Asperger's and an Extraordinary Mind*

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka

Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl

Copyright © by Daniel Tammet, 2006

First published in Great Britain in 2006 by Hodder & Stoughton. A division of Hodder Headline.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarne, 2010

Copyright © for the Polish translation by Małgorzata Mysiorska, 2010

Redakcja Magdalena Pabich

Korekta Magdalena Kędzierska / d2d.pl, Zuzanna Szatanik / d2d.pl

Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl

Skład Zuzanna Szatanik / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8049-724-5

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Podziękowania

Słowo wstępne doktora Darolda Trefferta

Słowo wstępne profesora Simona Barona-Cohana

1 Niebieskie dziewiątki i czerwone słowa

2 Najmłodsze lata

3 Rażony piorunem: epilepsja

4 Lata szkolne

5 Inny niż wszyscy

6 Lata młodości

7 Bilet do Kowna

8 Miłość

9 Dar języków

10 Duża porcja liczby pi

11 Spotkanie z Kimem Peekiem

12 Rejkiawik, Nowy Jork, dom

Przypisy

Kolofon

Moim rodzicom, za to, że pomogli mi stać się tym, kim dziś jestem, oraz Neilowi, za to, że jest zawsze, gdy go potrzebuję

Podziękowania

Dziękuję następującym osobom, bez których ta książka nigdy by nie powstała:

Moim rodzicom, Jennifer i Kevinowi, za całą ich miłość i cierpliwość oraz za wszystko, czego mnie nauczyli

Moim braciom – Lee, Stevenowi i Paulowi – oraz siostram: Claire, Marii, Natashy, Annie-Marie i Shelley – za ich miłość i zrozumienie

Rehanowi Qayoomowi – mojemu najlepszemu przyjacielowi z lat szkolnych

Elfriede Corkhill – mojej ulubionej nauczycielce

Ianowi i Elaine Moore’om, Ianowi i Anie Williamsom oraz Olly’emu i Ashowi Jeffery – moim najbliższym przyjaciółom

Birutė Ziliene – osobie, o której myślę, gdy wspominam czas spędzony na Litwie

Sigriður Kristinsdóttir – mojej nauczycielce islandzkiego

Suzy Seraphine-Kimel i Julianowi Chaumonowi – za ich pomoc przy stronie Optimnem.co.uk

Martinowi, Steve’owi, Toby’emu, Danowi i Nicoli – zespołowi, który stworzył film dokumentalny *Geniusz pamięci (Brainman)*

Rowenie Webb, Helen Coyle i Kerry’emu Hoodowi z wydawnictwa Hodder za ich wskazówki i pomoc przy tej książce

W końcu mojemu partnerowi Neilowi za bycie sobą

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Właścicielem tej kopii jest Magdalena Foryś, Gabinet Terapii
Wspomagających Magdalena Foryś

Słowo wstępne doktora Darolda Trefferta

Jest to zwięzła książka o bardzo rozległym umyśle. Nie opowiada ona jednak tylko o umyśle Daniela Tammeta, ale również o jego świecie. Oba są warte poznania.

Fenomenalne zdolności liczbowe Daniela zadziwią każdego. Jeśli poprosisz go o podniesienie 37 do czwartej potęgi, prawie natychmiast poda ci wynik: 1 874 161. Poproś o podzielenie 13 przez 97, a jeśli chcesz, poda odpowiedź z dokładnością do ponad stu miejsc po przecinku. Natychmiast i bez wysiłku prześciga zwykły kalkulator. Aby sprawdzić, czy ma rację, potrzeba komputera. A oczywiście ma rację. Następna sprawa to jego zdolność opanowania nowego języka – gramatyki, odmiany i rozumienia – w jedyne siedem dni. Film dokumentalny *Geniusz pamięci (Brainman)*, po raz pierwszy wyświetlony w Wielkiej Brytanii w 2005 roku, pokazuje, jak Daniel uczy się języka islandzkiego w tak krótkim czasie i występuje w islandzkiej telewizji, udziela na żywo wywiadu w nowo poznanym języku, żywo dyskutując z prowadzącymi.

Jednak najbardziej interesuje mnie nie to, co Daniel tak niesamowicie potrafi robić, ale raczej jego umiejętność wytłumaczenia, jak to robi. To, by sawant sam objaśniał swoje zdolności, jest niezwykle rzadkie, a właściwie prawie się nie zdarza. W większości książek to inni piszą o wyjątkowych umiejętnościach sawantów, a nie oni sami o sobie. Daniel, wyjątkowo, daje nam niezwykle wnikliwy opis swoich zdolności umysłowych. Tę relację możemy teraz powiązać z medycznymi badaniami obrazowymi i testami neuropsychologicznymi, co zaczęto już robić, i w ten sposób otrzymamy rzadką możliwość, by lepiej zgłębić to trudne zagadnienie – jak oni to robią?

Interesujące są jednak również inne kwestie. Synestezja Daniela, którą tak bogato opisuje, jest wyjątkowa z tego względu, że poszczególne liczby – każdą do 10 000 – „widzi” nie tylko jako oddzielny kolor, ale także jako kształt, fakturę, ruch, a czasem nawet emocjonalny „odcień”. Wykonując

skomplikowane obliczenia, dosłownie „dostrzega” odpowiedź w głowie, nie napisaną w postaci liczby, jak w książce telefonicznej, ale jako połączenie tych kształtów, kolorów i form w nowe kształt, kolor i formę, będące „odповідzią”.

Daniel mówi nam, że synestezja pojawiła się u niego po serii ataków epileptycznych w dzieciństwie. Moim zdaniem zalicza go to do kategorii „nabytego” zespołu sawanta – ludzi, którzy wykształcili umiejętności sawanta, czasem na fantastycznym poziomie, w konsekwencji jakiegoś urazu centralnego układu nerwowego, choroby lub zaburzenia. „Nabyty” syndrom sawanta stawia ważne pytanie o ukryty potencjał, być może drzemiący w nas wszystkich, oraz o to, jak uwolnić ten potencjał bez traumatycznych zdarzeń. Poprzez bliższe poznawanie Daniela – w czym on sam bardzo chętnie uczestniczy – możemy zbliżyć się do chwili, gdy potrafimy obudzić „małego Rainmana”, który być może istnieje w każdym z nas.

Stwierdzono również, że Daniel jest wysokofunkcjonującą osobą z autyzmem lub z zespołem Aspergera – o czym otwarcie pisze. Jednak w przeciwieństwie do tych wyraźnych symptomów i zachowań, które przejawiał jako dziecko, obecne życie Daniela, jego samodzielność przemawiają za stwierdzeniem, że częściowo „wyrósł” z autyzmu. Taki postęp w miarę upływu lat zdarza się, na szczęście, także w przypadku innych ludzi ze spektrum zaburzeń autystycznych. Częściowa poprawa stanu Daniela sprawiła, że zrodziła się w nim wypływająca z serca życiowa misja: zainspirować innych ludzi cierpiących na epilepsję lub zespół Aspergera przez pokazanie na własnym przykładzie, że takie choroby nie zawsze muszą być przeszkodą w rozwoju i wykorzystywaniu swoich możliwości. Jego misja jest wyraźnie określona – uczynić świat „bardziej przyjaznym miejscem” dla ludzi z takimi problemami.

Pierwszy raz spotkałem Daniela w Milwaukee w spektakularnym pod względem architektonicznym Muzeum Sztuki, pełnym intensywnych kolorów i robiących ogromne wrażenie wizerunków. Była to doskonała sceneria. Różnokształtna, wielowymiarowa i wielobarwna strzelista rzeźba z mnóstwem szklanych elementów pomogła mi zwizualizować sobie

niektóre z wyrazistych obrazów myślowych, o których opowiadał mi Daniel.

Daniel jest elokwentnym człowiekiem o łagodnym głosie, miłym, uprzejmym, delikatnym i skromnym. Również to, co pisze, jest takie. Jego plany na przyszłość obejmują dalszą pomoc organizacjom dobroczynnym, takim jak brytyjskie Narodowe Stowarzyszenie na rzecz Autyzmu (National Autistic Society) i Narodowe Stowarzyszenie na rzecz Epilepsji (National Society for Epilepsy). Jest znany, a to na całym świecie pomaga mu realizować ten szczytny cel. Chce również kontynuować pracę z naukowcami nad bardziej szczegółowym badaniem jego niezwykłych zdolności. Pragnie także promować różne sposoby nauki, zwłaszcza wykorzystujące środki wizualne, które często znacznie ułatwiają zrozumienie ludziom ze spektrum zaburzeń autystycznych, a w konsekwencji pomagają też w ich nauczaniu.

W życiu osobistym jego cele są takie jak większości z nas – budować bliskość w związkach z partnerami, rodziną i przyjaciółmi. Pragnie również poszukiwać tych rzadkich, lecz cennych chwil spokoju i spełnienia, które opisuje w ostatnich akapitach książki, i rozkoszować się nimi. Są to „niebiańskie” chwile.

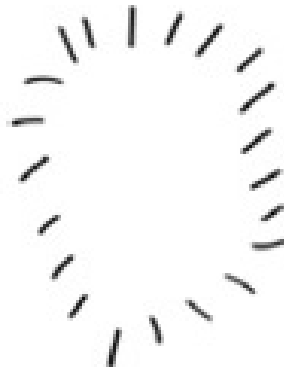
Daniel mówi, że zaprzyjaźnił się z liczbami. Rzeczywiście, we wczesnym dzieciństwie były one jego jedynymi przyjaciółmi. Teraz jednak Daniel szuka nowych przyjaźni i zawiera je dosłownie na całym świecie. Przyjaźń działa wszakże w obie strony. Czytelnik odkłada więc książkę Daniela – a przynajmniej mnie się to zdarzyło – z uczuciem, że dzięki jego otwartości, szczerości i łatwości nawiązywania kontaktu również znalazł nowego przyjaciela.

dr med. Darold A. Treffert

Konsultant naukowy filmu *Rain Man*

Słowo wstępne profesora Simona Barona-Cohana

Jak często się zdarza, by ktoś miał synestezję? Występuje ona u mniej niż jednego procenta populacji. A jak często się zdarza, by ktoś miał spektrum zaburzeń autystycznych? I na tę chorobę cierpi poniżej jednego procenta populacji. U Daniela Tammeta występują oba zaburzenia i jeśli założymy, że są one niezależne, to prawdopodobieństwo posiadania zarówno synestezji, jak i autyzmu, jest znikome – mniej więcej jeden do dziesięciu tysięcy. W tej książce, swojej pierwszej, Daniel opowiada ciekawie i szczegółowo historię swojego życia – od dzieciństwa, gdy zawsze czuł się outsiderem, do wieku dorosłego, gdy obok wielu innych niezwykłych osiągnięć, ustanawia brytyjski i europejski rekord w recytowaniu z pamięci cyfr stałej matematycznej pi do 22 514 miejsc po przecinku. Inne jego talenty to zdolność swobodnego opanowywania obcych języków, a nawet stworzenie własnego języka. Czy jego uzdolnienia są wynikiem występowania tych dwóch rzadkich stanów u jednej osoby? Synestezja daje mu pamięć o bogatej fakturze, wspomagana przez wiele zmysłów, a autyzm – wąskie skupienie na porządku liczbowym i składniowym. Książka, która w rezultacie powstała, jest historią niezwykłego i inspirującego życia.



Niebieskie dziewiątki i czerwone słowa

Urodziłem się 31 stycznia 1979 roku – w środę. Wiem, że to była środa, ponieważ ta data jest dla mnie niebieska, a środy zawsze są niebieskie, podobnie jak cyfra dziewięć i podniesione głosy w czasie kłótni. Lubię swoją datę urodzenia, ponieważ większość liczb, które w niej występują, widzę jako gładkie i okrągłe kształty, podobne do otoczków na plaży. To dlatego, że są one liczbami pierwszymi: 31, 19, 197, 97, 79 i 1979 są podzielne tylko przez siebie i przez jeden. Rozpoznaję wszystkie liczby pierwsze aż do 9973 po ich „otoczkowatym” charakterze. Po prostu tak pracuje mój mózg.

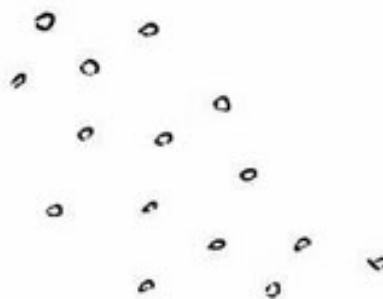
Cierpię na rzadki stan zwany syndromem sawanta – prawie nikt o nim nie słyszał aż do momentu, gdy aktor Dustin Hoffman przedstawił go w nagrodzonym Oscarem filmie *Rain Man* z 1988 roku. Podobnie jak postać grana przez Hoffmana, Raymond Babbitt, mam niemal obsesyjną potrzebę porządku i rutyny, co wpływa praktycznie na każdy aspekt mojego życia. Na przykład, każdego ranka na śniadanie zjadam dokładnie 45 gramów owsianki, dla pewności ważę miskę na wadze elektrycznej. Następnie przed wyjściem z domu liczę, ile sztuk odzieży mam na sobie. Denerwuję się, jeśli nie mogę wypić herbaty o tej samej porze każdego

dnia. Kiedy jestem zestresowany i mam problemy z oddychaniem, zamykam oczy i liczę. Myślenie o liczbach pomaga mi się uspokoić.

Liczby są moimi przyjaciółmi i nigdy mnie nie opuszczają. Każda jest wyjątkowa i ma własną osobowość. Jedenaście jest przyjazne, pięć głośne, a cztery ciche i nieśmiałe – to moja ulubiona cyfra, może dlatego, że przypomina mi mnie samego. Jedne są duże: 23, 667, 1179; a inne małe: 6, 13, 581. Niektóre są piękne, jak 333, a inne brzydkie, jak 289. Dla mnie każda cyfra i liczba jest wyjątkowa.

Niezależnie od tego, dokąd idę i co robię, nie przestaję myśleć o liczbach. W rozmowie z gospodarzem talk-show Davidem Lettermanem w Nowym Jorku powiedziałem mu, że wygląda jak liczba 117 – chuda jak patyk. Później, na Times Square, którego nazwa słusznie odnosi się do liczb^[1], spojrzałem w górę na piętrzące się tam wieżowce, i poczułem się otoczony dziewiątkami, najbardziej kojarzącymi mi się z ogromem.

Uczeni nazywają moje wzrokowe, emocjonalne odbieranie liczb synestezją, czyli rzadkim neurologicznym łączeniem wrażeń zmysłowych, najczęściej dającym zdolność widzenia koloru liter i / lub liczb. Moja synestezja jest niespotykana i złożona, dzięki niej widzę kształt, kolor, fakturę i ruch liczb. Na przykład jeden jest lśniąco białe, jak gdyby ktoś zaświecił mi latarką w oczy. Pięć jest jak uderzenie pioruna lub huk fal rozbijających się o skały. Trzydzieści siedem jest grudkowate jak owsianka, a osiemdziesiąt dziewięć kojarzy mi się z prószącym śniegiem.



Najbardziej znany przypadek synestezji to prawdopodobnie opisywany przez rosyjskiego psychologa A. R. Łurę na przestrzeni trzydziestu lat, poczynając od lat dwudziestych XX wieku, obdarzony fenomenalną pamięcią dziennikarz o nazwisku Szereszewski. „S”, jak nazywał go Łuria w swoich notatkach do książki *O pamięci, która nie miała granic*, miał obrazową pamięć, która pozwalała mu „widzieć” słowa i liczby jako różne kształty i kolory. „S” potrafił, przyglądając się przez trzy minuty pięćdziesięcioelementowej macierzy, powtórzyć jej elementy zarówno zaraz po fakcie, jak i wiele lat później. Łuria przypisywał niezwykłą krótko- i długotrwałą pamięć Szereszewskiego jego synestezyjnym doświadczeniom.

Wykorzystując swoje własne doświadczenia synestezyjne już od wczesnego dzieciństwa, dorastałem z umiejętnością pracy i wykonywania obliczeń na wielkich liczbach w pamięci bez żadnego świadomego wysiłku, tak jak filmowy Raymond Babbitt. Prawdę mówiąc, jest to zdolność, którą posiada także kilku innych żyjących sawantów (czasem określanych mianem „błyskawicznych kalkulatorów”). Doktor Darold Treffert, lekarz z Wisconsin i czołowy badacz syndromu sawanta, w swojej książce *Extraordinary People* podaje przykład niewidomego człowieka „zdolnego do przeprowadzania obliczeń w sposób niemal cudowny”:

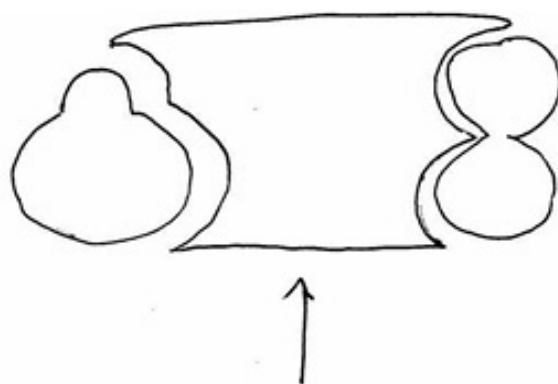
Gdy zapytano go, ile ziaren kukurydzy znajdzie się w którymś z 64 pudełek, jeśli w pierwszym jest jedno, w drugim dwa, w trzecim cztery, w czwartym osiem itd., podał odpowiedzi dla pudełka czternastego (8192), osiemnastego (131 072) i dwudziestego czwartego (8 388 608) natychmiast, a dla czterdziestego ósmego (140 737 488 355 328) po 6 sekundach. Po 45 sekundach podał także poprawnie sumę ziaren we wszystkich 64 pudełkach (18 446 744 073 709 551 616).

Moje ulubione operacje na liczbach to podnoszenie do potęgi, czyli mnożenie liczby przez nią samą określoną liczbę razy. Pomnożenie liczby przez nią samą nazywa się podniesieniem do kwadratu. Na przykład, 72 do kwadratu to $72 \times 72 = 5184$. W moim umyśle kwadraty liczb są zawsze symetrycznymi kształtami, dlatego uważam je za wyjątkowo piękne. Pomnożenie tej samej liczby przez siebie trzy razy nazywa się podniesieniem do sześcianu lub do trzeciej potęgi. 51 do sześcianu lub do

trzeciej potęgi to $51 \times 51 \times 51 = 132\,651$. Każdy wynik podnoszenia do potęgi widzę oczami umysłu jako charakterystyczny wizualny wzór. W miarę jak obliczenia i ich wyniki rosną, kształty i kolory w mojej głowie stają się coraz bardziej złożone. 37 do potęgi piątej – $37 \times 37 \times 37 \times 37 \times 37 = 69\,343\,957$ – widzę jako duży okrąg złożony z mniejszych okręgów poruszających się w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara.

Kiedy dzielę jedną liczbę przez drugą, w głowie widzę spiralę obracającą się w dół coraz większymi pętłami, które zdają się odkształcać i wyginać. Różne operacje dzielenia dają różne rozmiary spiral ze zmieniającymi się krzywiznami. Dzięki mentalnym obrazom potrafię podać wynik dzielenia $13 \div 97$ (0,1340206...) do niemal setnego miejsca po przecinku.

Podczas liczenia nigdy nic nie zapisuję, ponieważ zawsze potrafiłem dodawać w pamięci i jest mi o wiele łatwiej zobaczyć odpowiedź dzięki synestezyjnym kształtom, niż wykonywać dodawanie pod kreską, którego nauczały nasze szkolne podręczniki. Przy mnożeniu widzę dwie liczby jako oddzielne kształty. Obraz się zmienia i powstaje trzeci kształt – prawidłowa odpowiedź. Ten proces zajmuje kilka sekund i zachodzi samoistnie. To jak wykonywanie działań bez konieczności myślenia.



53

6943

131

Na rysunku powyżej mnożę 53 przez 131. Widzę obie liczby jako unikalne kształty i umieszczam je w przestrzeni naprzeciw siebie. Przestrzeń,

powstała pomiędzy dwoma kształtami, tworzy trzeci kształt, który jest dla mnie nową liczbą: 6943, wynikiem mnożenia.

Różne zadania wymagają różnych kształtów, a oprócz tego określone liczby wywołują we mnie rozmaite odczucia i emocje. Za każdym razem, gdy mnożę przez jedenaście, czuję, jak liczby staczają się w dół w mojej głowie. Najciężiej zapamiętać mi szóstki, ponieważ są dla mnie maleńkimi czarnymi kropkami bez żadnego szczególnego kształtu czy faktury. Określiłbym je jako małe szparki lub dziurki. Każda liczba do 10 000 wywołuje u mnie wizualne i czasem emocjonalne reakcje – to tak, jakbym miał swój własny wizualny liczbowy słownik. I podobnie jak poeta dobiera słowa, tak ja uważam pewne kombinacje cyfr za piękniejsze od innych: jedyńki pasują do ciemniejszych cyfr, jak ósemki i dziewiątki, ale już nie tak dobrze do szóstek. Numer telefonu z sekwencją 189 jest o wiele piękniejszy niż numer z sekwencją 116.

Ten estetyczny wymiar mojej synestezji ma swoje wady i zalety. Jeśli na sklepowej etykiecie z ceną lub na samochodowej tablicy rejestracyjnej zobaczę wyjątkowo piękną dla mnie liczbę, przechodzi mnie dreszcz podekscytowania i przyjemności. Z drugiej strony, jeśli liczby nie pasują do tego, jak ich doświadczam – na przykład cena 99 pensów na etykiecie ma kolor czerwony lub zielony (zamiast niebieskiego) – denerwuje mnie to i jest dla mnie nieprzyjemne.

Nie wiadomo, ilu sawantom doświadczenia synestezyjne pomagają w dziedzinach, w których są wybitni. Jedną z przyczyn jest to, że podobnie jak Raymond Babbitt, wielu z nich jest poważnie upośledzonych umysłowo i / lub fizycznie, przez co nie mogą wytłumaczyć innym, w jaki sposób robią to, co robią. Ja mam to szczęście, że nie cierpię na żadne z najcięższych zaburzeń, które często towarzyszą zdolnościom takim jak moje.

Jak większość osób z syndromem sawanta mam również spektrum zaburzeń autystycznych. Cierpię na zespół Aspergera, stosunkowo łagodną formę autyzmu, która w Wielkiej Brytanii dotyka średnio jedną na 300 osób. Z badania przeprowadzonego w 2001 roku przez brytyjskie Narodowe Stowarzyszenie na rzecz Autyzmu wynika, że prawie połowie

wszystkich dorosłych ludzi z zespołem Aspergera nie stawia się diagnozy przed szesnastym rokiem życia. Ja usłyszałem ostateczną diagnozę w wieku dwudziestu pięciu lat, po testach i rozmowach w Autism Research Centre w Cambridge.

Autyzm, łącznie z zespołem Aspergera, definiuje się jako zaburzenia interakcji społecznej, komunikacji i twórczego myślenia (są to na przykład problemy z myśleniem abstrakcyjnym lub kreatywnym oraz empatią). Diagnoza nie jest łatwa i nie można jej postawić na podstawie badań krwi czy skanu mózgu, lekarze muszą obserwować zachowanie danej osoby i zbadać historię jej rozwoju od niemowlęstwa.

Osoby z zespołem Aspergera często mają niezwykle talent językowy i są w stanie stosunkowo normalnie żyć. Wiele z nich ma wyższy od przeciętnego iloraz inteligencji i wybitne zdolności w dziedzinach związanych z logicznym i obrazowym myśleniem. Podobnie jak inne formy autyzmu, zespół Aspergera o wiele częściej dotyka mężczyzn niż kobiety (około 80 procent osób z autyzmem i 90 procent osób, u których zdiagnozowano zespół Aspergera, to mężczyźni). Charakterystyczną cechą osób dotkniętych tymi zaburzeniami jest koncentrowanie się na jednym celu, a także silna potrzeba analizowania szczegółów oraz rozpoznawania reguł i porządku w systemach. Takie osoby często mają wyspecjalizowane umiejętności związane z pamięcią, liczbami i matematyką. Nie wiadomo na pewno, co sprawia, że ktoś ma zespół Aspergera, ale jest to choroba wrodzona.

Od kiedy pamiętam, doświadczałem liczb tak jak teraz, w sposób wizualny, synestezyjny. Liczby to mój pierwszy język, w którym często myślę i czuję. Bywa, że ciężko mi zrozumieć emocje lub na nie zareagować, więc zwykle odwołuję się do liczb. Jeśli przyjaciel mówi, że jest smutny lub przygnębiony, wyobrażam sobie, że siedzę w ciemnej otchłani szóstki, aby doświadczyć podobnego uczucia i je zrozumieć. Jeśli w jakimś artykule czytam, że ktoś czuł się czymś przytłoczony, to wyobrażam sobie, że stoję obok dziewiątki. Za każdym razem, gdy ktoś opisuje pobyt w pięknym miejscu, przywołuję swoje liczbowe krajobrazy

i uczucie szczęścia, które we mnie budzą. W ten sposób liczby faktycznie przybliżają mnie do rozumienia innych ludzi.

Czasem ludzie, których spotykam po raz pierwszy, przypominają mi określoną liczbę i dzięki temu czuję się swobodnie w ich towarzystwie. Bardzo wysocy ludzie przypominają mi dziewiątkę, a okrągli trójkę. Gdy jestem nieszczęśliwy, zaniepokojony lub znajdę się w nowej sytuacji (wtedy istnieje większe prawdopodobieństwo, że będę zestresowany lub skrepowany), liczę sobie. Liczby mnie uspokajają, tworząc w moim umyśle spójne obrazy i wzory. Mogę się wtedy odprężyć i zmierzyć z każdą sytuacją, w której się znajduję.

W dobry nastrój zawsze wprawia mnie myślenie o kalendarzach, o tych wszystkich liczbach i porządku w jednym miejscu. Różne dni tygodnia wywołują w mojej głowie różne barwy i emocje: wtorki są ciepłymi kolorami, a czwartki są kędzierzawe. Sawanci często mają zdolności do obliczeń kalendarzowych – umieją powiedzieć, na który dzień tygodnia przypadała lub przypadnie określona data. Myślę, że może to wynikać z faktu, iż liczby w kalendarzu są przewidywalne, a związane z nimi dni i miesiące tworzą określony porządek. Na przykład, trzynasty dzień miesiąca zawsze jest dniem tygodnia dwa dni wcześniejszym niż pierwszy dzień tego miesiąca, a niektóre miesiące – z wyjątkiem lat przestępnych – „naśladują” inne – styczeń i październik, wrzesień i grudzień oraz luty i marzec (pierwszy lutego wypada w ten sam dzień tygodnia, co pierwszy marca). Jeśli więc dla danego roku pierwszy lutego ma dla mnie kędzierzawą fakturę (czwartek), to trzynasty marca będzie ciepłym kolorem (wtorek).

W książce *Mężczyzna, który pomylił swoją żonę z kapeluszem* pisarz i neurolog Oliver Sacks na przykładzie cierpiących na ciężką formę autyzmu bliźniaków Johna i Michaela pokazuje, na jak wysoki poziom niektórzy sawanci potrafią wznieść obliczenia kalendarzowe. Bliźniacy nie byli w stanie zadbać o siebie (od siódmego roku życia przebywali w zakładach opiekuńczych), ale potrafili podać dzień tygodnia dla każdej daty z okresu 40 000 lat.

Sacks opisuje również, jak John i Michael godzinami grali w grę, w której przerzucali się wzajemnie liczbami pierwszymi. Podobnie jak bliźniaków, mnie też zawsze fascynowały liczby pierwsze. Każdą liczbę pierwszą widzę jako gładki kształt, odróżniający się od kształtów liczb złożonych (nie pierwszych), które są bardziej ziarniste i mniej się wyróżniają. Za każdym razem, gdy określę, że jakaś liczba jest liczbą pierwszą, w mojej głowie (w przedniej centralnej części) powstaje wrażenie, które ciężko opisać słowami. To wyjątkowe uczucie, jak gdybym nagle poczuł mrowienie.

Czasem zamykam oczy i wyobrażam sobie pierwsze trzydzieści, pięćdziesiąt, sto liczb tak, jak doświadczam ich przestrzennie, synestezycznie. Wtedy okiem umysłu widzę, jak piękne i wyjątkowe są liczby pierwsze przez to, że zdecydowanie wyróżniają się wśród kształtów innych liczb. To właśnie dlatego patrzę na nie, patrzę i patrzę, i nie mogę oderwać wzroku, każda liczba jest tak inna od liczby przed nią i liczby po niej. Ich osamotnienie pośród innych sprawia, że są dla mnie tak wyjątkowe i ciekawe.

Czasem, gdy zasypiam wieczorem, mój umysł nagle napęłnia się jasnym światłem i przed oczami gwałtownie przepływają mi liczby, setki, tysiące liczb. To piękne i kojące doświadczenie. Czasem w nocy, gdy nie mogę zasnąć, wyobrażam sobie, że spaceruję wśród swoich liczbowych krajobrazów. Wtedy czuję się bezpieczny i szczęśliwy. Nigdy się nie gubię, ponieważ kształty liczb pierwszych wskazują mi drogę.

Również matematycy poświęcają wiele czasu liczbom pierwszym, częściowo dlatego że nie ma szybkiej lub prostej metody sprawdzenia, czy liczba jest liczbą pierwszą. Najbardziej znana metoda to sito Eratostenesa, której nazwa pochodzi od imienia starożytnego greckiego uczonego Eratostenesa z Cyreny. Sito działa następująco: zapisz liczby, które chcesz sprawdzić, na przykład od 1 do 100. Zaczynij od liczby 2 (1 nie jest ani liczbą pierwszą, ani złożoną) i wykreśl każdą jej wielokrotność: 4, 6, 8... aż do 100. Następnie przejdź do 3 i wykreśl każdą wielokrotność: 6, 9, 12..., potem przejdź do 4 i wykreśl każdą wielokrotność: 8, 12, 16... i tak dalej,

aż zostaną tylko te liczby, których nigdy nie wykreślisz: 2, 3, 5, 7, 11, 13, 17, 19, 23, 29, 31... Są to liczby pierwsze, podstawy mojego świata liczb.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10
11	12	13	14	15	16	17	18	19	20
21	22	23	24	25	26	27	28	29	30
31	32	33	34	35	36	37	38	39	40
41	42	43	44	45	46	47	48	49	50
51	52	53	54	55	56	57	58	59	60
61	62	63	64	65	66	67	68	69	70
71	72	73	74	75	76	77	78	79	80
81	82	83	84	85	86	87	88	89	90
91	92	93	94	95	96	97	98	99	100

Synestezja wpływa również na to, jak widzę słowa i język. Na przykład angielskie słowo *ladder* (drabina) jest niebieskie i lśniące, a *hoop* (obracez) – miękkie i białe. To samo się dzieje, gdy czytam słowa w innych językach: *jardin*, po francusku „ogród”, jest rozmazane i żółte, a *hnugginn* – „smutny” po islandzku – białe w niebieskie cętki. Badacze synestezji twierdzą, że kolorowe słowa zwykle przejmują barwę od pierwszej litery i u mnie generalnie się to sprawdza: angielskie *yoghurt* (jogurt) jest słowem żółtym (ang. *yellow*); *video* (wideo) jest purpurowe, po angielsku *purple* (być może ma to związek z *violet*, czyli fioletowym); a *gate* (brama) jest-zielone (ang. *green*). Mogę nawet spowodować zmianę koloru słowa poprzez dodanie w głowie pierwszej litery, zmieniającej je w inne słowo: *at* (przy, w, na) jest czerwone, ale po dodaniu litery H, by stało się słowem *hat* (kapelusz), zmienia się w słowo białe. Jeśli następnie dodam T, tworząc *that*

(tamto), to słowo ma kolor pomarańczowy. Nie wszystkie słowa pasują do zasady pierwszej litery: na przykład słowa zaczynające się na A są zawsze czerwone, a zaczynające się na W są zawsze granatowe.

Niektóre słowa są doskonale dopasowane do rzeczy, które opisują. Angielskie *raspberry* (malina) jest zarówno czerwonym słowem (ang. *red*), jak i czerwonym owocem, a *grass* (trawa) i *glass* (szkło) są zielonymi słowami (ang. *green*), opisującymi zielone rzeczy. Wyrazy zaczynające się na literę T są zawsze pomarańczowe, jak tulipan, tygrys albo topola na jesień, gdy jej liście zabarwią się na pomarańczowo.

Tak samo wydaje mi się, że niektóre słowa nie pasują do rzeczy, które opisują: angielskie *geese* (gęsi) jest zielonym słowem, a opisuje białe ptaki (*heese* byłoby dla mnie lepszą opcją), słowo *white* (biały) jest niebieskie, a *orange* (pomarańczowy) jest przejrzyste i lśniące jak lód. *Four* (cztery) jest niebieskim słowem i spiczastą cyfrą, przynajmniej dla mnie. Kolor wina (ang. *wine* jest niebieskim słowem) lepiej opisuje francuskie *vin*, które jest purpurowe.

Dzięki postrzeganiu słów w różnych kolorach i fakturach łatwiej zapamiętuję fakty i imiona. Pamiętam na przykład, że lider w wyścigu kolarskim Tour de France jedzie w żółtej koszulce (nie zielonej, czerwonej lub niebieskiej), ponieważ angielskie słowo określające koszulkę, *jersey*, jest dla mnie żółte. Podobnie, pamiętam, że flaga Finlandii ma niebieski krzyż (na białym tle), ponieważ słowo „Finlandia” jest niebieskie (jak wszystkie słowa zaczynające się na literę F). Gdy spotykam kogoś po raz pierwszy, często zapamiętuję jego imię po kolorze słowa: mężczyźni o imieniu Richard są czerwoni, John – żółci, a Henry – biali.

Pomaga mi to również szybko i bez wysiłku uczyć się języków obcych. Obecnie znam dziesięć języków: angielski (mój ojczysty język), fiński, francuski, niemiecki, litewski, esperanto, hiszpański, rumuński, islandzki i walijski. Łączenie różnych kolorów i emocji, których doświadczam przy każdym słowie, ze znaczeniem tego słowa pomaga tchnąć życie w słowa. Na przykład fińskie słowo *tuli* jest dla mnie pomarańczowe i oznacza „ogień”. Gdy czytam to słowo lub o nim myślę, natychmiast widzę ten kolor w głowie, co przywołuje znaczenie słowa. Inny przykład to walijski

wyraz *gweilgi*, który jest zielony i granatowy, a oznacza „morze”. Uważam, że to doskonałe słowo na opisanie kolorów morza. Jest też islandzkie określenie *rökkur*, oznaczające „zmierzch” lub „zmrok”. To karmazynowe słowo i kiedy je widzę, na myśl przychodzi mi krwawoczerwony zachód słońca.

Pamiętam, że gdy byłem mały, podczas jednej z moich częstych wycieczek do miejscowej biblioteki spędziłem kilka godzin, przeglądając książkę za książką i na próżno szukając takiej, która byłaby podpisana moim imieniem i nazwiskiem. W bibliotece było tyle książek i widniało na nich tyle różnych imion i nazwisk, więc założyłem, że jedna z nich – gdzieś – musi być moja. Nie rozumiałem wtedy, że czyjeś imię i nazwisko widnieje na książce, gdy jest on jej autorem. Dziś, gdy mam dwadzieścia sześć lat, już to wiem. Jeśli pewnego dnia mam znaleźć swoją książkę, to najpierw muszę ją napisać.

Pisanie o moim życiu dało mi możliwość spojrzenia z perspektywy na to, jak daleko zaszedłem, i pozwoliło prześledzić trasę mojej podróży aż do obecnej chwili. Jeśli ktoś dziesięć lat temu powiedziałaby moim rodzicom, że będę żył całkowicie niezależnie, w szczęśliwym związku i realizując się zawodowo, prawdopodobnie by w to nie uwierzyli; i nie jestem pewien, czy sam bym uwierzył. Ta książka opowie wam, jak do tego doszedłem.

Niedawno stwierdzono, że i mój młodszy brat Steven, podobnie jak ja, jest wysokofunkcjonującym autystą. Mając dziewiętnaście lat, przechodzi przez wiele wyzwań, z którymi również ja się zmagalem w czasie dorastania – od problemów z niepokojem i samotnością po niepewność przyszłości. Gdy byłem dzieckiem, lekarze nie znali zespołu Aspergera (do 1994 roku nie uznawano go za oddzielne zaburzenie), więc przez wiele lat rozwijałem się, nie rozumiejąc, czemu czuję się tak inny od rówieśników i odcięty od otaczającego mnie świata. Mam nadzieję, że pisząc o własnych doświadczeniach dorastania ze spektrum zaburzeń autystycznych, pomogę innym młodym ludziom – którzy, podobnie jak mój brat Steven, są wysokofunkcjonującymi osobami z autyzmem – poczuć się mniej wyobcowanymi

i nabrać pewności, że w końcu będą mogli prowadzić szczęśliwe i efektywne życie. Jestem tego żyjącym dowodem.



Najmłodsze lata

Był to przenikliwie zimny poranek we wschodniej części Londynu. Moja matka, Jennifer, wtedy już w zaawansowanej ciąży ze mną, siedziała w ciszy i spoglądała przez jedyne duże okno w mieszkaniu nad wąską, skutą mrozem ulicą. Mój ojciec, Kevin, ranny ptaszek, zdziwił się, że już wstała, gdy wrócił z gazetą z pobliskiego sklepu. Zmartwiony, że coś się stało, cicho podszedł i wziął ją za rękę. Wydawała się zmęczona, tak jak przez kilka ostatnich tygodni. Nie poruszyła się i milcząc, patrzyła nieruchomym wzrokiem. Za chwilę powoli obróciła się do niego, na jej twarzy odmalowało się wzruszenie, gdy delikatnie gładziła swój brzuch, i powiedziała: „Cokolwiek się zdarzy, będziemy go kochać, po prostu kochać”. Zaczęła płakać, a ojciec ścisnął jej dłoń w swojej i w milczeniu pokiwał głową.

Jako dziecko zawsze uważała się za outsidera. Jej najwcześniejsze wspomnienia to bracia zbyt duzi, by się z nią bawić (opuścili dom, gdy była jeszcze mała), i jej matka i ojciec, często sztywni i pełni dystansu. Bez wątplenia była kochana, ale dorastając, rzadko to odczuwała. Jej wspomnienia z dzieciństwa porażały uczuciową niejasnością nawet po upływie trzydziestu lat.

Ojciec był oddany matce od dnia, w którym dzięki wspólnym znajomym po raz pierwszy się spotkali. Po nagłym romansie stworzyli rodzinę. Uważał, że oprócz swojego oddania niewiele może jej zaoferować.

Jako dziecko samodzielnie wychowywał swoje młodsze rodzeństwo, podczas gdy jego matka, rozwiedziona z moim dziadkiem, przez długi czas

pracowała daleko od domu. W wieku dziesięciu lat ojciec przejął opiekę nad rodziną, gdy ta przeniosła się do schroniska dla bezdomnych. Nie miał zbyt wiele czasu na szkołę czy zwykłe dziecięce nadzieje i marzenia. Dzień, w którym poznał matkę, uważał za najszczęśliwszy w życiu. Bardzo się różnili, lecz dzięki temu każde z nich czuło się wyjątkowe, i chcieli, bym też się takim czuł, choć sami mieli trudne dzieciństwo.

Kilka dni po tej wzruszającej rozmowie matka zaczęła rodzić. Tego wieczoru po powrocie z pracy ojciec zastał ją w domu wijącą się z bólu. Czekala na niego, bo bała się iść sama do szpitala. Zadzwoił po karetkę i – wciąż w roboczym ubraniu blacharza, wysmarowanym olejem i smarem – czym prędzej pojechał z matką do szpitala. Poród był szybki, przyszedłem na świat, ważąc niecałe trzy kilogramy.

Mówi się, że pojawienie się dziecka wszystko zmienia – moje narodziny rzeczywiście zmieniły na zawsze życie rodziców. Byłem ich pierwszym dzieckiem, więc to zapewne naturalne, że tak wiele swoich nadziei na przyszłość wiązali ze mną, nawet przed moim przyjściem na świat. Matka spędziła miesiące przed moimi narodzinami, gorliwie przeczesując strony popularnych kobiecych pism w poszukiwaniu wskazówek dotyczących opieki nad dzieckiem. Razem z ojcem zaoszczędzili pieniądze specjalnie na dziecięce łóżeczko.

Tymczasem pierwsze dni matki ze mną w szpitalu odbiegały od tego, co sobie wyobrażała. Płakałem bez przerwy, całymi godzinami. Tuliła mnie i delikatnie gładziła po twarzy, ale to niczego nie zmieniało – płakałem, płakałem i wciąż płakałem.

Mieszkanie rodziców było małe, więc spałem w łóżeczku ustawionym w kącie ich ciasnej sypialni. Po przybyciu ze szpitala okazało się, że rodzice nie mogą mnie w nim położyć – zamiast spać, nieustannie płakałem. Matka karmiła mnie piersią przez osiemnaście miesięcy, co było jedną z niewielu metod uciszenia mojego płaczu.

Nie od dziś wiadomo, że karmienie piersią ma same zalety: usprawnia rozwój kognitywny i zdolności sensoryczne, a także wzmacnia system odpornościowy dziecka. Uważa się również, że ma korzystny wpływ na rozwój emocjonalny dzieci z zaburzeniami ze spektrum autyzmu, dając

okazję do bliskiego fizycznego i uczuciowego kontaktu matki i dziecka. Badania wskazują, że dzieci autystyczne karmione piersią lepiej reagują, są lepiej przystosowane społecznie i bardziej uczuciowe niż ich rówieśnicy karmieni odżywkami.

Rodzice odkryli także inny sposób na ucieszenie mojego płaczu: ruch. Ojciec regularnie kołysał mnie w ramionach, czasem dłużej niż godzinę. Zdarzało się, że musiał jeść posiłki jedną ręką, podczas gdy drugą trzymał mnie i kołysał. Po pracy, często wczesnym rankiem, zabierał mnie również na długie spacery w wózku. W momencie, gdy wózek się zatrzymywał, zaczynałem przeraźliwie płakać.

Wkrótce pojęcia „dzień” i „noc” straciły dla rodziców znaczenie, ponieważ ich życie zaczęło kręcić się wokół mojego płaczu. Musiałem doprowadzać ich do szału. Zrozpaczeni, często kładli mnie w kocu, który z jednej strony trzymała matka, a z drugiej ojciec, i bujali mnie w nim. Takie powtarzanie zdawało się mnie uspokajać.

Tamtego lata zostałem ochrzczony. Moi rodzice nie byli praktykujący, ale byłem ich pierwszym dzieckiem i uważali, że tak należy postąpić. Przybyli rozmaici krewni, znajomi i sąsiedzi, było ciepło i pogodnie. Jednak w czasie mszy wciąż płakałem, zagłuszając słowa wypowiedane podczas ceremonii. Rodzicom było ogromnie wstyd.

Odwiedzili nas rodzice matki i zastanawiali się, czemu jestem takim trudnym dzieckiem. Zasugerowali, by matka nie brała mnie na ręce, gdy zaczynam płakać. „Szybko się zmęczy” – mówili. Jednak gdy matka zastosowała się do ich rady, ja po prostu płakałem coraz głośniejsze.

Wielokrotnie rodzice wzywali do mnie lekarza, ale on za każdym razem twierdził, że mam kolkę i wkrótce wydobrzeję. Kolkę często określa się mianem „niewyjaśnionego płaczu”, gdy dziecko płacze dłużej i głośniejsze niż przeciętnie i ciężko je uspokoić. Mniej więcej jedno dziecko na pięć płacze tak, że można w jego wypadku mówić o kolce.

Od dziesiątków lat lekarze i naukowcy próbują znaleźć przyczynę tego nadmiernego płaczu u dzieci. Najnowsza teoria głosi, że większość form kolki ma charakter rozwojowy i neurologiczny oraz powstaje w mózgu, a nie – jak zakłada większość rodziców – w przewodzie pokarmowym

dziecka. Na przykład niemowlęta cierpiące na częste kolki zwykle są bardzo wrażliwe na bodźce i łatwo ulegają przeciążeniom sensorycznym.

Czas trwania mojego nadmiernego płaczu – na który cierpiałem do końca pierwszego roku życia – jest niezwykły, nawet dla niemowląt cierpiących na częste kolki. Ostatnio naukowcy badający rozwój dzieci z historią długotrwałego płaczu w okresie niemowlęctwa odkryli, że może to być oznaka przyszłych zaburzeń zachowania. Okazało się, że dzieci, które w niemowlęctwie płakały nadmiernie, w porównaniu z tymi, które płakały normalnie, w wieku pięciu lat miały słabszą koordynację wzrokowo-ruchową, skłonność do nadpobudliwości i problemy z dyscypliną.

Na szczęście mój rozwój w innych dziedzinach był prawidłowy: niedługo po tym, jak skończyłem roczek, zacząłem chodzić i wypowiadać pierwsze słowa. Jednym z kryteriów w diagnozie zespołu Aspergera jest brak szczególnych opóźnień językowych (w przeciwieństwie do cięższych form autyzmu, gdzie rozwój językowy jest znacznie opóźniony lub nie ma go w ogóle).

Następnie przeszedłem serię powracających infekcji ucha, przepisano mi więc antybiotyki. Infekcje były bolesne, zatem do drugiego roku życia pozostawałem drażliwym, chorowitym i płaczliwym dzieckiem. Przez cały ten czas rodzice, mimo że opieka nade mną często była wyczerpująca, wciąż bujali mnie w kocu i kołysali na rękach każdego dnia.

I wtedy, pośród mego ciągłego płaczu i chorób, matka odkryła, że jest w ciąży. Rodzice zwrócili się do gminy z prośbą o większy dom, i przeprowadziliśmy się do mieszkania w pobliżu. Lee, mój brat, urodził się w majową niedzielę i był moim całkowitym przeciwieństwem: szczęśliwy, spokojny i cichy. To musiała być ogromna ulga dla rodziców.

Jednak moje zachowanie wcale się nie poprawiło. Gdy miałem dwa lata, zacząłem podchodzić do ściany w salonie i uderzać w nią głową. Kiwałem się do przodu i do tyłu, mocno, wielokrotnie i rytmicznie uderzając czołem w ścianę. Czasem waliłem głową z taką siłą, że miałem siniaki. Ojciec odciągał mnie od ściany, gdy tylko usłyszał znajomy odgłos uderzeń, ale ja biegłem z powrotem i zaczynałem od początku. Zdarzały mi się również

agresywne napady złości, gdy biłem się rękami po głowie i krzychałem ile sił w płucach.

Rodzice wezwali pielęgniarkę środowiskową. Zapewniła ich, że dziecko uderza głową w ścianę, gdy jest zdenerwowane, i w ten sposób się uspokaja. Stwierdziła, że jestem sfrustrowany i mam zbyt mało bodźców, oraz obiecała znaleźć dla mnie miejsce w pobliskim żłobku. Miałem wtedy dwa i pół roku. Rodzice odetchnęli z ulgą, gdy kilka tygodni później usłyszeli przez telefon, że zostałem przyjęty do żłobka.

Narodziny kolejnego dziecka sprawiły, że rodzice musieli zmienić codzienne przyzwyczajenia, które wypracowali przez ostatnie dwa lata, i żłobek stał się ważną częścią tej zmiany. Ich dni nie kręciły się już tylko wokół mnie. Zawsze miałem lekki sen, budziłem się kilka razy w nocy i wstawałem bardzo wcześnie każdego ranka. Jedząc śniadanie, ojciec jednocześnie karmił, mył i ubierał mnie, podczas gdy matka zajmowała się moim młodszym bratem. Półtorakilometrowa jazda w wózku do żłobka była ekscytująca – mijaliśmy cmentarz kwaków, na którym pochowano dziewiętnastowieczną reformatorkę więziennictwa, Elizabeth Fry, potem parę dużych bloków, aż dochodziliśmy do przejścia pod sklepieniem, wychodzącego na ścieżkę, a następnie mijaliśmy kilka ulic.

W żłobku po raz pierwszy zetknąłem się ze światem zewnętrznym. Chociaż mam mało wspomnień z tamtego okresu, to są one intensywne, jak wąskie promienie światła przebijające się przez mgłę czasu. Pamiętam piaskownicę, w której spędzałem długie godziny, dłubiąc i dziobiąc w piasku, zafascynowany jego pojedynczymi ziarenkami. Potem przyszła obsesja na punkcie klepsydry (w żłobku było kilka klepsydr różnej wielkości) – pamiętam, jak bez przerwy obserwowałem przesypujący się piasek, nie zwracając uwagi na bawiące się dookoła dzieci.

Rodzice mówią, że byłem samotnikiem, nie bawiłem się z innymi dziećmi, a opiekunowie twierdzili, że żyję we własnym świecie. Kontrast pomiędzy najmłodszymi latami i tamtym czasem musiał być dla rodziców jaskrawy, ponieważ z krzyczącego, płaczącego i walącego głową w ścianę dziecka zmieniłem się w cichego, zatopionego w sobie i trzymającego się na uboczu malca. Teraz, po fakcie, stwierdzają, że ta zmiana nie musiała

być oznaką poprawy, jak wtedy myśleli. Stałem się prawie zbyt grzeczny – zbyt cichy i zbyt niewymagający.

Autyzm jako złożone zaburzenie rozwojowe był wtedy prawie nieznany w społeczeństwie, a ja nie zachowywałem się jak typowy, według większości ludzi, autysta – nie kiwałem się bez przerwy, umiałem mówić i nie byłem odcięty od otaczającego mnie świata. Miało minąć jeszcze dziesięć lat, zanim środowisko medyczne przyjęło, że niektórzy autyści cierpią na szczególną formę autyzmu i należy ich uznać za wysokofunkcjonujące osoby z autyzmem lub osoby z zespołem Aspergera, i zanim wzrosła świadomość społeczna tej postaci autyzmu.

Było jeszcze coś. Rodzice nie chcieli przyczepiać mi etykiety, nie chcieli w żaden sposób hamować mojego rozwoju. Najbardziej na świecie pragnęli, żebym był szczęśliwy, zdrowy i mógł wieść „normalne” życie. Gdy przyjaciele, rodzina i sąsiedzi wciąż o mnie pytali, rodzice mówili im, że jestem bardzo „nieśmiały” i „wrażliwy”. Myślę, że bali się też, iż jako rodzice dziecka z problemami w rozwoju zostaną napiętnowani.

Z pierwszych miesięcy w żłobku zapamiętałem również różne faktury podłogi – niektóre jej części były przykryte matami, inne dywanami. Pamiętam, jak chodziłem powoli po różnych częściach podłogi, z opuszczoną głową, obserwowałem stopy i doświadczałem dzięki nim różnych wrażeń. Zawsze chodziłem z opuszczoną głową, więc czasem wpadałem na inne dzieci lub opiekunów, ponieważ jednak poruszałem się wolno, to zderzenia były delikatne, a ja nieznacznie zmieniałem kierunek i szedłem dalej, nie zwracając na to uwagi.

Gdy na dworze było ciepło i sucho, opiekunowie pozwalali nam bawić się w małym ogrodzie, przylegającym do budynku żłobka. Była tam zjeżdżalnia i kilka huśtawek, a w trawie leżało mnóstwo zabawek: piłki w jasnych kolorach i instrumenty perkusyjne. Na końcu zjeżdżalni i pod huśtawkami zawsze leżały pokryte plastikiem maty, na wypadek, gdyby któreś z dzieci spadło. Uwielbiałem chodzić boso po tych matach. Gdy było gorąco, stopy się pociły i przyklejały do mat, a ja podnosiłem i opuszczałem nogę, żeby wciąż odtwarzać to klejące odczucie na podeszwach stóp.

Co myślały o mnie inne dzieci? Nie wiem, bo w ogóle ich nie pamiętam. Dla mnie były tłem doświadczeń wizualnych i dotykowych. Wcale nie uważałem, że zabawa powinna być wspólną aktywnością. Opiekunowie w żłobku chyba zaakceptowali moje niezwykle zachowanie i nigdy nie zmuszali mnie do zabawy z dziećmi. Może mieli nadzieję, że przyzwyczaję się do otaczających mnie rówieśników i nawiążę z nimi kontakt, ale nigdy do tego doszło.

Ojciec zawsze odprowadzał mnie do żłobka, a czasem też z niego odbierał. Przychodził prosto z fabryki, często wciąż w roboczym ubraniu. Wcale się nie krępował. Z konieczności potrafił robić wiele rzeczy. Po powrocie do domu zmieniał ubranie i zabierał się do przygotowania kolacji – to właśnie on przeważnie gotował; myślę, że to pomagało mu się odprężyć. Byłem wybredny, jeśli chodzi o jedzenie, a podstawę mojej diety stanowiły płatki, chleb i mleko. Rodzicom nie było łatwo mnie przekonać, bym zjadł warzywa.

Trudno było zagonić mnie do łóżka – często biegałem lub skakałem i mijało dużo czasu, zanim się położyłem. Upierałem się, żeby spać z tą samą zabawką, małym czerwonym króliczkiem. Czasem w ogóle nie mogłem zasnąć i płakałem, dopóki rodzice nie ustąpili i nie pozwolili mi spać z nimi w ich łóżku. Gdy zasypiałem, często męczyły mnie koszmary, a jeden z nich pamiętam do dzisiaj. Budziłem się ze snu, w którym stał nade mną wielki smok, byłem przy nim malusieńki. Ten sam sen powracał noc w noc, a ja panicznie bałem się zasnąć, żeby smok mnie nie zjadł. Aż pewnej nocy smok zniknął tak samo nagle, jak się pojawił. Dalej miewałem koszarne sny, ale zdarzały się coraz rzadziej i były mniej przerażające. W pewnym sensie zwyciężyłem smoka.

Pewnego ranka w drodze do żłobka ojciec skręcił w innym miejscu niż zwykle. Ku jego zdziwieniu zacząłem wrzeszczeć w wózku. Nie miałem jeszcze trzech lat, ale nauczyłem się każdego szczegółu drogi z domu do żłobka. Mijająca nas starsza kobieta zatrzymała się, przyjrzała nam i stwierdziła: „Co jak co, ale płuca ma mocne”. Zawstydzony ojciec zawrócił i poszliśmy zwykłą drogą. Mój płacz natychmiast ucichł.

Pamiętam, że w żłobku lubiłem patrzeć, jak opiekunowie puszczały bańki mydlane. Wiele dzieci wyciągało ręce, by je złapać, gdy unosiły się nad ich głowami. Ja nie wyciągałem rąk, by dotykać baniek, ale patrzyłem na kształt i ruch oraz na to, w jaki sposób światło odbijało się w ich lśniącej mokrej powierzchni. Najbardziej podobało mi się, gdy opiekun dmuchnął mocno i wypuścił długi sznur mniejszych baniek, szybko jedną za drugą.

I w żłobku, i w domu niezbyt często bawiłem się zabawkami. Gdy brałem zabawkę, na przykład mojego królika, chwytalem ją sztywno za końce i przesuwałem z miejsca na miejsce. Nie próbowałem go przytulać, ściskać czy udawać, że królik skacze. Jedną z moich ulubionych rozrywek była zabawa z monetą: kręciłem ją na podłodze i patrzyłem, jak wiruje. Powtarzałem to w kółko i nigdy się nie nudziłem.

Rodzice pamiętają, że brałem buty matki i uderzałem nimi o podłogę, bo lubiłem wydawany przez nie dźwięk. Zacząłem nawet je zakładać i ostrożnie chodzić w nich po pokoju. Rodzice nazywali je moimi „stukoczącymi” butami.

Pewnego razu ojciec pchał mój wózek w dół ulicy, a ja nagle krzyknąłem, gdy mijaliśmy wystawę sklepową. Nie chciał wejść ze mną do środka. Zwykle rodzice nie wchodzili ze mną do sklepów, ponieważ przy kilku wcześniejszych okazjach, gdy to zrobili, wybuchałem płaczem i miałem napady złości. Za każdym razem musieli przeproszać: „Jest bardzo wrażliwy”, wyjaśniali i szybko wychodzili. Tym razem mój płacz był inny, pełen determinacji. Gdy ojciec zabrał mnie do środka, zobaczył dużą ekspozycję książek dla dzieci z serii *Mr Men*. Byli tam różni bohaterowie: jasnożółta kula o imieniu Mr Happy (Pan Szczęśliwy) i zielony trójkąt o imieniu Mr Rush (Pan Pośpiech). Ojciec podał mi jedną z książek. Nie chciałem wypuścić jej z rąk, więc ją kupiłem. Następnego dnia znowu przechodziliśmy obok tego sklepu i znowu zacząłem krzyczeć, więc ojciec wszedł do środka i kupił kolejną książkę z serii *Mr Men*. Powtarzało się to tak długo, aż nie kupił mi książeczek z wszystkimi postaciami serii.

Wkrótce ja i moje książki z serii *Mr Men* staliśmy się tak nierozłączni, że nie ruszałem się z domu bez którejś z nich. Wieczorem godzinami leżałem na podłodze z książkami w ręku, przyglądając się kolorom

i kształtom na ilustracjach. Rodzice cieszyli się z mojej obsesji na punkcie postaci z *Mr Men*, ponieważ po raz pierwszy byłem szczęśliwy i spokojny. Dzięki książkom stałem się też grzeczniejszy, bo jeśli udało mi się wytrzymać cały dzień bez napadu złości, rodzice obiecywali, że kupią mi następną książkę z tej serii.

Do naszego pierwszego domu przeprowadziliśmy się, gdy miałem cztery lata. Stał na rogu ulicy Blithbury. Miał dziwny kształt, a na schody można było wejść tylko z oddzielnego wąskiego hallu, który przylegał do salonu. Łazienka znajdowała się na parterze, niedaleko drzwi wejściowych. Czasem odwiedzający nas krewni lub znajomi dziwili się, że przy wejściu do domu witają ich obłoki pary po kąpieli.

Rodzice nie wspominają dobrze mieszkania na Blithbury. W kuchni regularnie pojawiały się zacieki, a zimą dom był zawsze zimny. Jednak mieliśmy dobrych sąsiadów, a wśród nich parę starszych ludzi, którzy natychmiast polubili mnie i mojego brata, i częstowali nas słodyczami i lemoniadą, gdy pojawialiśmy się w ogrodzie.

Przed domem ojciec urządził ogród warzywny, który uprawiał w weekendy. Szybko pojawiły się w nim ziemniaki, marchewka, groszek, cebula, kalarepa, pomidory, truskawki i rabarbar. W niedzielne popołudnia zawsze jedliśmy na deser rabarbar ze słodkim kremem budyniowym.

Dzieliłem pokój z bratem. Pokój był mały, więc byśmy mieli więcej miejsca, stało w nim piętrowe łóżko. Brat był ode mnie dwa lata młodszy, ale spał na górze, bo rodzice bali się, że ja mógłbym z niego spaść w czasie bezsennej nocy.

Nie żywiłem żadnych gorących uczuć do brata, żyliśmy oddzielnie i prawie nigdy nie bawiliśmy się razem. On często spędzał czas w ogrodzie, a ja siedziałem w pokoju. Gdy zdarzyło się, że przebywaliśmy razem, to nie była to wspólna zabawa – nigdy nie odczuwałem chęci podzielenia się z nim zabawkami lub przeżyciami. Gdy teraz patrzę wstecz, te uczucia wydają mi się jakieś obce. Rozumiem ideę dzielenia się i wymieniania przeżyć. Choć czasem wciąż niełatwo mi się otworzyć i uzewnętrznić, to z pewnością mam niezbędne do tego uczucia. Możliwe, że zawsze je miałem, ale potrzebowałem czasu, by je odnaleźć i zrozumieć.

Stawałem się coraz cichszym dzieckiem i większość czasu spędzałem w swoim pokoju, siedząc samotnie w określonym miejscu na podłodze, zatopiony w ciszy. Czasem zatykałem palcami uszy, by jeszcze bardziej zbliżyć się do ciszy, która w moim umyśle nigdy nie pozostawała nieruchoma, ale była jedwabistym, ciurkającym ruchem wokół głowy, przypominającym skraplanie.

Gdy zamykałem oczy, widziałem ją miękką i srebrzystą. Nie musiałem o tym myśleć, to po prostu się działo. Każdy nagły hałas, na przykład stukanie do drzwi, sprawiał mi ból i był jakby rozbiciem tego doświadczenia.

W salonie na parterze zawsze było mnóstwo książek. Rodzice uwielbiali czytać i wciąż pamiętam, jak siedzę na podłodze i patrzę na nich, gdy trzymają w rękach książki, gazety i czasopisma. Czasem, jeśli byłem grzeczny, mogłem siedzieć u nich na kolanach, gdy czytali. Lubiłem szelest przewracanych kartek. Książki stały się dla mnie bardzo ważne, ponieważ zawsze, gdy rodzice czytali, pokój wypełniała cisza, a ja odczuwałem wewnętrzny spokój i zadowolenie.

Zacząłem gromadzić książki rodziców, znosiłem po jednej do swojego pokoju. Schody były dla mnie wyzwaniem i pokonywałem je stopień po stopniu. Jeśli niosłem ciężką lub dużą książkę, wspięcie się na dwanaście stopni zabierało mi całą minutę. Niektóre tomy były całkiem stare i czuć je było stęchlizną.

W pokoju układałem książki w stosy na podłodze, aż otaczały mnie ze wszystkich stron. Rodzice bali się wejść, by nie przewrócić któregoś stosu na mnie. Gdyby spróbowali usunąć którąkolwiek książkę, wybuchnąłbym płaczem i dostał ataku złości. Wszystkie kartki moich książek miały numery, więc czułem się szczęśliwy, gdy mnie tak otaczały – jakbym był otulony kojącym liczbowym kocem. Dużo wcześniej, nim nauczyłem się czytać zdania na stronach, umiałem liczyć, a gdy liczyłem, liczby pojawiały się w mojej głowie jako ruchy lub kolorowe kształty.

W czasie jednej z wypraw w górę schodów z wyjątkowo ciężką książką w ramionach pośliznąłem się i spadłem. Spadanie napełniło mój umysł gwałtownymi błyskami jasnego i lekkiego koloru, jakby rozsianymi

promieniami słońca. Siedziałem u podnóża schodów, oślepiiony i obolały. Nie myślałem o wzywaniu pomocy, czekałem, aż ojciec przyjdzie sprawdzić, co to za hałas. Prawie nigdy się nie odzywałem, chyba że ktoś coś do mnie powiedział. Po tym wydarzeniu rodzice zaczęli chować przede mną większe i cięższe książki w obawie, że mógłbym znowu spaść i zrobić sobie krzywdę.

Niedaleko domu był park, więc chodziliśmy tam na spacer w większość weekendów. Rodzice dawali mi kawałki chleba, żebym karmił kaczki. Zwykle zabierali nas wcześniej rano, gdy nie było tam wielu ludzi, ponieważ wiedzieli, że przeraża mnie przebywanie w tłumie. Mój brat biegał dookoła, a ja siedziałem sam na ziemi, wyrrywając źdźbła trawy i obrywając płatki z kwiatów stokrotek.

Moim ulubionym miejscem w parku były huśtawki. Ojciec podnosił mnie, sadzał na huśtawkę i delikatnie bujał. Gdy się męczył i przestawał, krzyczałem „jeszcze... jeszcze”, aż znowu zaczynał. Była tam też karuzela, siadałem na niej, a rodzice powoli mnie kręcili – gdy karuzela wirowała, zamykałem oczy i uśmiechałem się. Było to bardzo przyjemne.

Gdy wracaliśmy do domu, na drodze przy parku czasem było głośno. Jeśli przejeżdżający samochód wydał nagły głośny dźwięk – na przykład zatrąbił – zatrzymywałem się, podnosiłem ręce i przyciskałem je mocno do uszu. Często hałas był bardziej nagły niż głośny i prawdopodobnie działał na mnie tak mocno właśnie dlatego, że był niespodziewany. Z tego powodu nienawidziłem balonów i kulilem się ze strachu na sam widok jakiegokolwiek osoby je niosącej. Bałem się, że balon pęknie z głośnym i nagłym hukiem.

Po przeprowadzce na ulicę Blithbury aż do piątego roku życia chodziłem do przedszkola w pobliskiej szkole imienia Dorothy Barley. Dorothy Barley była przełożoną opactwa w XVI wieku i żyła w tym regionie za panowania Henryka VIII. W przedszkolu wychowawcy często dawali nam papier, kolorowe kredki i zachęcali do rysowania i kolorowania. Zawsze to lubiłem, ale ciężko mi było utrzymać kredkę w palcach, więc chwytalem ją w dłoń. Lubiłem rysować okręgi o różnych wielkościach – były moim ulubionym kształtem i rysowałem je bez przerwy.

W przedszkolu, w kącie stało pudło wypełnione zabawkami. Najbardziej lubiłem kolorowe koraliki, które tam znalazłem – trzymałem je w ręku i potrząsałem, obserwując, jak drgają mi na dłoniach. Gdy dawano mi do zabawy kartonowe tuby (żeby na przykład zrobić z nich lornetkę lub teleskop), wrzucałem do nich koraliki, zafascynowany tym, że wpadały w jeden koniec, a wypadały drugim. Jeśli znalazłem pudełko lub słoik, wrzucałem koraliki do środka, potem je wyciągałem i zaczynałem od początku.

Na jednej ze ścian stał regał pełen książek. Moją ulubioną była *Bardzo głodna gąsienica*, uwielbiałem otwory w kartkach i jasne, owalne ilustracje. Niedaleko znajdował się kącik czytelniczy, gdzie dzieci siadały na dużej macie wokół wychowawczyni i słuchały, jak czyta książkę. Pewnego razu podczas takiej lektury siedziałem z tyłu ze skrzyżowanymi nogami i spuszczoną głową, zatopiony we własnym świecie. Nie słyszałem ani słowa. Nie zdając sobie z tego sprawy, zacząłem mruczeć. Gdy podniosłem wzrok, okazało się, że pani przestała czytać, a wszyscy patrzą na mnie. Przestałem mruczeć, spuściłem głowę i wychowawczyni wróciła do książki.

Nie pamiętam, żebym w przedszkolu czuł się samotny, pewnie dlatego, że byłem tak pochłonięty książkami, koralikami i okręgami. Myślę, że powoli zaczęło się we mnie budzić uczucie, że jestem inny niż reszta dzieci, ale z jakiegoś powodu się tym nie przejmowałem. Jeszcze nie odczuwałem pragnienia posiadania przyjaciół, wystarczała mi zabawa w samotności.

Gdy nadchodziła pora zabaw towarzyskich, takich jak komórki do wynajęcia, odmawiałem uczestnictwa. Przerazała mnie myśl, że inne dzieci mogą mnie dotknąć podczas przepychania się do jednego z wolnych miejsc. Nie pomagały żadne łagodne namowy wychowawców, więc pozwolono mi stać przy ścianie i patrzeć, jak bawią się inne dzieci. Wystarczyło, by wszyscy zostawili mnie w spokoju, a byłem zadowolony.

Po powrocie do domu zawsze szedłem na górę do swojego pokoju. Gdy czułem się zmęczony lub wytrącony z równowagi, wczołgiwałem się pod łóżko i leżałem w ciemności. Rodzice nauczyli się cicho stukać do drzwi, zanim weszli sprawdzić, jak się czuję. Matka zawsze kazała mi opowiadać

o moim dniu w przedszkolu. Chciała zachęcić mnie do mówienia, ponieważ przez większość czasu byłem bardzo cichy.

Mój pokój był azylem, moim własnym miejscem, gdzie czułem się szczęśliwy i było mi dobrze. Przebywałem tam przez większość dnia, więc rodzice zaczęli wchodzić na górę, by spędzić ze mną trochę czasu. Nigdy nie tracili do mnie cierpliwości.

Gdy teraz piszę o tych najmłodszych latach, to dziwię się, jak wiele rodzice robili dla mnie, mimo że na pewno niewiele otrzymywali w zamian. Słuchanie ich wspomnień z moich najwcześniejszych lat to dla mnie magiczne doświadczenie – z perspektywy czasu widzę, jak wielką rolę odegrali w wychowywaniu mnie na człowieka, którym jestem dzisiaj. Mimo wszystkich moich problemów, wszystkich łez, ataków złości i innych kłopotów kochali mnie bezwarunkowo i poświęcali się, by mi pomóc – krok po kroku, dzień po dniu. Dla mnie są bohaterami.



Rażony piorunem: epilepsja

Miałem cztery lata, gdy to się wydarzyło. Siedziałem z moim bratem Lee na podłodze w salonie, podczas gdy ojciec gotował obiad w kuchni. W tym wieku zdarzały mi się chwile całkowitego wyłączenia, okresy absolutnego pochłonięcia sobą – studiowałem szczegółowo linie na swoich dłoniach albo obserwowałem swój cień, przesuwający się, gdy powoli i rytmicznie pochylałem się do przodu i do tyłu. To było jednak coś innego, przeżycie różniące się od pozostałych, jak gdyby pokój oddalał się ode mnie na wszystkie strony, wypełniające go światło wyciekało, a przepływ czasu zakrzepł i rozciągnął się w jedną przewlekłą chwilę. Nie wiedziałem wtedy i nie mogłem wiedzieć, że miałem potężny atak epilepsji.

Epilepsja jest jednym z najpowszechniejszych zaburzeń dotyczących mózgu – około 300 tysięcy osób w Wielkiej Brytanii cierpi na jakąś jej formę. Ataki są wynikiem przelotnych zakłóceń elektrycznych w mózgu. Wciąż nie wiadomo, dlaczego się pojawiają ani jak się rozpoczynają i kończą. Nie znaleziono żadnej wyraźnej przyczyny, ale lekarze uważają, że epilepsja może być skutkiem problemów w połączeniach między komórkami nerwowymi lub zaburzeń równowagi substancji chemicznych w mózgu.

Kilka dni przed atakiem ojciec zauważył, że mrugam oczami i sztywnieją mi ramiona, gdy leżę na kanapie w salonie, oglądając telewizję. Zaniepokoił się i wezwał do mnie lekarza. Na dworze było gorąco i wilgotno, więc lekarz zasugerował, że po prostu trochę niedomagam. Zalecił, by ojciec był czujny i natychmiast zgłosił, jeśli coś takiego się powtórzy.

Miałem ogromne szczęście, że podczas drugiego ataku był przy mnie brat. Dostałem drgawek i straciłem przytomność. Słyszając płacz brata, ojciec przybiegł, by zobaczyć, co się dzieje. Działał instynktownie, ostrożnie wziął mnie na ręce i wybiegł z domu na pobliski postój taksówek. Wsiadł do pierwszej i błagał kierowcę, żeby jak najszybciej zawiózł go do najbliższego szpitala – szpitala Świętego Jerzego. Taksówka mknęła po ulicach, a ojciec mógł jedynie trzymać mnie mocno i się modlić.

Zlany potem ojciec pobiegł z taksówki na oddział dziecięcy. Nie odzyskałem przytomności i wciąż miałem atak – to stan zagrażający życiu, zwany stanem padaczkowym. Pielęgniarka w recepcji zabrała mnie z ramion ojca i wezwała lekarzy, którzy najpierw dali mi zastrzyk diazepamu, by ustabilizować mój stan. Nie oddychałem i zacząłem sinieć, więc lekarze rozpoczęli resuscytację krążeniowo-oddechową, by mnie ocucić. Mniej więcej godzinę po rozpoczęciu ataku mój stan w końcu zaczął powracać do normy. Wycieńczony po ciężkiej próbie ojciec na wieść o tym wybuchnął płaczem ulgi. Jego szybka reakcja uratowała mi życie.

Zdiagnozowano u mnie epilepsję płatów skroniowych. Płaty skroniowe znajdują się z boku głowy nad uszami. Ogrywają ważną rolę w pobudzeniu sensorycznym, procesach pamięciowych, słyszeniu i percepcji, a ataki w tym obszarze mózgu mogą mieć negatywny wpływ na funkcjonowanie pamięci i na osobowość.

Epilepsja występuje o wiele częściej u osób ze spektrum zaburzeń autystycznych niż u reszty populacji. Mniej więcej jedna trzecia dzieci ze spektrum zaburzeń autystycznych przed okresem dorastania zapada na epilepsję płatów skroniowych. Dlatego uważa się, że te dwa zaburzenia mogą mieć wspólną przyczynę w budowie mózgu lub w leżących u jej podstaw uwarunkowaniach genetycznych.

W ramach diagnozy poddano mnie testowi zwanemu elektroencefalogramem (EEG). Podczas EEG na czaszce umieszczane są elektrody, które mają zmierzyć elektryczną aktywność mózgu i wychwycić jakiegokolwiek zaburzenia fal mózgowych. Pamiętam, że stał nade mną technik i w różne miejsca na mojej głowie przyczepiał elektrody – małe okrągłe metalowe wieczka – posmarowane jakąś masą, by się trzymały. Krzywiłem się i grymasiłem, gdy tylko któraś przykładła do mojej głowy, ponieważ nie podobało mi się, że ktoś mnie dotyka.

Wykonano mi również rezonans magnetyczny (MRI) mózgu. Wykorzystując duży magnes o wielkiej mocy, fale radiowe i komputery, MRI tworzy szczegółowe obrazy wnętrza ciała. Przed skanowaniem mózgu podano mi środki uspokajające, prawdopodobnie dlatego, że technik nie-wiedział, jak zareaguję na hałas maszyny, obawiał się też możliwej reakcji klaustrofobicznej, gdy znajdę się wewnątrz skanera. Pamiętam, że położono mnie na miękkim, jasnym stole, który następnie wsunięto w wąski tunel, a skanowanie trwało około trzydziestu minut. Musiałem zasnąć wewnątrz, bo pamiętam, że obudził mnie ojciec już po tym, jak stół wysunięto z tunelu. Zasnąłem, mimo że skaner musiał być bardzo głośny podczas obrazowania.

Spędziłem w szpitalu kilka dni, w czasie których przeprowadzano różne badania. Rodzice na zmianę towarzyszyli mi dzień i noc. Bali się, że mogę się obudzić i wpaść w panikę, jeśli nie zobaczę żadnej znajomej twarzy. Oddział, na którym leżałem, miał lśniąca podłogę z mnóstwem malutkich rys, a faktura mojej pościeli różniła się od tej w domu – była bardziej drapiąca i mniej miękka. Rodzice przynosili mi sok pomarańczowy i kolorowanki, żebym miał co robić, ale większość czasu po prostu spałem, tak bardzo byłem zmęczony.

Lekarze powiedzieli rodzicom, że rokowania są dobre – mniej więcej połowa dzieci, u których zdiagnozowano epilepsję płatów skroniowych, wyrasta z tego zaburzenia. Przepisano mi leki przeciwpadaczkowe i wypisano mnie do domu.

Zdiagnozowanie u mnie epilepsji bardzo poruszyło rodziców, a zwłaszcza ojca. Jego własny ojciec – mój dziadek – jako dorosły przez

wiele lat cierpiał na ataki padaczki i zmarł przedwcześnie kilka lat przed moim przyjściem na świat.

Nazywał się William John Edward i urodził się we wschodniej części Londynu na początku XX wieku. Pracował jako szewc i walczył w drugiej wojnie światowej, przeżył ewakuację spod Dunkierki, a następnie stacjonował w bazie w północnej Szkocji, gdzie obsługiwał działa przeciwlotnicze. Był żonaty i miał czworo dzieci, a mój ojciec był najmłodszy. Ataki dziadka zaczęły się po wojnie i były wyjątkowo gwałtowne – babcia szybko przyzwyczaiła się do hałasu tłuczonych talerzy i kubków, zrzuconych z kuchennego stołu na podłogę.

W tamtych czasach ludzie cierpiący na epilepsję otrzymywali ograniczoną pomoc. Lekarze sugerowali, że choroba dziadka była wynikiem nerwicy frontowej, na którą cierpiał w czasie wojny. Radzili babci, by rozwiodła się z mężem i ułożyła sobie życie, przecież miała małe dzieci i całe życie przed sobą. To musiała być najtrudniejsza decyzja w jej życiu, ale posłuchała rady lekarzy i powtórnie wyszła za mąż. Dziadka umieszczono w stacjonarnym zakładzie dla byłych żołnierzy z problemami psychicznymi.

Rozpad związku dziadków miał katastrofalne skutki dla rodziny. Drugi mąż babci miał problemy ze znalezieniem pracy i przegrywał wszystko, co zarobił, więc bez stałego dochodu wkrótce zaczęli zalegać z opłatami. Pewnego dnia po powrocie do domu znaleźli swoje meble ułożone w stos na trawniku, a drzwi zamknięte na kłódkę. Zostali wyeksmitowani przez gminę za niepłacenie czynszu – byli bezdomni.

Na początku przyjaciółka rodziny wzięła do siebie dzieci, łącznie z moim ojcem, który dla przyrodniego rodzeństwa był najstarszym bratem, a następnie trafiły one wraz z babcią do schroniska dla bezdomnych. Na pożegnanie przyjaciółka rodziny dała mojemu ojcu klocki lego. Schronisko składało się z małych baraków ze wspólnymi toaletami, łazienką i kuchnią dla mieszkańców. Pokoje były połączone wąskimi korytarzami z czerwoną betonową podłogą. Ojciec słyszał odgłos kroków personelu, przechodzącego korytarzami. Jedną z tych osób nazwał Glanem.

Rodzina ojca mieszkała w dwóch ciasnych nieurządzonych pokojach. Nie mogli mieć radia ani telewizora. W jednym pokoju – dzieciennym – było miejsce na trzy małe łóżka. W pokoju babci stało łóżko, stół i krzesło. Nie przyjmowano mężczyzn, więc mąż babci musiał wynająć sobie pokój nad jakimś sklepem. Byli rozdzieleni na czas przebywania rodziny w schronisku.

Życie w schronisku było ciężkie – warunki mieszkaniowe były złe, mieszkańcy nie mieli prywatności, gdyż drzwi nigdy nie zamykano na klucz, a personel był wymagający – w schronisku panował wojskowy dryl. Rodzina ojca spędziła tam półtora roku i nienawidziła tego miejsca. Pobyt osłodziła nieco jedynie przyjaźń, którą babcia zawarła z kierowniczką schroniska, panią Jones. W końcu wyprowadzili się do nowego domu.

Mój ojciec po raz pierwszy zobaczył swojego ojca, gdy miał jedenaście lat. Do tego czasu ataki dziadka stały się rzadsze i dostawałienne przepustki, by pracować w swoim warsztacie szewskim. Wieczorami wracał do zakładu. Mój ojciec był bardzo mały, gdy zaczęła się choroba dziadka, więc nie pamiętał go i nie wiedział nawet, jak wygląda. Spotkali się w domu przyjaciółki rodziny, która kilka lat wcześniej pomogła zająć się moim ojcem i jego rodzeństwem. Ojciec pamięta, że podawał rękę siwowłosemu mężczyźnie w źle dopasowanym ubraniu. Później powiedziano mu, że to jego ojciec. Z czasem zbliżyli się do siebie.

Z biegiem lat stan zdrowia dziadka się pogarszał. Ojciec odwiedzał go w szpitalu tak często, jak mógł. Miał dwadzieścia jeden lat, gdy dziadek zmarł wskutek niewydolności organów po wylewie i napadzie padaczki. Wszyscy zapamiętali go jako miłego i łagodnego człowieka. Żałuję, że nie mogłem go poznać.

Mam ogromne szczęście, że żyję w czasach, gdy medycyna dokonała znacznego postępu, dzięki czemu moje doświadczenia związane z epilepsją były tak różne od doświadczeń dziadka. Myślę, że po moich atakach i postawionej mi diagnozie rodziców najbardziej przerażała wizja, że być może nie będę w stanie prowadzić „normalnego” życia, którego tak bardzo dla mnie chcieli. Podobnie jak wielu rodziców, normalność rozumieli jako bycie szczęśliwym i użytecznym.

Napady epilepsji się nie powtórzyły – tak jak w przypadku osiemdziesięciu procent ludzi żyjących z padaczką, lek okazał się skuteczny, co oznaczało dla mnie życie bez ataków. Myślę, że to najbardziej pomogło matce poradzić sobie z moją chorobą. Była przeczulona na punkcie mojej odmienności, wrażliwości i potrzeby dodatkowej opieki, wsparcia i miłości. Czasem wytrącała ją z równowagi myśl, że w każdej chwili mogę dostać kolejnego ataku. Szła wtedy do innego pokoju i cicho płakała. Pamiętam, jak ojciec mówił mi, żebym nie wchodził do matki, gdy jest zdenerwowana.

Cieężko przychodziło mi dostrzeganie jej uczuć. Wcale nie pomagało to, że pozostawałem w swoim świecie, pochłaniały mnie najbłahsze rzeczy. Nie potrafiłem zrozumieć różnych emocji i napięć w domu. Czasem rodzice kłócili się, jak chyba większość rodziców, o dzieci i o to, jak postąpić w danej sytuacji. W czasie kłótni ich głosy stawały się w moim umyśle granatowe, a ja kuliłem się na podłodze, wciskając czoło w dywan, z rękami na uszach, dopóki hałasy nie ucichły.

To ojciec pomagał mi codziennie brać tabletki, ze szklanką mleka lub wody w czasie posiłków. Przyjmowanie leku – karbamazepiny – wymagało, żebym co miesiąc chodził z ojcem do szpitala na badania krwi ze względu na możliwy wpływ tabletek na pracę wątroby. Ojciec ma obsesję na punkcie punktualności, więc zawsze byliśmy w szpitalnej poczekalni co najmniej godzinę przed czasem. Gdy czekaliśmy, kupował mi sok pomarańczowy w plastikowym kubku i ciastka. Siedzieliśmy na plastikowych niewygodnych krzesłach, ale pamiętam, że nie chciałem sam z nich wstawać, więc czekałem, aż ojciec wstanie pierwszy. Było tam mnóstwo krzeseł i w kółko je liczyłem.

Gdy pielęgniarka wywoływała moje nazwisko, ojciec szedł ze mną do małego, oddzielnego zasłoną pomieszczenia; siadałem, a pielęgniarka podwijała mi rękaw i przecierała wewnętrzną stronę łokcia. Wiele razy pobierano mi krew, więc z czasem wiedziałem już, czego się spodziewać. Pielęgniarka radziła pacjentom, by odwracali wzrok podczas wbijania igły, ale ja trzymałem głowę prosto, ze wzrokiem utkwionym nieruchomo, i obserwowałem, jak przezroczysta rurka nad igłą wypełnia się

ciemnoczerwoną krwią. Na końcu siostra znów przecierała mi rękę, kładła na to miejsce watę i przyklejała plastrem z obrazkiem, na którym była uśmiechnięta twarz.

Jednym z najpowszechniejszych efektów ubocznych leku jest nadwrażliwość na światło słoneczne, więc spędzałem letnie miesiące w domu, podczas gdy mój brat bawił się w ogrodzie i w parku. Nie miałem nic przeciwko temu, bo nawet dzisiaj słońce często wywołuje u mnie swędzenie i nieprzyjemne uczucie, więc rzadko ryzykuję długie przebywanie na powietrzu w słoneczne dni. Od razu po atakach rodzice chcieli pilnować mnie jeszcze bardziej, więc mnóstwo czasu spędzałem w salonie, gdzie matka miała mnie na oku, gdy oglądałem telewizję lub bawiłem się monetami albo koralikami, które dostałem do liczenia.

Lek wywoływał również inne skutki uboczne – często miałem zawroty głowy i byłem osłabiony. Gdy zaczynało mi się kręcić w głowie, natychmiast siadałem na podłodze, krzyżowałem nogi i czekałem, aż mi przejdzie. Czasem rodzice się wstydzili, na przykład gdy szliśmy ulicą, a ja nagle zatrzymywałem się i siadałem na środku chodnika. Na szczęście zawroty głowy nie trwały długo, tylko kilka sekund. Utrata kontroli nad sobą oraz nieprzewidywalność tych ataków przerażały mnie i często byłem po nich pobudliwy i płaczliwy.

Sen i epilepsja są ze sobą powiązane – u ludzi cierpiących na epilepsję częściej występują zaburzenia snu. Niektórzy naukowcy uważają, że zaburzenia związane ze snem, jak lęki nocne czy somnambulizm, mogą właśnie być oznaką nocnej czynności napadowej w mózgu. Czasami chodziłem we śnie – w niektórych okresach często, w innych mniej – od lat sześciu aż do początku okresu dorastania. Somnambulizm (lunatyzm) zdarza się w ciągu pierwszych trzech godzin snu, gdy fale mózgowe śpiącego zwalniają i mają wyższe napięcie, a sen jest głęboki i pozbawiony marzeń sennych. Zwyczajnie lunatyk nie reaguje, gdy się do niego mówi, a po przebudzeniu nic nie pamięta. Ja wychodziłem z łóżka i wciąż chodziłem tą samą drogą po swoim pokoju. Czasem uderzałem w ściany lub drzwi pokoju, budząc rodziców, którzy delikatnie kierowali mnie z powrotem do

łóżka. Choć obudzenie osoby chodzącej we śnie wcale jej nie szkodzi, to może ją zdezorientować i wytrącić z równowagi.

Rodzice podjęli pewne środki ostrożności, bym w nocy był bezpieczny. Co wieczór przed moim zaśnięciem sprząтали wszystkie zabawki z podłogi w pokoju i zostawiali światło w przedpokoju. Zamontowali również barierkę na górze schodów po tym, jak zszedłem, najwyraźniej we śnie, po schodach i zawędrowałem na tył domu, gdzie znaleźli mnie, gdy szarpałem drzwi kuchenne prowadzące do ogrodu.

Nic więc dziwnego, że nieraz w ciągu dnia na nic nie miałem siły i chciałem tylko spać. Często w szkole kładłem głowę na ławce i zasypiałem. Rodzice poinformowali o wszystkim nauczycieli, którzy zawsze byli dla mnie wyrozumiali i tolerancyjni. Nierzadko zdezorientowany, budziłem się po dziesięciu, dwudziestu czy trzydziestu minutach i okazywało się, że w klasie jest pusto, a dzieci bawią się na boisku, ale zawsze był przy mnie nauczyciel, który mnie uspokajał.

Skutki uboczne leków miały duży wpływ na mój pierwszy rok w szkole. Nie mogłem skoncentrować się na zajęciach ani regularnie się uczyć. Jako ostatni w klasie opanowałem alfabet. Nauczycielka, pani Lemon, nagradzała mnie dodatkowo kolorowymi nalepkami, gdy robiłem coraz mniej błędów przy wypisywaniu liter alfabetu. Nigdy się nie wstydziłem ani nie krępowałem tym, że nie nadążam za innymi dziećmi – one po prostu nie należały do mojego świata.

Dwa razy w roku jeździłem z ojcem na kontrolę do szpitala dziecięcego Westminster w Londynie, gdzie robiono mi skan mózgu. Jeździliśmy tam taksówką, jak zwykle byliśmy zbyt wcześnie i czekaliśmy, aż wezwie nas lekarz specjalista. Przez te wszystkie lata spędziłem w szpitalnych poczekalniach mnóstwo godzin.

Po trzech latach lekarze zdecydowali, żeby stopniowo wycofywać u mnie leki przeciwpadaczkowe. Matka wpadła w panikę na myśl, że epilepsja może powrócić, ale na szczęście ataki nie powtórzyły się do dziś. Skutki uboczne leków zniknęły i w rezultacie poprawiły się moje wyniki w szkole.

Nie wiadomo do końca, jak epilepsja wpłynęła – o ile w ogóle wpłynęła – na mój mózg i sposób, w jaki pracuje. Moje dziecięce napady powstawały w lewym płacie skroniowym, a niektórzy naukowcy objaśniają uzdolnienia sawantów uszkodzeniem lewej półkuli mózgowej, które prowadzi do zwiększonej aktywności prawej półkuli, co ma kompensować utracone funkcje. Twierdzą tak, ponieważ najpowszechniejsze wśród sawantów uzdolnienia, między innymi zdolności liczbowe i rachunkowe, są związane z prawą półkulą.

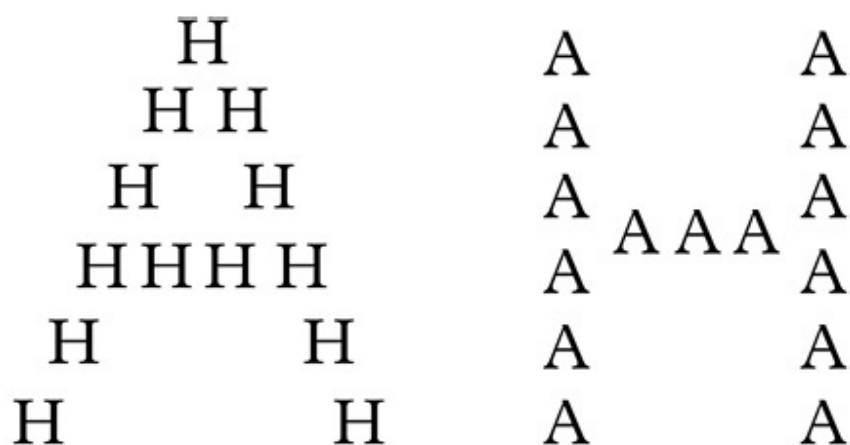
Nie tak prosto jednak określić, czy epilepsja jest przyczyną, czy też objawem uszkodzenia lewej półkuli mózgu, więc możliwe, że moje napady w dzieciństwie były wynikiem wcześniejszego uszkodzenia mózgu, istniejącego prawdopodobnie od urodzenia.

Dlatego naukowcy są zainteresowani badaniem moich zdolności percepcyjnych, by zobaczyć, jak różnią się one od zdolności innych ludzi. Jesienią 2004 roku zbadano mnie w centrum badań autyzmu Autism Research Centre w Cambridge w Wielkiej Brytanii. Dyrektorem ośrodka jest Simon Baron-Cohen, profesor psychopatologii rozwojowej i czołowy badacz spektrum zaburzeń autystycznych.

Badanie dotyczyło teorii „słabej centralnej koherencji”, która mówi, że osoby ze spektrum zaburzeń autystycznych częściej skupiają się na szczegółach zamiast na informacji ogólnej (szerszym kontekście), podczas gdy większość ludzi łączy informację z kontekstem i sednem przekazu – często pomijając szczegóły. Na przykład, badania wykazały, że dzieci autystyczne lepiej niż osoby niecierpiące na autyzm z grupy kontrolnej radzą sobie z rozpoznawaniem znajomych twarzy na fotografiach, gdy pokaże się im tylko część twarzy.

W teście Navona uczestników poproszono, by zidentyfikowali określony bodziec na poziomie analitycznym lub globalnym. W czasie testu w ośrodku naukowcy poprosili mnie, bym przyciskał guzik po lewej stronie, gdy zobaczę literę A, a guzik po prawej stronie, gdy nie będę jej widział. Obrazy wyświetlano na ekranie przede mną, a reakcje były automatyczne. Kilka razy nacisnąłem „nie”, a kilka sekund później do mojego mózgu docierało, że ogólny układ liter tworzył literę A. Naukowcy

określają to zjawisko mianem interferencji i jest ono powszechne tam, gdzie powstają złudzenia optyczne. W przypadku większości ludzi interferencja jest wynikiem kształtu globalnego – na przykład, gdy pokaże się im literę H złożoną z wielu małych liter A, nie od razu dostrzegą literę A ze względu na efekt interferencji na widok kształtu H. W moim przypadku, podobnie jak u większości osób ze spektrum zaburzeń autystycznych, interferencja jest odwrócona i ciężko mi zobaczyć ogólny kształt litery, ponieważ mój mózg automatycznie skupia się na detalach.



Na powyższym rysunku po lewej stronie widnieje litera A złożona z mniejszych liter H. Po prawej stronie widać literę H złożoną z mniejszych liter A.

Profesor Allan Snyder z Australii – dyrektor Centrum Badań Umysłu (Centre for the Mind) na uniwersytecie w Sydney – wzbudził duże zainteresowanie twierdzeniem, że u dowolnej badanej osoby potrafi wyzwolić zdolności sawantów za pomocą przezczaszkowej stymulacji magnetycznej (ang. *transcranial magnetic stimulation* – TMS).

TMS stosowano jako narzędzie medyczne w operacjach mózgu. Za jego pomocą pobudzano bądź tłumiono działanie określonych obszarów mózgu, co pozwalało lekarzom obserwować efekty operacji na bieżąco. Jest to metoda nieinwazyjna i wydaje się wolna od poważnych skutków ubocznych.

Profesor Snyder uważa, że myślenie autystyczne nie do końca się różni od zwykłego myślenia, że jest jego ekstremalną formą. Twierdzi, że poprzez czasowe wstrzymanie niektórych czynności mózgu – na przykład zdolności myślenia kontekstowego i pojęciowego – metoda TMS może być wykorzystana do zdobycia lepszego dostępu do obszarów mózgu odpowiedzialnych za gromadzenie pierwotnej, nieprzefiltrowanej informacji. W ten sposób ma nadzieję udoskonalić mózg poprzez wyłączenie jego określonych obszarów, zmianę sposobu, w jaki osoba badana postrzega różne rzeczy.

Profesor używa cewki połączonej z maszyną TMS. Maszyna przesyła zmienne impulsy magnetyczne do płatów skroniowych. Niektóre z osób poddanych tej procedurze twierdziły, że przejściowo poprawiły im się umiejętności rysowania i czytania tekstu – zaczęli rysować zwierzęta bardziej realistycznie i szczegółowo, a także dokładniej czytać.

Większość ludzi czyta, rozpoznając znajome grupy wyrazów. Dlatego wielu z nich nie zauważa małych błędów w pisowni lub powtarzania słów. Weźmy następujący przykład:

Wróbel w garści jest lepszy niż gołąb na na dachu

Czytając szybko, większość ludzi nie zauważy drugiego, zbytecznego „na” w powyższym zdaniu.

Dodatkową korzyścią przetwarzania informacji w częściach zamiast w całości jest to, że mając dobre wyczucie szczegółów, jestem bardzo dobry w korekcie tekstów. W niedzielne poranki, czytając przy stole gazetę, bez końca irytowałem rodziców, wskazując każdy błąd gramatyczny i ortograficzny, jaki mogłem znaleźć. „Czemu nie możesz po prostu przeczytać gazety jak inni ludzie?” – pytała doprowadzona do rozpaczyny matka po tym, jak wskazałem dwunasty błąd w gazecie.

Profesor Snyder twierdzi, że zdolności sawantów mogą drzemać w każdym, ale większość ludzi nie umie ich uwolnić. Uważa, że moje ataki epileptyczne mogły odegrać rolę podobną do tej, którą odgrywają impulsy elektromagnetyczne wysyłane przez jego maszynę TMS, w oddziaływaniu

na określone obszary mojego mózgu, torując drogę zdolnościom związanym z liczbami i odmiennym funkcjonowaniem percepcyjnym.

Istnieją ludzie, którzy nabyli zdolności sawantów po chorobie lub uszkodzeniu mózgu. Jednym z nich jest Orlando Serrell, którego uderzyła w głowę piłka bejsbolowa, gdy miał dziesięć lat. Kilka miesięcy później zaczął przypominać sobie ogromne ilości informacji, w tym numery tablic rejestracyjnych, słowa piosenek i prognozy pogody.

Podobne zmiany zanotowano u pacjentów cierpiących na demencję czołowo-skroniową, degeneracyjną chorobę mózgu atakującą płaty czołowe i skroniowe. Demencja czołowo-skroniowa dotyczy głównie ludzi dorosłych, zarówno po czterdziestym, po pięćdziesiątym, jak i po sześćdziesiątym roku życia.

Bruce Miller, neurolog z Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Francisco, twierdzi, że część jego pacjentów z demencją czołowo-skroniową samoistnie zaczęła interesować się sztuką i muzyką oraz że pojawiły się u nich zdolności w tych dziedzinach. Badania wykorzystujące obrazowanie mózgu pokazują, że u takich pacjentów znacznie zmniejsza się przepływ krwi do lewej półkuli i związane z tym procesy metaboliczne. Tymczasem prawa półkula mózgu, odpowiedzialna za procesy wizualne i przestrzenne, jest w dużo lepszym stanie.

Wygląda więc na to, że dziecięce ataki mogły w znacznym stopniu przyczynić się do tego, że jestem dziś tym, kim jestem. Wielu innych ludzi myślało podobnie o swoich doświadczeniach z epilepsją, między innymi Fiodor Dostojewski. Ten dziewiętnastowieczny rosyjski pisarz – autor takich klasycznych dzieł literatury jak *Zbrodnia i kara* oraz *Bracia Karamazow* – miał rzadką odmianę epilepsji płatów skroniowych, zwaną epilepsją ekstatyczną. Dostojewski miewał ataki głównie nocą, obejmowały one całe ciało. Przeżycia epileptyczne skłoniły go do stworzenia cierpiących na epilepsję bohaterów w czterech książkach: Kiryłowa w *Biesach*, Smierdiakowa w *Braciach Karamazow*, Nelly w *Skrzywdzonych i poniżonych* i księcia Myszkina w *Idiocie*.

Dostojewski następująco opisuje swoje doświadczenia epilepsji:

Na mgnienie doświadczam takiego szczęścia, jakie jest niemożliwe w normalnym stanie i o jakim nie mają pojęcia inni ludzie. Czuję pełną harmonię w sobie i w całym świecie i to uczucie jest tak silne i słodkie, że za kilka sekund takiej rozkoszy można oddać dziesięć lat życia, nawet całe życie.

Czułem, że niebo zstąpiło na ziemię i pochłonęło mnie. Naprawdę dosięgłem Boga i byłem nim przepojony. Wy wszyscy zdrowi ludzie nawet nie podejrzewacie, czym jest szczęście, to szczęście, którego my, epileptycy, doświadczamy na moment przed atakiem.

Uważa się, że pisarz i matematyk Lewis Carroll również cierpiał na epilepsję płatów skroniowych, która mogła zainspirować go do napisania jego najbardziej znanego dzieła, *Alicji w Krainie Czarów*. Poniższy fragment opisuje doświadczenie mimowolnego upadku, bardzo przypominającego upadek w czasie ataku epilepsji:

Alicja nie miała nawet chwili na pomyślenie, jak by się tu zatrzymać, a już poczuła, że spada jak gdyby w bardzo głęboką studnię.

...No! – pomyślała sobie – po takim upadku, nawet jak się przekoziółkuje ze schodów, to nic wielkiego!”...

W dół, w dół, w dół. Czy to spadanie nigdy się nie skończy?^[2]

Niektórzy naukowcy wierzą nawet, że może istnieć związek między epilepsją i kreatywnością. Pisarka Eve LaPlante porusza ten temat w swojej książce *Seized: Temporal Lobe Epilepsy as a Medical, Historical, and Artistic Phenomenon*. Opisuje w niej słynny przypadek malarza Vincenta van Gogha, cierpiącego na ostre ataki, po których czuł się przygnębiony, zdezorientowany i pobudzony. Mimo choroby van Gogh stworzył setki akwarel, obrazów olejnych i rysunków.

Gdy miałem około ośmiu lat, przez kilka miesięcy obsesyjnie pisałem po długich rolkach papieru komputerowego, często przez kilka godzin pod rząd, pokrywając ściśniętymi słowami arkusz za arkuszem. Rodzice musieli kupować dla mnie wielkie rolki papieru, bo wciąż mi go brakowało. Stawiałem maleńkie literki – jedna z nauczycielek żaliła się, że musiała zmienić okulary na mocniejsze, by czytać moje prace – bo bałem się, że nie starczy mi papieru, żeby zapisać słowa.

O ile pamiętam, historie, które pisałem, były przesycane opisami – mogłem poświęcić całą stronę na opisanie różnych detali jednego miejsca, jego kolorów, kształtów i faktury. Nie było tam żadnych dialogów ani emocji. Zamiast tego pisałem o długich tunelach ciągnących się głęboko pod wielkimi migoczącymi oceanami, o urwistych grotach skalnych i wieżach strzelających ku niebu.

Nie musiałem myśleć o tym, co pisałem, słowa po prostu wypływały mi z głowy. Nawet bez żadnego planowania moje historie zawsze były zrozumiałe. Gdy jedną z nich pokazałem nauczycielce, tak jej się spodobała, że przeczytała fragmenty na głos całej klasie. Mój wewnętrzny przymus pisania wkrótce zniknął tak samo niespodziewanie, jak się pojawił. Została mi jednak po nim trwała fascynacja słowami i językiem – coś, co od tamtej pory zawsze przynosiło mi wiele pożytku.

Dzięki ciągłemu postępowi w medycynie i technologii dziś coraz więcej ludzi cierpiących na epilepsję może uniknąć ataków. Szybko zanika napiętnowanie, któremu kiedyś poddawano osoby ze zdiagnozowaną epilepsją (i autyzmem). Mimo to wielu ludzi wciąż źle pojmuje zaburzenia wpływające na mózg. Rodzicom, u których dzieci zdiagnozowano epilepsję, radziłbym zdobyć jak najwięcej informacji o tym zaburzeniu. Najważniejsze to sprawić, by dziecko uwierzyło w siebie, by podążało za swoimi marzeniami, ponieważ to one kształtują przyszłość każdego człowieka.



Lata szkolne

Szkoła zaczęła się dla mnie we wrześniu 1984 roku, wtedy, gdy mój brat Lee poszedł do przedszkola. Ojciec odprowadzał mnie rano na zajęcia – czasem ze zniecierpliwieniem, bo szedłem bardzo wolno i wciąż się zatrzymywałem, by zbierać kamyki, które później trzymałem między palcami. Moja nauczycielka, pani Lemon, była wysoką szczupłą kobietą z krótkimi ciemnymi włosami. Lubilem jej nazwisko, bo gdy je słyszałem, od razu wyobrażałem sobie kształt i kolor cytryny^[3]. „Lemon” było jednym z pierwszych słów, które nauczyłem się pisać.

W szkole obok drzwi wejściowych była szatnia, gdzie przed pójściem na zajęcia zostawialiśmy kurtki. Niezbyt lubilem z niej korzystać, miała tylko jedno małe okno wysoko w ścianie i zawsze była ponura. Tak bardzo przerażała mnie wizja, że zgubię swoją kurtkę wśród wszystkich pozostałych lub wezmę do domu nie swoją, ale podobną, że zacząłem liczyć wieszaki, żeby dojść, który jest mój. Jeśli przychodziłem i okazywało się, że mój wieszak był już zajęty, wytrącało mnie to z równowagi i wpadałem w panikę. Pamiętam, że raz wszedłem w kurtce do klasy, ponieważ ktoś powiesił okrycie na moim wieszaku, chociaż w szatni wciąż było mnóstwo wolnych.

Klasa była prostokątna i wchodziło się do niej z prawej strony. W środku znajdowały się rzędy podpisanych imionami i nazwiskami dzieci szuflad, w których trzymaliśmy swoje kredki i papier. Każdy z nas dostał plastikową teczkę, również z kartką z imieniem i nazwiskiem przyklejoną w lewym

górnym rogu. Teczka zamykała się na górze na kolorowy zamek. Mieliśmy w niej trzymać książki i prace. Korzystałem ze swojej z ogromną starannością – zawsze pamiętałem, by z powrotem włożyć do niej książki, gdy nie były mi już potrzebne.

Moja ławka znajdowała się na końcu klasy przy oknie, oklejonym kolorowym papierem i rysunkami uczniów, skąd mogłem patrzeć na dzieci w klasie i nie musiałem nawiązywać kontaktu wzrokowego z żadnym z nich. Nie przypominam sobie żadnych imion ani twarzy dzieci z mojego pierwszego roku w szkole – zawsze czułem, że są czymś, z czym muszę sobie poradzić i rywalizować, w czym muszę odnajdować drogę, a nie osobami, które należy poznać i się z nimi bawić.

Często gdy stałem lub chodziłem po klasie, trzymałem ręce złożone razem na piersiach. Czasem zginałem palce, a potem odginałem któryś z nich i po prostu stałem z jednym lub kilkoma palcami sterczącymi w kierunku sufitu. Pewnego razu podniosłem środkowy palec i byłem zdziwiony, gdy jakiś chłopiec podszedł do mnie i powiedział, że przeklinam. „Jak palec może przeklinać?”, zapytałem, ale zamiast mi odpowiedzieć, chłopiec zawołał nauczycielkę, która natychmiast zbesztła mnie za niegrzeczne zachowanie.

Naprawdę polubiłem poranne apele. Po pierwsze, były przewidywalne, odbywały się każdego ranka o tej samej porze. Nauczycielka kazała nam ustawiać się w porządku alfabetycznym przed klasą, a następnie szliśmy gęsiego do auli. W auli przechodziliśmy przed dziećmi z innych klas, które siedziały cicho w równych rzędach, a następnie siadaliśmy na końcu. Sztywny porządek i rutyna uspokajały mnie i często siedziałem na podłodze w auli z zamkniętymi oczami, kołysząc się lekko i mruczając do siebie – robiłem tak często, gdy byłem odprężony i zadowolony.

Najlepszą częścią każdego apelu było śpiewanie pieśni, ja najbardziej lubiłem *He's Got the Whole World in His Hands* i *Oats, Peas, Beans and Barley Grow*^[4]. Zamykałem oczy i w skupieniu słuchałem, jak śpiewają inne dzieci, a nuty zlewały się w uspokajający, równy i płynny rytm. Przy muzyce zawsze czułem się spokojny i szczęśliwy. Apel był najciekawszą częścią mojego szkolnego dnia.

Wraz z moim pierwszym Bożym Narodzeniem w szkole nadeszły tradycyjne jasełka. Dostałem rolę jednego z pasterzy. Byłem przerażony na myśl o wystąpieniu przed całą szkołą – dziećmi, nauczycielami i rodzicami – i bardzo się denerwowałem, nie chciałem przymierzyć kostiumu pasterza ani rozmawiać na ten temat z nauczycielem. W końcu zainteresowała matka, która łakociami przekupiła mnie, bym wystąpił. Przez cały czas na scenie patrzyłem w podłogę, ale mimo to rodzice powiedzieli mi, że są ze mnie dumni. Po jasełkach nie chciałem zdjąć kostiumu, więc rodzice przekonali moją nauczycielkę, by pożyczyła mi go na ferie świąteczne. Tamtej i każdej kolejnej nocy aż do Nowego Roku spałem w oponczy i kapeluszu pasterza.

Miałem trudności z nauką w klasie – ciężko było mi się skoncentrować, gdy inne dzieci rozmawiały między sobą i gdy ktoś chodził lub biegał po korytarzu za drzwiami. Nie potrafię ignorować hałasów z zewnątrz, więc często zatykam uszy palcami, by się skoncentrować. Mój brat Steven ma ten sam problem i kiedy chce poczytać lub pomyśleć, wkłada zatyczki do uszu.

Gdy coś pisałem, przesiadywałem nad każdą literą, słowem i kropką. Jeśli zauważyłem plamę lub błąd, ścierałem wszystko i zaczynałem od początku. Przez to dążenie do perfekcji czasem pracowałem w ślimaczym tempie i kończyłem lekcję bliski wyczerpania, lecz nie miałem czym się pochwalić. Jednak nawet wtedy się nie martwiłem, że nauczycielka uzna mnie za lenia lub nieuka, i nigdy nie dbałem o to, co myślą o mnie inne dzieci. Nie rozumiałem idei uczenia się na własnych błędach.

Pisanie zawsze było dla mnie katorgą. Męczyłem się przy pewnych literach, szczególnie „g” i „k”, ponieważ po prostu nie mogłem zapamiętać, jak się je pisze. Ćwiczyłem pisanie „g” i „k” całymi rzędami, kartka za kartką, ale ich pętelki i ramiona były niezgodne z moją intuicją, więc minęło wiele czasu, zanim nabrałem wprawy w ich stawianiu. W pisaniu pozostawałem w tyle, bo nie potrafiłem pisać słów tak, by wszystkie litery były połączone. Pojedyncze znaki sprawiały mi sporo trudności, ale połączenia takie jak „gh” czy „th” były po prostu niemożliwe do napisania

jednym ruchem. Nawet dziś większość liter w słowach piszę oddzielnie, jedna po drugiej.

Każdy uczeń często dostawał do domu starą puszkę wypełnioną paskami papieru. Na każdym pasku było inne słowo, które należało ćwiczyć, i co tydzień mieliśmy testy, sprawdzające, w jakim stopniu opanowaliśmy pisownię zadanych wyrazów. Zawsze zaliczałem te testy bardzo dobrze, bo widziałem w głowie każde słowo dzięki kształtowi stworzonemu przez litery. Na przykład angielskie słowo *dog*, czyli „pies”, składa się z trzech okręgów z kreską na górze w pierwszej literze i pętelką na dole w ostatniej. Właściwie to słowo wygląda całkiem jak pies, jeśli wyobrazimy sobie, że kreska do góry jest jego uchem, a pętelka ogonem. Podobnie podwójne „o” w angielskim słowie *look*, czyli „patrzeć”, przypominało mi parę oczu. Palindromy – słowa, które nie zmieniają znaczenia przy zmianie kierunku czytania – na przykład, „sos” i „potop”, odczuwałem jako szczególnie piękne i należały do moich ulubionych.

Mniej więcej w czasie, gdy zacząłem chodzić do szkoły, polubiłem baśnie, wręcz zafascynowałem się nimi – historie i kunsztowne, pełne detali ilustracje wypełniły mi głowę żywymi obrazami miast zalewanych owsianką i księżniczek śpiących na łóżkach z setką materacy (pod którymi leżało jedno ziarnko grochu). Jedną z moich ulubionych baśni była baśń braci Grimm *Titelitur*. Wieczorami uwielbiałem słuchać, jak rodzice czytali egzotycznie brzmiące imiona, które wyliczała księżniczka, próbując odgadnąć imię przedącego złoto karzełka: Kacper, Melchior, Baltazar, Polikarp, Saturnin, Gracjan...

Duży wpływ miała na mnie również bajka *Zupa z kamienia*. W bajce wędrujący żołnierz przybywa do pewnej wioski i prosi o jedzenie i dach nad głową. Skąpi i bojaźliwi mieszkańcy wioski nie chcą mu pomóc, więc żołnierz oznajmia, że ugotuje im zupę z kamienia, a potrzebuje do tego jedynie kociołka, wody i kamienia. Oblizując się w oczekiwaniu na zupę, mieszkańcy zbierają się wokół żołnierza, który zaczyna gotować swoje danie. „Oczywiście ciężko przełknąć zupę z kamienia, jeśli nie ma w niej kapusty” – mówi do siebie na głos żołnierz. Jeden z mieszkańców zbliża się i wkłada do kociołka kapustę. Wtedy żołnierz mówi: „Kiedyś jadłem zupę

z kapustą i odrobiną solonej wołowiny – smakowała po królewsku!”. Naturalnie miejscowy rzeźnik przynosi soloną wołowinę, a następnie jeden po drugim mieszkańcy przynoszą ziemniaki, cebulę, marchew, grzyby i tak dalej, aż pyszna zupa dla całej wsi jest gotowa. Ta baśń była dla mnie wtedy wielką zagadką, bo nie znałem pojęcia oszustwa i nie rozumiałem, że żołnierz udawał, iż robi zupę z kamienia, aby podstępem zmusić mieszkańców, by się do zupy dołożyli. Dopiero wiele lat później w końcu zrozumiałem, o czym opowiadała ta baśń.

Niektóre fantastyczne opowieści były dla mnie jednak zbyt przerażające. Raz w tygodniu do klasy wtaczano na wózku telewizor i oglądaliśmy *Look and Read*, jeden z serii popularnych programów edukacyjnych stworzonych przez BBC. Najpopularniejszym był cykl *Dark Towers* (Mroczne wieże), w którym mała dziewczynka razem ze swoim psem szuka ukrytego skarbu w dziwnym starym domu zwanym Dark Towers. Ten program nadawano przez ponad dziesięć tygodni.

W pierwszym odcinku mała dziewczynka – Tracy – odkrywa dom Dark Towers i dowiaduje się, że najprawdopodobniej jest on nawiedzony. Pod koniec odcinka jeden z rodzinnych portretów zaczyna drżeć, a w pokoju robi się bardzo zimno. Tracy słyszy głos, który mówi jej, że dom jest w niebezpieczeństwie i że ona pomoże go uratować. Pamiętam, że w milczeniu oglądałem ten program z resztą klasy, huśtając cicho złączonymi nogami pod krzesłem. Nie doświadczałem żadnych emocji aż do końca, a wtedy ni stąd, ni zowąd poczułem, jak gdyby ktoś pstryknął włącznik w mojej głowie, i nagle zdałem sobie sprawę, że się boję. Wzburzony wybiegłem z klasy i nie chciałem wrócić, dopóki nie usunięto telewizora. Patrząc wstecz, rozumiem, czemu inne dzieci dokuczały mi i nazywały mnie mazgajem. Miałem prawie siedem lat i program nie przestraszył ani nie wyprowadził z równowagi żadnego innego dziecka w klasie. Mimo to co tydzień szedłem do gabinetu dyrektora, gdzie mogłem siedzieć i czekać, podczas gdy reszta klasy oglądała kolejny odcinek programu. Dyrektor miał w gabinecie mały telewizor i pamiętam, że oglądałem w nim wyścigi samochodowe – samochody jeździły bardzo

szybko dookoła toru wyścigowego; przynajmniej był to program, który mogłem oglądać.

Duży wpływ miał na mnie również inny program z serii *Look and Read* zatytułowany *Through the Dragon's Eye* (Przez smocze oko). Opowiada o trójce dzieci, które malują rysunek na szkolnym murze i przez niego przenoszą się do dziwnego świata zwanego Pelamar. Świat umiera, a dzieci próbują naprawić jego siłę życiową – błyszczącą sześciokątną strukturę, zniszczoną w czasie wybuchu. Z pomocą dobrego smoka Gorwena dzieci przemierzają świat w poszukiwaniu brakujących części.

Tym razem nie miałem żadnych ataków. Po pierwsze, byłem starszy, miałem dziesięć lat, a poza tym sam program mnie zafascynował. Był piękny pod względem wizualnym – dzieci wędrowały przez magiczną krainę z różnorodnymi pejzażami pełnymi kolorów. Niektóre postacie – strażnicy siły życiowej – były pomalowane od stóp do głów jaskrawymi barwami – na fioletowo, pomarańczowo i zielono. Była tam również ogromna mówiąca mysz i gigantyczna gąsienica. W jednej scenie z nieba spadają płatki śniegu, dzieci łapią je, a płatki magicznie zamieniają się w litery tworzące słowa (wskazówka, która ma pomóc dzieciom odnaleźć zagubione części siły życiowej). W innej – gwiazdy na nocnym niebie tworzą świecące znaki drogowe dla lecącego smoka Gorwena. Fascynowały mnie takie sceny, ponieważ historia była opowiadana głównie obrazami, a one najlepiej do mnie przemawiały, o wiele lepiej niż język mówiony.

Oglądanie telewizji w domu stało się nieodłączną częścią mojego rozkładu dnia po szkole. Matka mówi, że zawsze siedziałem bardzo blisko odbiornika i denerwowałem się, gdy próbowała mnie trochę odsunąć w trosce o mój wzrok. Nawet w gorące dni nigdy nie zdejmowałem kurtki po powrocie do domu ze szkoły i nosiłem ją przez cały czas, gdy oglądałem różne programy, a czasem nawet dłużej. Była dla mnie dodatkową warstwą ochronną przed światem zewnętrznym, jak zbroja dla rycerza.

Tymczasem rodzina się powiększała. Rodzice wcale nie byli religijni, po prostu kochali dzieci i zawsze chcieli mieć dużą rodzinę. Moja siostra, Claire, urodziła się w miesiącu, w którym zacząłem szkołę, a dwa lata

później na świat przyszedł mój drugi brat, Steven. Niedługo potem matka odkryła, że znowu jest w ciąży, z piątym dzieckiem, moim bratem Paulem, więc musieliśmy przenieść się do większego domu. Na początku nie reagowałem na powiększającą się gromadę rodzeństwa, siedziałem i bawiłem się sam w ciszy w swojej sypialni, podczas gdy bracia i siostra krzyczeli, bawili się i biegali na parterze i w ogrodzie. Ostatecznie ich obecność miała jednak na mnie bardzo dobry wpływ, ponieważ zmusiła mnie do stopniowego wykształcenia umiejętności społecznych. Ciągła obecność ludzi pomogła mi lepiej radzić sobie z hałasem i zmianą. Cicho obserwując z okna mojej sypialni zabawy rodzeństwa ze sobą nawzajem i z przyjaciółmi, zacząłem również się uczyć, jak obcować z innymi dziećmi.

W połowie 1987 roku przeprowadziliśmy się na ulicę Hendingham, pod numer 43. Co ciekawe, wszystkie moje adresy w dzieciństwie były liczbami pierwszymi: 5, 43, 181. Jeszcze lepiej, każdy z naszych bezpośrednich sąsiadów również miał liczbę pierwszą na drzwiach wejściowych: 3 (i 7), 41, 179. Takie pary liczbowe nazywają się liczbami bliźniaczymi – są to dwie liczby pierwsze, których różnica wynosi dwa. Im wyższe liczby, tym rzadziej rozmieszczone są liczby pierwsze, więc na przykład, aby mieć sąsiada spod numeru będącego liczbą pierwszą i zaczynającego się od 9, trzeba mieszkać na naprawdę długiej ulicy – pierwsza taka para to 9011 i 9013.

W roku, w którym się przeprowadziliśmy, była wyjątkowo surowa pogoda. Styczeń był w południowej Anglii najzimniejszy od stu lat, w niektórych miejscach temperatura spadła do minus dziewięciu stopni. Wraz z mrozem nadeszły duże opady śniegu i dni wolne od szkoły. Na dworze dzieci rzucały się śnieżkami i jeździły na sankach, ale mi wystarczało siedzenie przy oknie i obserwowanie wirujących płatków śniegu spadających z nieba. Później, gdy wszyscy już poszli do domów, odważyłem się sam wyjść na dwór i ulepiłem ze śniegu równe słupki o wysokości około metra. Tworzyły one okrąg, mój ulubiony kształt – żeby go zobaczyć, wystarczyło spojrzeć z góry z mojego okna. Odwiedził nas sąsiad i powiedział moim rodzicom: „Wasz syn ulepił ze śniegu Stonehenge”.

Rok 1987 był również rokiem wielkiego huraganu – w październiku południowo-wschodnią Anglię zaatakował huragan najsilniejszy od 1703 roku. Prędkość wiatru dochodziła miejscami do 160 kilometrów na godzinę, huragan spowodował śmierć osiemnastu osób. Tamtej nocy położyłem się spać, ale nie mogłem zasnąć. Rodzice niedawno kupili mi nową piżamę i materiał był drapiący, więc przewracałem się w łóżku. Obudził mnie hałas – wiatr zrywał z dachu dachówki i rzucał je na ulicę. Wdrapałem się na parapet i wyjrzałem przez okno: było ciemno, choć oko wykol. Było też bardzo ciepło jak na tę porę roku, miałem spocone ręce – kleiły się do parapetu, gdy z niego schodziłem. Wtedy usłyszałem skrzypiący hałas zbliżający się do mojego pokoju. Drzwi się otworzyły i do pokoju weszło drżące pomarańczowe światło na szczycie długiej białej świecy. Patrzyłem na nie, dopóki głos mojej matki nie zapytał, czy wszystko w porządku. Nic nie odpowiedziałem, bo przed sobą trzymała świecę i zastanawiałem się, czy chce mi ją dać, tak jak jasną czerwoną świeczkę do tortu, którą dała mi w ostatnie urodziny. Jednak nie chciałem świecy, bo to nie były jeszcze moje urodziny.

„Napijesz się gorącego mleka?” Skinąłem głową i powoli poszedłem za nią na dół do kuchni. Wszędzie było ciemno, ponieważ prąd został odcięty i nie działał żaden włącznik światła. Usiadłem z matką przy stole i wypilem pieniste mleko, które przygotowała i wlała do mojego ulubionego kubka – był cały w kolorowe kropki i piłem z niego wszystko. Odprowadziła mnie na górę do pokoju, położyłem się do łóżka, przykryłem głowę kołdrą i zasnąłem.

Rano obudził mnie ojciec i powiedział, że dziś nie ma szkoły. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem połamane dachówki i pokrywy od śmietników rozrzucone po całej ulicy oraz ludzi w małych grupach, rozmawiających i potrząsających głowami.

Na dole rodzina zgromadziła się w kuchni i wszyscy patrzyli na ogród na tyłach domu. Huragan wyrwał z ziemi duże drzewo na końcu ogrodu, gałęzie i korzenie rozłożyły się na trawie. Dopiero po kilku tygodniach drzewo można było pociąć i uprzątnąć. Do tego czasu spędziłem wiele radosnych godzin samotnie, wspinając się na pień i ukrywając się

w gałęziach, a do domu zawsze wracałem cały w robakach, brudny i podrapany.

Dom na ulicy Hedingham znajdował się naprzeciwko mojej szkoły. Z okna swojego pokoju widziałem parking dla nauczycieli i to dawało mi poczucie bezpieczeństwa. Każdego dnia po szkole biegłem do pokoju i patrzyłem, jak samochody odjeżdżają. Liczyłem je, gdy wyjeżdżały, i zapamiętywałem numery tablic rejestracyjnych. Dopiero gdy odjechał ostatni samochód, schodziłem z parapetu i szedłem na dół na kolację.

Najlepiej pamiętam z tego domu wyprane pieluchy, schnące na grzejniku, i dzieci z płaczem domagające się mleka na kolanach u rodziców. Rok po przeprowadzce matka urodziła po raz szósty, bliźniaczki. Pojawienie się Marii i Natashy w naszej rodzinie bardzo ucieszyło matkę, ponieważ mając czterech synów i jedną córkę, miała nadzieję na więcej dziewczynek, które pomogłyby wyrównać proporcję między płciami. Gdy matka wróciła ze szpitala, zawołała mnie na dół, bym zobaczył swoje nowe małe siostrzyczki. To był lipiec – środek lata – i widać było, że jest jej gorąco, bo włosy kleiły się jej do czoła. Ojciec kazał mi usiąść na kanapie w salonie i siedzieć prosto. Powoli podniósł dzieci i podał mi je ostrożnie tak, że trzymałem każde na jednej ręce. Popatrzyłem na nie, miały grube policzki i maleńkie palce, były ubrane w takie same różowe ubranka z małymi plastikowymi guzikami. Jeden z guzików był rozpięty, więc go zapiąłem.

Z wielkością rodziny wiązały się specyficzne wyzwania. Kąpiel zawsze była pospiesznym i tłocznym przedsięwzięciem. W każdy niedzielny wieczór o szóstej ojciec podwijał rękawy i wołał chłopców (mnie i moich braci: Lee, Stevena i Paula) do łazienki na nasze cotygodniowe ablucje. Nienawidziłem czasu kąpieli: dzielenia wanny z braćmi; gorącej wody z mydłem, którą lano mi z dzbanka na włosy i twarz; chlapania się braci; ciepła pary, która wypełniała łazienkę. Często płakałem, ale rodzice nalegali, bym kąpał się z innymi. Przy tylu osobach w domu gorąca kąpiel była na wagę złota.

Tak samo jak pieniądze. Mając pięcioro dzieci poniżej czwartego roku życia, oboje rodzice nie pracowali, tylko wychowywali pociechy. Brak

żywiciela rodziny sprawił, że napięcie rosło, rodzice coraz częściej kłócili się o to, co, gdzie i kiedy kupić. Mimo to robili wszystko, co w ich mocy, by nam, dzieciom, nigdy nie brakowało takich rzeczy jak jedzenie, ubrania, książki czy zabawki. Matka była mistrzynią w wyszukiwaniu okazji w miejscowych sklepach z rzeczami używanymi, a ojciec okazał się złotą rączką i robił różne rzeczy w domu. Razem tworzyli zgrany zespół.

Kiedy tylko mogłem, trzymałem się z dala od codziennej wrzawy. Moi bliscy wiedzieli, że o każdej porze dnia można mnie znaleźć w pokoju, który dzieliłem z bratem Lee. Nawet latem, gdy bracia i siostry biegali na dworze w słońcu, ja siedziałem na podłodze w swoim pokoju ze skrzyżowanymi nogami i rękami na kolanach. Siedziałem na grubym i chropowatym dywanie w kolorze czerwonej cegły i często pocierałem grzbietem dłoni o jego powierzchnię, ponieważ lubiłem czuć jego fakturę na skórze. Przy ładnej pogodzie do pokoju wpadało słońce, nadając blask unoszącym się wokół mnie w powietrzu drobinkom kurzu, które układały się w smugę piegowatego światła. Siedząc nieruchomo i cicho, godzina za godziną, uważnie obserwowałem zmienne fale różnych odcieni i barw na ścianach i meblach w pokoju w miarę przemijania dnia – widoczny dla oczu upływ czasu.

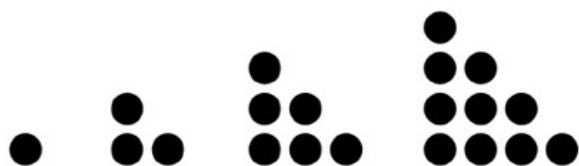
Znając moją obsesję na punkcie liczb, matka dała mi książkę z matematycznymi zagadkami dla dzieci, którą wypatrzyła w sklepie z używanymi rzeczami. Pamiętam, że było to mniej więcej w czasie, gdy zacząłem szkołę podstawową, bo pan Thraves – mój nauczyciel – beształ mnie, gdy przynosiłem ją ze sobą na lekcje. Uważał, że spędzam za dużo czasu, myśląc o liczbach, a za mało uczestnicząc w lekcji razem z klasą – i oczywiście miał rację.

Jedno z zadań w książce było następujące: W pomieszczeniu znajduje się dwadzieścia siedem osób i każda podaje dłoń każdej. Ile uścisków dłoni zostanie wymienionych?

Gdy czytałem to zadanie, zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie dwie osoby w dużej bańce powietrza, a następnie przyczepione do niej pół bańki z jedną osobą w środku. Para w dużej bańce podała sobie dłonie, a następnie każda z tych osób podała rękę trzeciemu człowiekowi

w półbańce. Oznaczało to trzy uściski dłoni dla trzech ludzi. Później wyobraziłem sobie przyczepioną do dużej bańki z drugiej strony kolejną półbańkę, a w niej czwartą osobę. Każda osoba z pary w dużej bańce podała rękę tej osobie, a następnie ludzie z półbańki ścisnęli sobie nawzajem dłonie. Było więc sześć uścisków dłoni pomiędzy czterema osobami. Myślałem dalej w ten sposób, wyobrażając sobie jeszcze dwie osoby w następnych dwóch półbańkach, aż miałem sześcioro ludzi i piętnaście uścisków dłoni. Seria uścisków wyglądała następująco: 1, 3, 6, 10, 15...

Zdałem sobie wtedy sprawę, że to liczby trójkątne. Są to liczby, z których można ułożyć trójkąt, gdy przedstawi się je jako zbiór kropek, w ten sposób:



Liczby trójkątne powstają następująco: $1 + 2 + 3 + 4 + 5 \dots$, gdzie $1 + 2 = 3$ i $1 + 2 + 3 = 6$ i $1 + 2 + 3 + 4 = 10$ itd. Pewnie zauważyliście, że dwie kolejne liczby trójkątne tworzą liczbę kwadratową, czyli $6 + 10 = 16$ (4×4) i $10 + 15 = 25$ (5×5). Aby to zobaczyć, należy obrócić szóstkę tak, by pasowała do prawego górnego rogu nad dziesiątką:



Zrozumiawszy, że odpowiedź do zadania o uściskach dłoni była liczbą trójkątną, zauważyłem prawidłowość, która pomogła mi w rozwiązaniu problemu. Na początek wiedziałem, że pierwsza liczba trójkątna – jeden –

zaczyna się przy dwóch osobach, minimalnej liczbie potrzebnej do jednego uścisku dłoni. Jeśli seria liczb trójkątnych zaczyna się przy dwóch osobach, to dwudziesta szоста liczba w serii będzie odpowiadała liczbie uścisków dłoni wykonanych przez dwudziestu siedmiu ludzi, którzy podają sobie ręce.

Zobaczyłem następnie, że dziesięć, czyli czwarta liczba w serii, jest związana z czwórką: $(4 + 1) \times 4/2$, i że dotyczyło to wszystkich liczb w serii – na przykład piętnaście, piąta liczba trójkątna to $(5 + 1) \times 5/2$. Więc rozwiązanie zagadki to $(26 + 1) \times 26/2 = 27 \times 13 = 351$.

Uwielbiałem rozwiązywać te zagadki – zmuszały mnie do wysiłku, którego nie wymagała ode mnie matematyka w szkole. Spędzałem godziny, czytając i rozwiązując zadania, zarówno na lekcjach, na boisku, jak i w moim pokoju w domu. Na stronach tej książki znalazłem spokój i zadowolenie, na jakiś czas ja i książka staliśmy się nierozłączni.

Jednym z największych powodów frustracji rodziców było moje obsesyjne zbieranie różnych rzeczy, takich jak lśniące brązowe kasztany, których mnóstwo leżało jesienią pod wielkimi drzewami wzdłuż długiej drogi niedaleko naszego domu. Drzewa fascynowały mnie, odkąd tylko pamiętam – uwielbiałem pocierać dłońmi szorstką, pomarszczoną korę i wciskać opuszki palców w jej bruzdy. Opadające liście kreśliły w powietrzu spirale, takie same jak te, które widziałem, gdy wykonywałem dzielenie w głowie.

Rodzice nie lubili, gdy wychodziłem sam, więc zbierałem kasztany z moim bratem Lee. Wcale mi to nie przeszkadzało, był dodatkową parą rąk. Podnosiłem każdego kasztana palcami z ziemi i wciskałem gładki okrągły kształt w zagłębienie dłoni (to zwyczaj, który mam do dziś – to odczucie dotyku w pewien sposób poprawia mi nastrój, choć dziś używam monet lub szklanych kulek do gry). Po kolei wypełniałem kieszenie kasztanami, aż wszystkie były wypchane. To było jak wewnętrzny przymus, po prostu musiałem podnieść każdy kasztan, który widziałem, i złożyć je wszystkie w jednym miejscu. Zdejmowałem buty i skarpety, również

wkładałem do nich kasztany i wracałem do domu na bosaka z rękami, ramionami i kieszeniami wypełnionymi po brzegi.

W domu wysypywałem kasztany na podłogę w swoim pokoju i w kółko je liczyłem. Ojciec przyniósł plastikowy worek na śmieci. Miałem liczyć kasztany i wrzucać je do worka. Każdego dnia godzinami zbierałem kasztany, przynosiłem do pokoju i wkładałem do szybko wypełniającego się worka w kącie. W końcu rodzice w obawie, że waga zgromadzonych kasztanów uszkodzi sufit w pokoju, który znajdował się pod moim, wynieśli worek do ogrodu. Nie walczyli z moją obsesją i pozwolili mi na dalsze zabawy z kasztanami w ogrodzie, ale nie mogłem wnosić ich do domu, bo gdybym zostawił jakiś kasztan na podłodze, moja młodsza siostra mogłaby się nim udławić. Mijały miesiące i moje zainteresowanie w końcu wygasło, a kasztany pleśniały, dopóki rodzice nie wyprawili ich na wysypisko śmieci.

Niedługo później przyszło obsesyjne zainteresowanie zbieraniem ulotek, najróżniejszych kształtów. Regularnie wrzucano je przez szparę na listy w drzwiach razem z lokalną gazetą lub poranną pocztą, a ja byłem zafascynowany ich lśniącą powierzchnią i symetrycznym kształtem (nie miało znaczenia, co reklamowały – tekst w ogóle mnie nie interesował). Rodzice szybko zaczęli się skarżyć na chwiejne stosy zgromadzone w każdej szufladzie i na każdej półce w domu, tym bardziej że ulotki wysypywały się na podłogę za każdym razem, gdy otworzyło się drzwi jakiejś szafki. Podobnie jak z kasztanami, moja mania ulotkowa z czasem stopniowo zanikła, ku wielkiej uldze rodziców.

Gdy byłem grzeczny, w nagrodę dostawałem kieszonkowe. Na przykład, jeśli na podłodze leżały ulotki, miałem je pozbierać i włożyć z powrotem do szuflady. W zamian za to rodzice dawali mi monety o niskiej wartości, ponieważ wiedzieli, jak bardzo kocham okręgi. Spędzałem godziny, starannie układając monety jedna na drugiej, aż przypominały chwiejne lśniące wieże, których wysokość dochodziła do kilkudziesięciu centymetrów. Matka zawsze prosiła w sklepach o dużo drobnych, tak by nigdy nie brakło mi monet na wieże. Czasem budowałem wokół siebie

kilka równych stosów tworzących krąg i siadałem w środku, otoczony nimi z każdej strony, z poczuciem wewnętrznego spokoju i bezpieczeństwa.

Gdy we wrześniu 1988 roku rozpoczęły się Igrzyska Olimpijskie w Seulu w Korei Południowej, moją uwagę przykuło bogactwo różnych widoków i dźwięków w telewizji, innych niż wszystko, co do tej pory widziałem. Z 8465 uczestnikami z 159 państw była to największa z dotychczasowych olimpiada w historii. Pojawiło się tak wiele nadzwyczajnych obrazów: pływacy uderzający lśniąca pienistą wodę, ich głowy w okularkach rytmicznie podskakujące przy każdym ruchu; sprinterzy gnający po torze, ich brązowe muskularne ręce i nogi zlewające się w smugę; gimnastycy skaczący, wyginający się i wykonujący salta w powietrzu. Transmisja igrzysk w telewizji pochłonęła mnie i oglądałem je w salonie, ile tylko mogłem, niezależnie od dyscypliny sportu i wydarzenia.

Szczęśliwym trafem nasz nauczyciel zadał nam pracę domową dotyczącą igrzysk w Seulu. Cały następny tydzień wycinałem i przyklejałem na kolorowe kartonowe arkusze setki zdjęć pokazujących różnych sportowców i różne dyscypliny, wycinanych z gazet i czasopism, a ojciec pomagał mi z nożyczkami. Decydując, jak zorganizować różne wycinki, kierowałem się względami wyłącznie wizualnymi: sportowców ubranych na czerwono przykleiłem na jeden arkusz, tych na żółto na inny, tych na białą na kolejny i tak dalej. Na mniejszych kartkach w linię wypisałem, najładniej, jak potrafiłem, nazwy wszystkich krajów, o których znalazłem wzmianki w gazetach przy uczestnikach igrzysk. Wypisałem także wszystkie dyscypliny, łącznie z taekwondo – narodowym sportem Korei – i tenisem stołowym, który w Seulu miał swój olimpijski debiut. Zrobiłem również listy zestawień i wyników, zawierające nawet punkty, czas biegów, pobite rekordy i zdobyte medale. Ostatecznie miałem tak wiele arkuszy wycinków i zapisanych stron, że ojciec musiał w każdym zrobić otwór i połączyć je sznurkiem. Na okładce narysowałem niebieskie, żółte, czarne, zielone i czerwone koła olimpijskie. Nauczyciel postawił mi najwyższą ocenę za czas i pracę poświęcone na zadanie.

Czytałem o wielu różnych krajach reprezentowanych na olimpiadzie i zapragnąłem dowiedzieć się o nich więcej. Pamiętam, że pożyczyłem z biblioteki książkę o językach z całego świata. Były w niej opisy i ilustracje starożytnego pisma fenickiego. Pochodzi ono mniej więcej z x wieku p.n.e. i uważa się, że dało początek wielu współczesnym alfabetom, w tym hebrajskiemu, arabskiemu, greckiemu i cyrylicy. Podobnie jak arabski i hebrajski, fenicki jest alfabetycznym pismem spółgłoskowym i nie ma znaków odpowiadających samogłoskom – należy je odczytywać z kontekstu. Słowa były zwykle pisane od prawej strony do lewej. Zafascynowały mnie charakterystyczne linie i zakrzywienia różnych liter, zacząłem nawet zapełniać kolejne notesy długimi zdaniami i historiami, pisanymi wyłącznie pismem fenickim. Używając kolorowej kredy, pokryłem ściany w szopie w ogrodzie swoimi ulubionymi słowami złożonymi w całości z fenickich liter. Poniżej znajduje się moje imię, Daniel, napisane pismem fenickim:



W następnym roku, gdy miałem dziesięć lat, umarł sąsiad, który był już w podeszłym wieku, i na naszą ulicę wprowadziła się młoda rodzina. Pewnego dnia matka otworzyła drzwi małej dziewczynce z jasnymi włosami, która powiedziała, że widziała dziewczynkę z naszego domu bawiącą się na dworze (tą dziewczynką była moja siostra Claire) i zapytała, czy mogłaby się z nią pobawić. Matka przedstawiła ją siostrze i mnie – uznała to za dobrą okazję, bym zaprzyjaźnił się z dziećmi z sąsiedztwa – i poszliśmy do jej domu, gdzie siedzieliśmy na werandzie w ogrodzie przed domem. Moja siostra i dziewczynka wkrótce bardzo się zaprzyjaźniły i większość dni spędzały na wspólnych zabawach w jej ogrodzie. Na imię było jej Heidi i miała około sześciu lub siedmiu lat. Jej matka była Finką,

ale ojciec pochodził ze Szkocji, więc Heidi dorastała, mówiąc po angielsku, i dopiero teraz zaczynała poznawać pierwsze fińskie słowa.

Heidi miała kilka książek dla dzieci z obrazkami w jasnych kolorach i opisującymi je fińskimi słowami. Pod rysunkiem lśniącego czerwonego jabłka było słowo *omena*, a pod rysunkiem buta widniało słowo *kenkä*. Czytałem i słyszałem fińskie słowa i zachwyciałem się ich kształtem i brzmieniem. Podczas gdy moja siostra i Heidi się bawiły, ja siedziałem i przeglądałem książki, zapamiętując większość słów. Mimo że znacznie różniły się od słów angielskich, bardzo szybko się ich nauczyłem i bez trudu wszystkie zapamiętywałem. Zawsze, gdy wychodziłem z ogrodu Heidi, żegnałem się z nią słowami *Hei Hei!* – fińskim zwrotem oznaczającym „do widzenia!”.

Tamtego lata po raz pierwszy mogłem sam chodzić do pobliskiej szkoły i z powrotem. Wzdłuż drogi ciągnęły się żywopłoty i pewnego popołudnia, gdy wracałem po lekcjach do domu, w jednym z nich zauważyłem maleńkiego czerwonego owada pokrytego czarnymi kropkami. Zafascynował mnie, więc usiadłem na chodniku i obserwowałem uważnie, jak wspinał się na każdy listek i gałązkę, a potem chował pod nimi, zatrzymując się, ruszając i znowu się zatrzymując w różnych punktach w czasie podróży. Mały grzbiet owada był okrągły i lśniący, a ja w kółko liczyłem jego kropki. Przechodnie musieli mnie omijać, niektórzy mruczeli coś pod nosem. Siedziałem im na drodze, ale wtedy nie miałem czasu myśleć o czymkolwiek poza biedronką, którą miałem przed sobą. Ostrożnie wyciągnąłem palec, by się na niego wspieła, i pobiegłem z nią do domu.

Wcześniej widziałem biedronki jedynie na obrazkach w książkach, ale dużo o nich czytałem i wiedziałem na przykład, że w wielu kulturach uważa się, iż przynoszą szczęście, ponieważ żywią się szkodnikami (mogą zjeść pięćdziesiąt do sześćdziesięciu mszyc dziennie) i pomagają chronić plony. W średniowieczu rolnicy uważali, że są one pomocą boską i dlatego nazwano je „barankami Panny Marii”, na cześć Dziewicy Maryi. Czarne kropki biedronek pobierają energię słoneczną, a kolory owadów odstraszają potencjalnych drapieżników, ponieważ większość z nich kojarzy jasne

barwy z trucizną. Biedronki wytwarzają również substancję chemiczną, która paskudnie smakuje i pachnie, więc drapieżniki ich nie tkną.

Byłem bardzo podekscytowany swoim znaleziskiem i chciałem zebrać tyle biedronek, ile się da. Matka zobaczyła małego owada w mojej dłoni, gdy wchodziłem do domu, oznajmiła, że biedronki są „przylepami” i że powinienem powiedzieć „biedroneczko, biedroneczko, leć do nieba!”, ale nie powiedziałem tego, bo nie chciałem, żeby odleciała. Na górze w pokoju miałem plastikowe pudełko, w którym trzymałem kolekcję monet. Wysypałem monety na podłogę i włożyłem do pudełka biedronkę. Następnie wróciłem na dwór i przez kilka godzin – dopóki nie zrobiło się tak ciemno, że już nic nie było widać – szukałem w żywopłotach innych biedronek. Za każdym razem, gdy jakąś znalazłem, ostrożnie brałem ją na palce i wkładałem do pudełka. Przeczytałem, że biedronki lubią liście i mszyce, więc narwałem z żywopłotu dużo liści i trochę pokrzyw, na których siedziały mszyce, i włożyłem je do pudełka z biedronkami.

Po powrocie do domu zabrałem pudełko do swojego pokoju i położyłem na stole przy łóżku. Igłą zrobiłem dziurki w ściankach, żeby biedronki miały dużo powietrza i światła w swoim nowym mieszkaniu, a następnie wieko pudełka przycisnąłem dużą książką, by biedronki nie rozleciały się po całym domu. Przez cały tydzień każdego dnia po szkole wychodziłem zbierać liście i mszyce dla biedronek i wkładałem je do pudełka. Niektóre liście skrapiałem wodą, żeby biedronki mogły się napić.

W szkole bez przerwy opowiadałem o biedronkach, aż w końcu doprowadzony do rozpaczy nauczyciel, pan Thraves, poprosił, bym je przyniósł. Następnego dnia wziąłem pudełko do szkoły i pokazałem moją kolekcję biedronek jemu i dzieciom w klasie. Do tego czasu znalazłem i włożyłem do pudełka setki owadów. Spojrzał tylko i powiedział, bym postawił pudełko na jego biurku. Dał mi złożoną kartkę papieru i poprosił o zanieśenie jej nauczycielowi w klasie obok. Trwało to kilka minut. Gdy wróciłem, pudełka nie było. Pan Thraves w obawie, że biedronki mogą uciec z pudełka i rozlecieć się po całej klasie, kazał jednemu z dzieci zabrać je na dwór i wypuścić na wolność. Gdy zrozumiałem, co się stało, poczułem, że zaraz eksploduje mi głowa. Wybuchnąłem płaczem,

wybiegłem z klasy i biegłem całą drogę do domu. Byłem kompletnie zrozpaczony, tygodniami nie odezwałem się słowem do tego nauczyciela i denerwowałem się, jeśli choć wypowiedział moje imię.

Przy innych okazjach pan Thraves potrafił być dla mnie wyjątkowo miły. Zawsze, gdy zaczynałem się niepokoić lub denerwować na lekcji, brał mnie do sali muzycznej i tam pomagał mi się uspokoić. Był muzykiem i na swoich lekcjach często grał nam na gitarze. W sali było mnóstwo instrumentów, w tym talerze, bębny i pianino, które wykorzystywano w różnych szkolnych przedstawieniach w ciągu roku. Pokazał mi, jak różne nuty można grać na różnych klawiszach pianina, i nauczył mnie kilku prostych melodii. Lubilem chodzić do tej sali, siedzieć przy pianinie i eksperymentować z klawiszami. Zawsze kochałem muzykę, bo dzięki niej mijało każde moje zdenerwowanie i czułem się uspokojony i opanowany.

W czasie pobytu w szkole często ogarniało mnie uczucie dużego niepokoju. Wytrącało mnie z równowagi, jeśli o jakimś wydarzeniu, w którym wszyscy musieli wziąć udział, mówiono nam w ostatniej chwili lub jeśli w codziennej szkolnej rutynie zachodziły jakieś zmiany. Przewidywalność była dla mnie bardzo ważna, dzięki niej czułem, że radzę sobie w danej sytuacji, że panuję nad niepokojem, przynajmniej chwilowo. Nigdy nie czułem się swobodnie w szkole i rzadko byłem szczęśliwy, z wyjątkiem sytuacji, gdy pozostawiano mnie samemu sobie i mogłem robić, co chciałem. O tym, w jakim napięciu wtedy żyłem, świadczyły częste bóle głowy i brzucha. Czasem było tak źle, że w ogóle nie docierałem na lekcje, jeśli na przykład spóźniłem się kilka minut i klasa już poszła do auli. Przerażała mnie myśl, że muszę wejść do auli sam, a nie chciałem czekać na hałaśliwe tłumy dzieci powracających z apelu, więc szedłem prosto do domu, do swojego pokoju.

Źródłem prawdziwej udręki był dla mnie doroczny szkolny dzień sportu. Nie miałem ochoty brać w nim udziału, a sport w ogóle mnie nie interesował. Ten dzień oznaczał tłumy krzyczących kibiców na imprezach typu wyścigi w workach i wyścigi z jajkiem na łyżce, a połączenie tłumów i hałasu (i dość często letniego upału) było ponad moje siły. Rodzice zwykle pozwalali mi zostać w domu, nie chcąc ryzykować ataku paniki.

Czasem, gdy czułem, że sytuacja mnie przerasta, robiłem się czerwony na twarzy i bardzo mocno uderzałem się po głowie, aż do mocnego bólu. Czułem w sobie takie napięcie, że po prostu musiałem coś zrobić, cokolwiek, by je uwolnić.

Zdarzyło się to raz podczas lekcji przyrody, gdy pan Thraves pomagał jednemu z uczniów przygotować eksperyment, do którego potrzebna była kulka z ciastoliny zawieszona na sznurku. Ten niezwykle widok tak mnie zafascynował, że – nie zdając sobie sprawy, iż jest to część eksperymentu – podszedłem i zacząłem dotykać kulkę i obracać ją w palcach. W tym momencie nauczyciel się zdenerwował, że bez powodu przeszkadzam (przynajmniej tak to rozumiał), i zbeształ mnie, ale ja nie miałem pojęcia, dlaczego się zezłościł, byłem zdezorientowany i wytrącony z równowagi. Wybiegłem z klasy, trzaskając drzwiami z taką siłą, że ich szklana szyba rozbiła się w drobny mak. Wciąż pamiętam stłumione okrzyki dzieci, gdy wybiegałem z klasy. Kiedy przyszedłem do domu, rodzice wyjaśnili mi, że na przyszłość powinienem bardzo starać się nie reagować w ten sposób. Musieli iść na rozmowę z dyrektorem, napisać list z przeprosinami i zapłacić za wstawienie nowej szyby.

Pewnego razu rodzicom przyszło do głowy, że skakanie na skakance może pomóc mi uporać się z emocjami. Mieli nadzieję, że to poprawi moją zdolność koordynacji i zachęci mnie do częstszego przebywania na świeżym powietrzu, poza moim pokojem. Minęło trochę czasu, nim przyzwyczailem się do skakanki, ale wkrótce mogłem już długo skakać, miałem wtedy lepszy nastrój i czułem wewnętrzny spokój. W czasie skakania liczyłem skoki i wizualizowałem kształt i fakturę, które według mnie miała dana liczba.

Często czułem się zdezorientowany, gdy na lekcji dawano nam arkusze z ćwiczeniami arytmetycznymi, na których różne cyfry i liczby były czarne i wyglądały identycznie. Wydawało mi się, że arkusze są pełne błędów. Nie mogłem na przykład zrozumieć, dlaczego osiem nie było większe od sześciu albo dlaczego dziewięć było czarne, a nie niebieskie. Tłumaczyłem sobie, że szkoła wydrukowała zbyt wiele dziewiątek na poprzednich arkuszach i skończył im się tusz w odpowiednim kolorze. Gdy pisałem

odpowiedzi na kartce, nauczyciel narzekał, że moje pismo jest zbyt nierówne i nieuporządkowane, więc kazano mi pisać każdą cyfrę i liczbę tak samo jak inne. Nie podobało mi się, że musiałem pisać liczby nieprawidłowo, a wyglądało na to, że żadnemu innemu dziecku to nie przeszkadza. Dopiero jako nastolatek zdałem sobie sprawę, że doświadczałem liczb zupełnie inaczej niż pozostałe dzieci.

Zawsze rozwiązywałem zadania o wiele szybciej niż inni uczniowie w klasie. Z czasem wyprzedziłem wszystkich w przerabianiu podręcznika. Gdy kończyłem, musiałem cicho siedzieć w ławce, by nie przeszkadzać innym w pracy. Opierałem głowę na rękach i myślałem o liczbach. Czasem, zatopiony w myślach, zaczynałem cichutko mruczeć do siebie, nie zdając sobie z tego sprawy, dopóki nauczyciel nie podchodził do mojej ławki, wtedy dostrzegałem to i przestawałem.

Aby się czymś zająć, tworzyłem własne kody, zastępując litery liczbami, więc na przykład „24 1 79 5 3 62” było zaszyfrowanym słowem „Daniel”. Połączyłem tu w pary litery alfabetu: (ab), (cd), (ef), (gh), (ij) itd. i każdej parze przyporządkowałem liczbę od 1 do 13: (ab) – 1, (cd) – 2, (ef) – 3, (gh) – 4, (ij) – 5 itd. Wtedy należało już tylko rozróżnić pomiędzy literami w każdej parze. Zrobiłem to, dodając losową cyfrę, jeśli potrzebna mi była druga litera w parze. Jeśli potrzebowałem pierwszej, to po prostu pisałem liczbę odpowiadającą parze, w której się ona znajdowała. „24” oznaczało więc drugą literę w drugiej parze, „d”, a pod „1” kryła się pierwsza litera pierwszej pary liter, „a”.

Gdy nauczyciel się zgodził, często po lekcjach zabierałem ze sobą podręczniki do matematyki. Leżałem na brzuchu na podłodze w swoim pokoju z książką przed oczami i godzinami wykonywałem obliczenia. Pewnego razu mój brat Lee siedział w pokoju i mnie obserwował. Wiedział, że uwielbiałem mnożyć liczby przez siebie, więc dawał mi różne zadania i sprawdzał odpowiedzi na kalkulatorze: „23? 529”, „48? 2304”, „95? 9025”. Następnie podał mi bardziej złożone działanie: „ $82 \times 82 \times 82 \times 82$?”. Myślałem przez jakieś dziesięć sekund, ścisnąłem dłonie w pięści, a głowę wypełniały mi kształty, kolory i faktury. „45 212 176” powiedziałem. Brat nic nie odpowiedział, więc na niego spojrzałem. Jego

twarz wyglądała inaczej – uśmiechał się. Do tamtej chwili nie mieliśmy ze sobą bliskich relacji. Po raz pierwszy w życiu widziałem, że się do mnie uśmiecha.

W czasie mojego ostatniego lata w szkole imienia Dorothy Barley nauczyciele zorganizowali dla kilku klas, łącznie z moją, tygodniową wycieczkę do Trewern, ośrodka edukacyjnego na wolnym powietrzu, położonego na wsi na granicy między Anglią i Walią. Rodzice sądzili, że będzie to dla mnie doskonała okazja, bym spędził kilka dni w innym otoczeniu. Po uczniów i nauczycieli przyjechał długi lśniący autobus z kierowcą, który pachniał tytoniem. Ojciec pomógł mi spakować na wyjazd ubrania i książki i poszedł mnie odprowadzić.

W ośrodku dzieci podzielono na małe grupki i każdej z nich przydzielono mały domek, w którym miała mieszkać przez tydzień. W każdym domku miejsca starczało akurat na piętrowe łóżka, zlew i stół z krzesłami. Nie znośiłem przebywać poza domem, bo wszystko było inaczej, a ja ciężko radzę sobie z dużą ilością zmian. Musieliśmy wstawać bardzo wcześnie – około piątej każdego ranka – i biegać po polu w koszulkach i spodenkach. Cały czas chodziłem bardzo głodny, bo w ośrodku nie było jedzenia, do którego byłem przyzwyczajony w domu, czyli płatków śniadaniowych Weetabix i kanapek z masłem orzechowym. Miałem również mało czasu dla siebie, ponieważ przez cały dzień mieliśmy uczestniczyć w zajęciach grupowych.

Wśród nich była konna wycieczka, organizowana przez miejscową stadninę. Dzień składał się z nauki panowania nad kucykiem, a następnie przejażdżki po lokalnych ścieżkach w towarzystwie instruktora. Bardzo ciężko było mi utrzymać równowagę na kucyku i ślizgałem się w siodle, więc trzymałem lejce bardzo mocno, żeby nie spaść. Jedna z właścicielek stajni zobaczyła to, wpadła w złość i zaczęła na mnie krzyczeć. Kochała swoje zwierzęta, ale ja nie rozumiałem wtedy, co zrobiłem źle, i bardzo się zdenerwowałem. Po tym wydarzeniu stawałem się coraz bardziej zamknięty w sobie i spędzałem tyle czasu, ile mogłem, sam w domku.

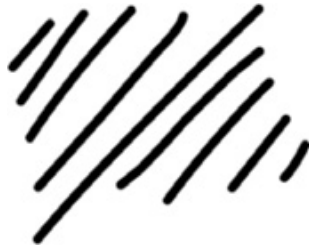
Były również inne zajęcia grupowe, w tym przejście przez podziemną jaskinię. Wszędzie panowały ciemności i każdy musiał założyć kask

z latarką. W jaskini było zimno, mokro i ślisko, więc ucieszyłem się, gdy wyszliśmy z niej na most z bali biegnący nad potokiem. Gdy powoli po nim przechodziłem, jeden z chłopców przebiegł ze śmiechem i popchnął mnie tak mocno, że wpadłem do wody. Z szoku przez długi czas nie mogłem wymówić słowa i po prostu siedziałem w płytkiej wodzie w mokrym ubraniu, przywierającym do skóry. Później wygrzebałem się z wody i poszedłem samotnie do swojego domku – miałem czerwoną twarz i ze wszystkich sił starałem się nie rozpłakać z powodu nagłej utraty panowania nad sytuacją. Czasem inne dzieci znęcały się nade mną, ponieważ byłem inny i byłem samotnikiem. Niektóre z nich przezywały mnie lub śmiały się, że nie mam przyjaciół. Na szczęście zawsze im się to nudziło i odchodziły, bo z nimi nie walczyłem. Takie sytuacje umacniały mnie w przekonaniu, że jestem outsiderem i nie pasuję do reszty.

W czasie tygodnia w Trewern przeżyłem jedną radosną chwilę – na zakończenie pracownicy ośrodka przyznawali grupom różne nagrody za osiągnięcia, a moja grupa dostała nagrodę za najczystszy domek.

Zawsze lubiłem być w domu. Czułem się tam bezpiecznie i spokojnie. Tak samo czułem się tylko w jeszcze jednym miejscu – w miejscowej bibliotece. Od czasu, gdy nauczyłem się czytać, zmuszałem rodziców, by zabierali mnie codziennie do biblioteki. Był to mały ceglany budynek ze ścianami pokrytymi graffiti, w jego wnętrzu znajdowały się rzędy regałów wypełnionych książkami dla dzieci, oznakowanymi kolorami i oprawionymi w folię, a w rogu można było usiąść na poduchach w jasnych kolorach. Chodziłem tam codziennie po szkole i w czasie ferii, niezależnie od pogody, i przesiadywałem godzinami, często aż do zamknięcia. Biblioteka emanowała ciszą i panował w niej idealny porządek, a to zawsze dawało mi poczucie zadowolenia. Najbardziej lubiłem czytać encyklopedie, mimo że były zbyt ciężkie, bym mógł je trzymać, i musiałem siedzieć przy stole z książką rozłożoną przed sobą. Uwielbiałem uczyć się różnych drobiazgów i informacji, jak nazwy stolic państw świata, i sporządzać listy imion i dat panowania królów i królowych Anglii, prezydentów Stanów Zjednoczonych czy dat różnych wydarzeń. Pracownicy biblioteki przyzwyczaili się do moich codziennych wizyt

i gawędzili z moimi rodzicami, gdy ja czytałem. Moje wizyty wywarły na kustoszu biblioteki takie wrażenie, że nominował mnie do nagrody – którą zdobyłem – za starania i wyniki w czytelnictwie. Nagrodę, którą stosownie do okazji była książka, wręczał burmistrz miasta w czasie krótkiej ceremonii w ratuszu. Gdy poszedłem ją odebrać, burmistrz pochylił się i spytał, jak mam na imię, ale go nie usłyszałem i nie odpowiedziałem, ponieważ byłem zbyt zajęty liczeniem ogniów jego łańcucha, a nie najlepiej wychodzi mi robienie więcej niż jednej rzeczy naraz.



Inny niż wszyscy

Przypominam sobie, jak stoję samotnie w cieniu pod rosnącymi wokół szkolnego boiska drzewami, obserwując z boku, jak inne dzieci biegają, krzyczą i się bawią. Mam dziesięć lat i wiem, że różnię się od nich w sposób, którego nie potrafię wyrazić ani pojąć. Dzieci hałasują, biegają, wpadając na siebie i popychając się wzajemnie. Cały czas się boję, że uderzy mnie któraś piłka, co chwila wyrzucana lub wykopywana w powietrze, i z tego powodu wolę stać na skraju boiska, daleko od moich szkolnych kolegów i koleżanek. Robię tak zawsze podczas każdej przerwy, więc wkrótce wszyscy wiedzą i śmieją się, że Daniel rozmawia z drzewami i jest dziwny.

Tak naprawdę nigdy nie rozmawiałem z drzewami. Nie ma sensu mówić do rzeczy, które nigdy ci nie odpowiedzą. Mówię do moich kotów, ale to dlatego, że mogą mi przynajmniej miauknąć w odpowiedzi. Lubiłem spędzać czas między drzewami na boisku, ponieważ mogłem sobie spacerować tam i z powrotem, zatopiony w myślach, nie martwiąc się, że ktoś mnie popchnie lub przewróci. Czasem podczas tych spacerów czułem, że jeśli ukryję się za drzewem, to sprawię, że zniknę. Oczywiście często się zdarzało, że naprawdę chciałem zniknąć. Po prostu wyglądało na to, że nigdzie nie pasuję, jak gdybym urodził się w nieodpowiednim świecie. Było mi bardzo ciężko, bo nigdy nie czułem się swobodnie ani bezpiecznie i zawsze miałem wrażenie, że jestem inny i odosobniony.

Stopniowo coraz bardziej uświadamiałem sobie swoją samotność i zapragnąłem mieć przyjaciela. Każdy w klasie miał przynajmniej jednego, a większość miała kilkoro. W nocy nie spałem i godzinami patrzyłem w sufit i wyobrażałem sobie, jakby to było przyjaźnić się z kimś. Byłem przekonany, że dzięki temu w jakiś sposób stałbym się mniej inny. Może wtedy, myślałem, dzieci nie uważałyby mnie za dziwaka. Na dodatek moi młodszy brat i siostra mieli kilkoro przyjaciół, którzy czasem przychodzili do nas po szkole. Siedziałem w oknie wychodzącym na ogród i słuchałem, jak się bawią. Nie mogłem zrozumieć, czemu nie rozmawiają o naprawdę ciekawych rzeczach, jak monety, kasztany czy biedronki.

Czasem dzieci w szkole próbowały ze mną rozmawiać. Mówię „próbowały”, ponieważ niełatwo było się ze mną porozumieć. Po pierwsze, prawie zawsze patrzyłem w podłogę, gdy mówiłem, i nawet nie starałem się nawiązać kontaktu wzrokowego. Gdy podnosiłem wzrok, patrzyłem na ruchy ust rozmówcy. Czasem nauczyciel, który coś do mnie mówił, prosił, bym spojrzał mu w oczy. Podnosiłem wtedy głowę i patrzyłem na niego, ale wymagało to ode mnie dużego samozaparcia i czułem się dziwnie i nieswojo. Gdy do kogoś mówiłem, często był to długi, nieprzerwany ciąg słów. Po prostu nie przyszło mi na myśl, że można zrobić przerwę lub mówić na zmianę.

Nigdy nie chciałem być niegrzeczny – myślałem, że celem rozmowy jest mówienie o rzeczach, które najbardziej cię interesują. Mówiłem, bardzo szczegółowo, aż wylałem z siebie wszystko, co chciałem powiedzieć, i czułem, że wybuchnę, jeśli ktoś przerywał mi w trakcie. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że to, o czym mówię, może nie interesować drugiej osoby. Nie dostrzegałem również, gdy słuchacz zaczynał się wiercić lub rozglądać, i mówiłem dalej, aż ktoś rzucał coś w stylu: „Muszę już iść”.

Bardzo ciężko mi słuchać innych ludzi. Gdy kogoś słucham, często mam wrażenie, jakbym próbował dostroić się do określonej stacji radiowej, a wiele z tego, co zostaje powiedziane, po prostu wpada do mojej głowy i z niej wypada, jak zakłócenia. Z czasem nauczyłem się wyłapywać tyle, by rozumieć większość z tego, o czym mowa, ale problem pojawia się, gdy

ktoś zadaje mi pytanie, a ja go nie słyszę. Wtedy pytający może się na mnie zezłościć, a ja czuję się podle.

Mój brak umiejętności trzymania się tematu zwykle urywał wszelkie rozmowy w klasie i na boisku. Często uciekałem myślami, częściowo dlatego, że pamiętam tak dużo z tego, co widziałem i czytałem, a przypadkowe słowo czy nazwa w trakcie konwersacji może uruchomić w moim umyśle strumień skojarzeń, przypominający efekt domina. Dziś, gdy słyszę imię „Ian”, w mojej głowie spontanicznie, w ogóle bez myślenia o tym, pojawia się obraz znanej mi osoby o tym imieniu. Następnie obraz przeskakuje na samochód marki Mini, którym jeździ, co z kolei sprawia, że przypominam sobie różne sceny z klasycznego filmu *Włoska robota*. Sekwencja moich myśli nie zawsze jest logiczna, ale często determinują ją skojarzenia wizualne. Przez te skojarzeniowe dygresje w szkole czasem przestawałem słuchać i nauczyciele często besztali mnie za to, że nie uważam lub nie jestem wystarczająco skoncentrowany.

Czasem potrafię usłyszeć każde słowo i wyłowić każdy szczegół z tego, co się do mnie mówi, ale mimo to nie zareaguję stosownie. Ktoś może mi powiedzieć: „Pisałem esej na komputerze, niechcący wcisnąłem zły klawisz i wszystko skasowałem”, a ja usłyszę, że wcisnął klawisz, którego nie powinien był wciskać, i że pisał esej, gdy wcisnął ten klawisz, ale nie powiązę tych dwóch stwierdzeń i nie zrozumie najważniejszego – że esej został skasowany. To jak łączenie kropek w kolorowankę dla dzieci, gdy widzi się każdą kropkę, ale nie obrazek, który tworzą połączone razem. „Czytanie między wierszami” jest dla mnie prawie niemożliwe.

Tak samo ciężko mi wyczuć, kiedy mam odpowiedzieć na stwierdzenie, które nie jest wyrażone jasno w formie pytania. Zwykle przyjmuję to, co słyszę, jako informację, co oznacza, że ciężko mi odzywać się do kogoś w celach towarzyskich, jak czyni to większość ludzi. Jeśli ktoś mówi: „To nie jest mój najlepszy dzień”, to nauczyłem się, że oczekuje odpowiedzi w stylu: „Naprawdę?”, a następnie pytania o to, co sprawia, że ten dzień nie jest najlepszy. W szkole miałem kłopoty, gdy nauczyciel uważał, że nie reaguję na to, co mówi, kiedy w rzeczywistości ja nie rozumiałem, że oczekiwał ode mnie odpowiedzi. Na przykład, patrząc na mnie, mówił:

„siedem razy dziewięć”, a ja oczywiście wiedziałem, że to sześćdziesiąt trzy, ale nie zdawałem sobie sprawy, że powinienem to głośno powiedzieć. Odpowiadałem dopiero wtedy, gdy nauczyciel zadał wyraźne pytanie: „Ile jest siedem razy dziewięć?”. Nie potrafię intuicyjnie wyczuć, kiedy ktoś oczekuje, że odpowiem na jakieś słowa, a takie zdolności jak prowadzenie towarzyskiej pogawędki nabyłem poprzez długie ćwiczenia.

Do ćwiczenia tych kwestii przywiązywałem dużą wagę, ponieważ najbardziej na świecie chciałem być normalny i mieć przyjaciół, tak jak wszystkie dzieci. Czułem się wspaniale za każdym razem, gdy opanowałem nową umiejętność, na przykład utrzymywanie kontaktu wzrokowego – musiałem włożyć w to bardzo dużo pracy i świadomość sukcesu była dla mnie zawsze niesamowitym doznaniem.

Musiałem przywyknąć do poczucia samotności, które przepełniało mnie na boisku. Oprócz spacerów między drzewami, zajmowałem się tam liczeniem kamieni oraz liczb na polach do gry w klasy. Często całkowicie zatapiałem się we własnych myślach, nieświadomy, co widzą lub myślą otaczający mnie ludzie. Gdy coś mnie podekscytowało, składałem dłonie przy twarzy i przyciskałem palce do ust. Czasem moje ręce obijały się o siebie, wydając dźwięki podobne do klaskania. Gdy zdarzało się to w domu, matka denerwowała się i kazała mi przestać. Jednak nie robiłem tego celowo – po prostu tak się działo – i często nawet nie zdawałem sobie sprawy, że to robię, dopóki ktoś nie zwrócił mi uwagi.

Tak samo było z moim mówieniem do siebie. Przez większość czasu nawet nie zdawałem sobie sprawy, że to robię. Czasem jest mi bardzo ciężko trzymać myśli w głowie i nie wypowiadać ich na głos. Moje zatapianie się w myślach jest bardzo intensywne i wpływa na moje ciało – czuję, jak się napina. Do dziś nie potrafię panować nad ruchami rąk i nieświadomym skubaniem ust, gdy myślę. Mówienie do siebie pozwala mi się uspokoić lub na czymś skupić.

Chłopcy podchodzili do mnie na boisku i dokuczali, naśladując ruchy moich dłoni i przezywając mnie. Nie lubiłem, gdy podchodzili bardzo blisko, i czułem na skórze ich oddech. Siadałem wtedy na twardym betonie, przykrywałem uszy dłońmi i czekałem, aż sobie pójdą. Gdy byłem bardzo

zestresowany, podnosiłem liczby do drugiej potęgi, o tak: 2, 4, 8, 16, 32... 1024, 2048, 4096, 8192... 1 310 72, 262 144... 1 048 576. Liczby tworzyły w mojej głowie wizualne wzory, które mnie uspokajały. Byłem inny, więc chłopcy nie do końca wiedzieli, jak mi dokuczyć, i jeśli nie reagowałem płaczem lub ucieczką, jak tego chcieli, szybko dawali mi spokój. Nie przestali mnie przezywać, ale nauczyłem się nie zwracać na to uwagi i nie przejmowałem się zbytnio.

Ludzie z zespołem Aspergera chcą zawierać przyjaźnie, lecz przychodzi im to z trudem. Bardzo mocno i boleśnie doświadczałem przeraźliwego poczucia izolacji. Aby zrekompensować sobie brak przyjaciół, stworzyłem sobie własnych, by towarzyszyli mi w czasie spacerów wśród drzew na boisku. Jedną z takich przyjaciółek pamiętam bardzo dobrze do dziś i gdy zamknę oczy, wciąż widzę jej twarz – pomarszczoną, lecz piękną, przynajmniej dla mnie. Była bardzo wysoką kobietą, miała ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i od stóp do głów była spowita w niebieską pelerynę. Miała bardzo szczupłą, pokrytą zmarszczkami twarz, ponieważ była bardzo, bardzo stara – miała ponad sto lat. Jej oczy przypominały wąskie, mokre szczeliny i często były zamknięte, jak gdyby głęboko nad czymś rozmyślała. Nie pytałem, skąd pochodzi, nie miało to dla mnie znaczenia. Powiedziała, że na imię ma Anne.

Każdą przerwę spędzałem na długich, głębokich dyskusjach z Anne. Miała cichy głos, zawsze miły, łagodny i uspokajający. Czułem się spokojny w jej towarzystwie. Opowiedziała mi niełatwą historię swojego życia: jej mąż John był kowalem. Byli ze sobą szczęśliwi, ale nie mieli dzieci. John zmarł wiele lat wcześniej i zostawił Anne samą, więc cieszyła się z mojego towarzystwa. Była mi bliska, bo niezależnie od tego, co mówiłem czy robiłem, nie przestawała mnie lubić i nie chciała odejść. Mogłem zwierzyć się jej ze wszystkich moich myśli, a ona stała i cierpliwie słuchała, nigdy nie przerywając ani nie mówiąc mi, jaki jestem osobliwy lub dziwny.

Często nasze dyskusje miały charakter filozoficzny, dotyczyły życia, śmierci i wszystkiego, co znajduje się pomiędzy nimi. Rozmawialiśmy o mojej miłości do biedronek, moich wieżach z monet, o książkach,

liczbach, wysokich drzewach oraz olbrzymach i księżniczkach z moich ulubionych bajek. Czasem zadawałem Anne pytanie, na które nie odpowiadała. Raz zapytałem ją, dlaczego tak się różni od innych dzieci, ale ona potrząsnęła głową i stwierdziła, że nie może mi powiedzieć. Obawiałem się, że odpowiedź jest straszna i że Anne stara się mnie chronić, więc nie zapytałem jej po raz drugi. Powiedziała mi za to, żebym nie przejmował się innymi chłopcami i że wszystko w moim życiu się ułoży. Wiele z tego, co mówiła, miało dodać mi otuchy – zawsze skutkowało, bo kiedy się z nią rozstawałem, czułem się wewnętrznie szczęśliwy i spokojny.

Pewnego dnia, gdy jak zwykle spacerowałem za drzewami, po drodze kopiąc piętą w grubą, chropowatą korę, pojawiła się i stała nieruchomo, tak jak nigdy wcześniej. Poprosiła, żebym na nią spojrzał, bo chce powiedzieć mi coś ważnego. Trudno było mi patrzeć jej w oczy, ale podniosłem głowę i spojrzałem na nią. Miała mocno zaciśnięte usta, a jej twarz była łagodniejsza i jaśniejsza niż przy kilku innych okazjach, gdy widziałem ją z bliska. Milczała przez parę minut, a następnie bardzo, bardzo cicho i powoli powiedziała mi, że musi odejść i nie może wrócić. Bardzo się zmartwiłem i zapytałem, dlaczego, a ona powiedziała, że umiera i przyszła się pożegnać. Wtedy zniknęła po raz ostatni. Płakałem i płakałem, aż nie mogłem już więcej płakać, a potem rozpacziałem po niej jeszcze przez wiele dni. Była dla mnie kimś bardzo wyjątkowym i wiem, że nigdy jej nie zapomnę.

Patrząc wstecz, widzę, że Anne była uosobieniem mojego poczucia samotności i niepewności. Była wytworem tej części mnie, która chciała podjąć walkę z moimi ograniczeniami i zacząć się od nich uwalniać. Pozwalając jej odejść, podejmowałem bolesną decyzję, że spróbuję odnaleźć swoją drogę w zewnętrznym świecie i w nim żyć.

Podczas gdy inne dzieci bawiły się po szkole na ulicach i w parkach, ja wolałem zostać w domu w swoim pokoju i siedzieć na podłodze zatopiony w myślach. Część czasu spędzałem, grając w wymyśloną przez siebie prostą grę, w której każdej karcie z talii przyporządkowana była wartość: asowi – 1, waletowi – 11, damie – 12, królowi – 13, a wartość pozostałych

kart wyznaczały liczby punktów na nich. Celem gry jest zgromadzenie jak największej liczby kart. Na początku tasuje się karty, a następnie wyklada cztery karty na stos. Jeśli po pierwszej karcie całkowita suma wartości kart na stosie na którymkolwiek etapie jest liczbą pierwszą, to karty przepadają. W tym momencie, podobnie jak w innych grach, wchodzi element szczęścia. Załóżmy, że pierwsze cztery karty to: 2, 7, król (13), 4. Ten stos na razie jest bezpieczny, ponieważ $2 + 7 = 9$ i nie jest to liczba pierwsza, $9 + 13 = 22$ i nie jest to liczba pierwsza, $22 + 4 = 26$ i również nie jest to liczba pierwsza. Teraz gracz decyduje, czy zaryzykować i dołożyć kolejną kartę na ten stos, czy zacząć układać nowy. Jeśli gracz postanowi nie ryzykować dołożenia kolejnej karty, to karty ze stosu są bezpieczne i gracz je zatrzymuje. Jeśli jednak dołoży nową kartę, a całkowita suma w którymś momencie będzie liczbą pierwszą, to karty przepadają i gracz zaczyna układać nowy stos. Gra kończy się, gdy pięćdziesiąt dwie karty z talii zostaną wyłożone na stosy, stracone lub zatrzymane przez gracza. Gracz oblicza wartość zatrzymanych kart, by określić swój wynik.

Byłem zafascynowany tą grą, ponieważ wymaga ona równocześnie umiejętności matematycznych i dobrej pamięci. Gdy gracz ma już stos czterech kart, które w sumie nie dały liczby pierwszej, decyzja o tym, czy kontynuować ten stos, czy zacząć nowy, zależy od dwóch czynników: całkowitej wartości kart w tym momencie i wartości kart pozostałych w talii. Na przykład, jeśli pierwsze cztery karty są jak we wcześniejszym przykładzie: 2, 7, 13 (król) i 4 = 26, to gracz musi najpierw rozważyć, ile potencjalnych liczb pierwszych może dać wyłożenie następnej karty na ten sam stos. Kolejne liczby pierwsze po 26 to 29, 31 i 37 (ponieważ najwyższą wartością karty jest 13, król, to w tym przykładzie nie ma potrzeby brania pod uwagę liczb większych od 39). Więc 3, 5 lub walet (11) doprowadzą do utraty stosu, ale każda inna karta pozwoli mu bezpiecznie wzrastać.

Zapamiętanie wartości pozostałych kart w talii również pomaga. Na przykład, jeśli osiągnie się sumę 70 z dziesięciu kart, a w talii pozostają trzy karty, to oczywiście dobrze wiedzieć, że są tam, powiedzmy, 3, 6 i 9. W takiej sytuacji gracz powinien zatrzymać dziesięć kart i rozpocząć nowy stos, ponieważ zarówno 73, jak i 79 są liczbami pierwszymi.

Zapamiętywałem wartości wszystkich kart pozostających w talii w każdym momencie gry w ten sposób: w talii znajdują się po cztery karty każdego rodzaju (cztery asy, cztery dwójki itd.). Wyobraziłem sobie każdy zestaw czterech kart jako kwadrat złożony z kropek. Kwadraty miały różne kolory i faktury, w zależności od wartości karty; na przykład zestaw czterech asów widziałem jako lśniący jasny kwadrat, ponieważ cyfrę jeden zawsze widzę jako bardzo jasne światło. Liczbę sześć postrzegam jako małą czarną kropkę, więc zestaw szóstek był dla mnie kwadratową czarną dziurą. W miarę postępu gry i odkrywania kolejnych kart różne kwadraty w mojej głowie zmieniały kształty. Gdy pojawiał się pierwszy as z tali, jasny kwadrat zmieniał się w jasny trójkąt. Po pierwszej szóstce czarny kwadrat stawał się czarnym trójkątem. Gdy z talii przychodzi drugi as, jasny trójkąt staje się jasną linią, a po trzecim asie – jasną kropką. Gdy wyłożone zostaną wszystkie cztery karty o danej wartości, kształt tego zestawu kart znika mi w głowie.

Karty pomagają zilustrować pewną cechę liczb pierwszych – ich nieregularny rozkład. W grze określone wartości stosu są lepsze niż inne. Na przykład całkowita suma 44 jest lepsza niż całkowita suma 34, ponieważ jeśli gracz ma „na koncie” sumę 44, mogą powstać tylko dwie liczby pierwsze – 47 i 53 – jeśli natomiast ma 34, mogą powstać aż cztery takie liczby: 37, 41, 43 i 47, czyli dwa razy więcej. Całkowita suma 100 jest szczególnie niekorzystna, ponieważ kolejna karta może utworzyć pięć liczb pierwszych: 101, 103, 107, 109 i 113 (odpowiednio as, 3, 7, 9 i król).

Rodzice zawsze się martwili, że spędzam zbyt wiele czasu sam w pokoju i w ogóle nie staram się bawić z innymi dziećmi na podwórku. Matka przyjaźniła się z kobietą, która mieszkała kilka domów od nas i miała córkę mniej więcej w moim wieku. Pewnego dnia zabrała mnie do niej ze sobą, żebym posiedział i porozmawiał z tą dziewczynką, gdy one gawędziły przy herbacie. Gdy tylko zaczynałem mówić o rzeczach, które mnie interesowały, dziewczynka przerywała mi, co mnie bardzo złościło, bo nie mogłem wypowiedzieć słów, które miałem w głowie, i czułem się, jakbym nie mógł oddychać. Następnie bardzo zaczerwieniłem się na twarzy, a dziewczynka zaczęła się ze mnie śmiać. Przez to czerwieniłem się jeszcze

bardziej i nagle bardzo się zdenerwowałem, wstałem i uderzyłem ją, a ona zaczęła płakać. Oczywiście więcej mnie nie zaproszono.

W takiej sytuacji matka poprosiła Lee, by pozwolił mi się przyłączyć, gdy będzie się bawił z kolegami. Jego najlepszym przyjacielem był chłopiec o imieniu Eddie, który mieszkał dwie ulice dalej. Przez większość czasu mój brat i Eddie bawili się w ogrodzie Eddiego – miał o wiele więcej zabawek niż my i podczas gdy oni grali w ping-ponga i piłkę nożną, ja siedziałem na huśtawce i bujałem się rytmicznie do przodu i do tyłu.

Latem Lee miał jechać z rodziną Eddiego na tygodniowe wakacje nad morze. Matka zasugerowała, żebym pojechał z nimi, a matka Eddiego chętnie na to przystała. Wahałem się, bo nie lubiłem przebywać poza domem. Jednak matka bardzo chciała, żebym pojechał, bo miała nadzieję, że to pomoże mi czuć się swobodniej wśród ludzi. Po wielu łagodnych, lecz wytrwałych namowach zgodziłem się.

Gdy przyjechaliśmy na miejsce, zdawało się, że wszystko będzie w porządku. Było ciepło i bezchmurnie, a wszyscy z rodziny Eddiego byli mili i dbali o mnie. Jednak już po jednym dniu z dala od domu ogarnęło mnie przygniatające uczucie tęsknoty i chciałem rozmawiać z matką. Niedaleko miejsca, w którym mieszkaliśmy, znajdował się automat telefoniczny, więc wziąłem monety, które miałem w kieszeni, i zadzwoniłem do domu. Matka odebrała telefon i usłyszała w słuchawce mój płacz. Zapytała, co się stało, ale ja mogłem tylko odpowiedzieć, że nie czuję się najlepiej tu, gdzie jestem, i chcę wracać do domu. Po kilku minutach monety się skończyły, więc poprosiłem ją, żeby do mnie zadzwoniła, a następnie odłożyłem słuchawkę i czekałem. Nie zdawałem sobie sprawy, że nie zna numeru automatu telefonicznego, bo jej go nie podałem – po prostu zakładałem, że będzie go znała. Czekałem, czekałem i czekałem, stojąc przy automacie ponad godzinę, aż w końcu odszedłem. Resztę wakacji spędziłem, płacząc. Matkę Eddiego irytowało i złościło, że nie chciałem nigdzie z nimi chodzić, tylko większość czasu spędzałem sam w pokoju, siedząc na podłodze i rękami zakrywając uszy. To były moje pierwsze i ostatnie wakacje z rodziną Eddiego.

Przez większość mojego dzieciństwa bracia i siostry byli moimi przyjaciółmi. Nawet gdy potrafili rzucać i łapać lepiej ode mnie i mieli szkolnych przyjaciół dużo wcześniej niż ja, kochali mnie, bo byłem ich starszym bratem i czytałem im bajki. Z czasem nauczyli się wciągać mnie do zabawy poprzez wspólne robienie rzeczy, o których wiedzieli, że je lubię i że mogę brać w nich udział. Pewnego razu przyglądałem się matce, jak prasuje, a potem wyciągnąłem wszystkie ubrania z szuflad i szafek w swoim pokoju i zniosłem je na dół do salonu. Matka zgodziła się dać mi żelazko, gdy już je wyłączyła i ostygło, a ja brałem każdą część garderoby po kolei i przejeżdżałem po niej żelazkiem. Bracia i siostry przyglądali mi się i zapytali, czy mogą się ze mną pobawić. Widziałem, jak matka spryskiwała ubrania wodą przed prasowaniem, więc powiedziałem mojej siostrze Claire, żeby wzięła spryskiwacz i użyła go przy każdym ubraniu, a następnie podała je mnie. Lee również chciał się przyłączyć, więc powiedziałem mu, żeby stanął z drugiej strony, brał ubrania po tym, jak przejechałem po nich żelazkiem, i składał je. Czteroletniemu wówczas Stevenowi poleciłem, by złożone ubrania układał w stosy: na jeden bluzki, na drugi swetry, na trzeci spodnie i tak dalej. Gdy skończyły nam się ubrania, poprosiłem Stevena, żeby wszystko porozkładał i dał z powrotem Claire, która znowu spryskiwała ubrania wodą przed podaniem ich mi do ponownego prasowania, ja przekazywałem je Lee do składania, a on znowu Stevenowi, który jeszcze raz układał je na stosy – i tak w kółko. Często bawiliśmy się tak godzinami.

Inna nasza wspólna zabawa polegała na tym, że zbierałem wszystkie książki, które tylko mogłem znaleźć w całym domu – były ich setki – i składałem je w największej sypialni, czyli w pokoju dziewcząt. Następnie przeglądałem każdą książkę, dzieląc je na beletrystykę i literaturę faktu, a następnie dzieliłem je dalej tematycznie: historyczne, romanse, leksykony, przygodowe... Następnie książki w każdym stosie układałem w porządku alfabetycznym. Ciąłem kartkę papieru na małe kwadraty i wypisywałem ręcznie kartę każdej książki, zawierającą tytuł, autora, rok publikacji i kategorię (literatura faktu > historyczna > „D”). Wkładałem książki do pudełek, wszystkie w odpowiednim porządku, i rozkładałem pudełka po

pokoju, by moi bracia i siostry mogli przeglądać i czytać te książki. Gdy ktoś z nich chciał wziąć jakąś z pokoju, wyciągałem z niej kartę, wkładałem ją do słoika i dawałem im inną karteczkę, na której było napisane, kiedy mają oddać książkę. W czasie wakacji rodzice pozwalali nam trzymać książki z ich kartami w pudełkach, ale kiedy indziej musieliśmy wyciągać wszystkie karty pod koniec zabawy i pomagać w rozkładaniu książek na różne półki i stoły w całym domu.

Zdarzało się, że podczas zabawy z rodzeństwem podchodziłem do nich i palcem wskazującym dotykałem ich szyi, ponieważ lubiłem wrażenie tego dotyku – było ciepłe i uspokajające. Nie miałem poczucia, że to, co robię, denerwuje ich lub jest niewłaściwe, i przestałem dopiero, gdy matka mi kazała, choć wciąż od czasu do czasu dotykam szyi jakiejś osoby, gdy jestem bardzo podekscytowany. Ten dotyk jest dla mnie sposobem na przekazanie otoczeniu, że jestem podekscytowany. Ciężko mi zrozumieć, że ludzie mają własną przestrzeń osobistą, której nie można naruszać i którą zawsze należy szanować. Nie miałem pojęcia, że moje zachowanie może być irytujące i niewłaściwe, więc czułem się dotknięty, gdy brat lub siostra denerwowali się na mnie, według mnie bez powodu.

Mnóstwo rzeczy sprawiało mi trudność, na przykład mycie zębów. Trzeszczący odgłos szorowania zębów sprawiał mi fizyczny ból, więc gdy przechodziłem obok łazienki, musiałem zatykać uszy rękami i czekać, aż hałas ucichnie, zanim mogłem zrobić cokolwiek innego. W związku z tą niesamowitą wrażliwością myłem zęby bardzo krótko i zazwyczaj dopiero po interwencji rodziców. Miałem szczęście, że rzadko mnie bolały, zapewne głównie dlatego, że piłem dużo mleka i nie jadłem zbyt wielu słodkości. Problem trwał parę lat i był przyczyną regularnych kłótni z rodzicami, którzy nie mogli pojąć, dlaczego trzeba mnie zmuszać do mycia zębów. Często przynosili mi szczoteczkę i pastę do pokoju i nie odchodzili, dopóki nie użyłem tych przyborów. Dopiero w okresie dojrzewania zrozumiałem, że muszę znaleźć sposób na regularne mycie zębów. Zwłaszcza że moi bracia i siostry oraz dzieci w szkole widzieli, że moje zęby są pożółkłe, i dokuczali mi z tego powodu, co zniechęcało mnie coraz bardziej do otwierania buzi, nawet by coś powiedzieć, bo wiedziałem, że zaraz usłyszę

obelgi. W końcu próbowałem zatykać sobie uszy watą, żeby nie słyszeć odgłosu mycia zębów. Oglądałem też równocześnie telewizję na małym odbiorniku, który miałem w pokoju, by odwrócić uwagę od faktu, że używam szczoteczki do zębów – w przeciwnym razie dostawałem mdłości. W sumie te drobne starania pomagały mi czyścić zęby codziennie. W czasie pierwszej od wielu lat wizyty u dentysty zatkałem uszy watą, by nie słyszeć odgłosów wiertła i innego sprzętu. Dziś mogę myć zęby dwa razy dziennie bez problemu. Używam szczoteczki elektrycznej, która nie wydaje takich bolesnych trzeszczących dźwięków jak ta zwykła.

Tak samo dużym problemem była dla mnie nauka wiązania sznurówek. Jakkolwiek bym się starał, po prostu nie mogłem zmusić rąk do wykonania czynności, które w kółko pokazywali mi rodzice. W końcu matka kupiła mi do pomocy w ćwiczeniach zabawkę – duży but z grubymi, szorstkimi sznurówkami. Spędzałem wiele godzin na ćwiczeniach, często do momentu, aż ręce robiły się czerwone i swędziały od długiego kontaktu ze sznurówkami buta. Tymczasem każdego ranka przed wyjściem do szkoły buty zawiązywał mi ojciec. Miałem osiem lat, gdy w końcu opanowałem wiązanie sznurówek.

Kolejnym problemem było rozróżnienie prawej i lewej strony (do dziś muszę się nad tym zastanawiać). Ojciec musiał nie tylko zawiązywać mi buty do ósmego roku życia, ale najpierw musiał mi te buty założyć. Czasem się denerwowałem, gdy próbowałem sam założyć buty, i rzucałem nimi w przypływie złości. Rodzice wpadli na pomysł oznakowania – literami „L” i „P” – każdego buta. Zadziałało, mogłem w końcu sam je założyć i znacznie lepiej rozróżniałem kierunki.

Gdy szedłem, nawet po ulicy, zawsze miałem spuszczoną głowę i obserwowałem ruchy swoich stóp. Często wpadałem na różne rzeczy i nagle zatrzymywałem się. Matka chodziła ze mną i wciąż starała się mi przypominać, żebym podniósł głowę, ale nawet gdy to zrobiłem, szybko opuszczałem ją z powrotem. W końcu powiedziała, żebym wybrał sobie na horyzoncie jakiś punkt – płot, drzewo lub budynek – i stale na niego patrzył, gdy idę. Ten prosty sposób pomógł mi trzymać głowę podniesioną, a przez kolejne miesiące dzięki niemu znacznie poprawiła mi się

koordynacja, przestałem wpadać na różne rzeczy i wzrosła moja pewność siebie.

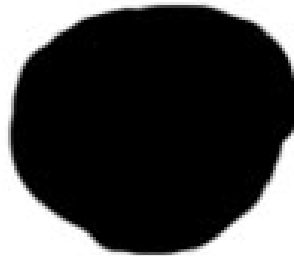
Na Boże Narodzenie tuż przed moimi dziewiątymi urodzinami dostałem w prezencie rower, tak samo jak mój brat Lee. W obu rowerach rodzice zamontowali dodatkowe boczne kółka, które brat odkręcił bardzo szybko, gdy tymczasem u mnie pozostały na miejscu przez wiele miesięcy, choć Lee był ponad dwa lata ode mnie młodszy. Miałem problemy z utrzymaniem równowagi i koordynacją, było mi ciężko równocześnie kierować i pedałowować. Ćwiczyłem, siedząc na krześle w kuchni, trzymałem przed sobą długą drewnianą łyżkę i równocześnie nogami próbowałem robić kółka przy nogach krzesła. Gdy miałem już pewną wprawę, mogłem jeździć z bratem po ulicach niedaleko domu. Ścigał się ze mną, jeżdżąc o wiele za szybko, więc panikowałem i przewracałem się. Szybko przywykłem do rowerowych wywrotek, a także licznych zadrapań i siniaków na rękach i nogach.

Przez mój brak koordynacji również nauka pływania była powolna i frustrująca – jako ostatni w klasie nauczyłem się równo przepływać długość basenu. Bałem się wody, tego, że zostanę pod nią wciągnięty i nie będę mógł się wydostać na powierzchnię. Instruktorzy na basenie byli życzliwi, dawali mi rękawki i deski do pływania, bym mógł bezpiecznie unosić się na wodzie, ale moje trudności jedynie wzmocniły poczucie, że jestem inny i odróżniam się od moich rówieśników, którzy potrafili pływać na pozór bez wysiłku wiele lat wcześniej, niż ja byłem w stanie przepłynąć pierwsze metry. Dopiero podczas okresu dojrzewania w końcu i mnie niespodziewanie opuścił strach przed przebywaniem w wodzie i okazało się, że potrafię unosić się na niej i poruszać sam, bez rękawków. To była ogromna radość, czułem, jak gdybym zrobił wielki krok naprzód. Moje ciało w końcu zaczynało podporządkowywać się mojej woli.

W ostatniej klasie szkoły podstawowej dołączył do nas nowy kolega, chłopiec z Iranu. Miał na imię Babak. Jego rodzice uciekli przed reżimem Chomeiniego. Babak był inteligentny, mówił płynnie po angielsku i był bardzo dobry z matematyki. W nim znalazłem w końcu pierwszego prawdziwego przyjaciela. Był pierwszą osobą, która naprawdę postarała się

przejsć ponad tym, co odróżniało mnie od innych, i skupić się na tym, co mieliśmy wspólnego: miłości do słów i liczb. Jego rodzina również była dla mnie zawsze bardzo miła – pamiętam, że jego matka przynosiła mi herbatę, gdy siedzieliśmy u nich w ogrodzie i graliśmy w scrabble.

Babak był bardzo pewny siebie i miał doskonałe relacje ze wszystkimi w klasie. Nikogo więc nie zdziwiło, gdy powierzono mu główną rolę w ambitnym szkolnym przedstawieniu *Sweeney Todd*, makabrycznej historii golibrody mordercy, którego ofiary stają się nadzieniem mięsnych pasztecików. Przez kilka tygodni Babak codziennie chodził na próby i zapraszał mnie, bym patrzył. Siedziałem w rogu na skrzyni z kostiumami, poza zasięgiem wzroku, i czytałem dialogi w czasie, gdy wygłaszano je na scenie. Byłem z nim na każdej próbie. W dniu przedstawienia Babak zachorował i nie mógł przyjść na próbę generalną. Nauczycieli ogarnęła panika i szukali kogoś, kto by go zastąpił. Zdałem sobie sprawę, że uczęszczając na wszystkie próby, nauczyłem się każdego słowa sztuki i, zdenerwowany, zgodziłem się wystąpić. W czasie przedstawienia wyrecytowałem wszystkie słowa swojego bohatera w odpowiednim porządku i tylko czasami opuściłem kwestię, ponieważ miałem trudności ze słuchaniem innych osób na scenie i nie potrafiłem ocenić, które słowa skierowane były do publiczności, a które były częścią dialogów pomiędzy aktorami. Rodzice, którzy siedzieli na widowni, powiedzieli później, że nie pokazałem zbyt wielu emocji i cały czas patrzyłem w dół na podłogę, ale przynajmniej dotrwałem do końca i to był wystarczający sukces dla nich i dla mnie.



Lata młdzieńcze

Policzyłem te siedem sekund, w ciągu których ojciec się zachwiał i przewrócił na podłogę w salonie, upadając na swój własny cień. Leżał na plecach, oddychał chrapliwie i ciężko, i wpatrywał się we mnie okrągłymi, nabiegłymi krwią oczyma.

Chorobę ojca zapowiadały stopniowe zmiany w jego zachowaniu po narodzinach moich sióstr bliźniaczek. Przestał pracować w ogrodzie i nie chciał spotykać się ze starymi przyjaciółmi. Długie okresy gadatliwości przeplatały się u niego z okresami prawie kompletnego milczenia. Wydawało się, że przez kilka miesięcy przybyło mu dziesięć lat: dużo schudł i stał się bardzo szczupły, coraz wolniej i mniej pewnie poruszał się po domu. Nawet zmarszczki i fałdy na jego twarzy się pogłębiły.

Miałem dziesięć lat, gdy przypadkiem stałem się świadkiem pierwszego załamania nerwowego ojca. Podczas poprzedzających je miesiące matka zrobiła wszystko, co w jej mocy, by chronić nas przed obrazami i odgłosami jego nieobliczalnie pogarszającego się stanu. Jednak tego dnia wszedłem niezauważony do salonu i zobaczyłem, jak ojciec zatacza się po pokoju z wytrzeszczonymi i rozszerzonymi oczami, mamrocząc niezrozumiale pod nosem. Stałem nieruchomo i obserwowałem go w milczeniu, nie wiedząc, co robić, ale nie chcąc zostawić go samego. Na odgłos upadku ojca matka wbiegła szybko do pokoju, odciągnęła mnie delikatnie i kazała iść do siebie. Wyjaśniła, że ojciec źle się czuje, a ona

czeka, aż przyjdzie lekarz. Po dziesięciu minutach przyjechała karetka, bez sygnału. Z górnej części schodów patrzyłem, jak ratownicy medyczni kładą ojca na nosze, otulają kocem i wynoszą.

Następnego dnia dom był cichszy i jakby zimniejszy. Pamiętam, że siedziałem w swoim pokoju i próbowałem przeanalizować, co czuję do ojca, ponieważ wiedziałem, że powinienem coś czuć, ale nie wiedziałem co. W końcu zdałem sobie sprawę, że bez niego czegoś w domu brakuje, i chciałem, żeby wrócił.

Powiedziano nam, że ojciec potrzebuje czasu, by odpocząć, i że został zabrany do szpitala, gdzie miał poczuć się lepiej. Nie było go przez kilka tygodni, w ciągu których nam, dzieciom, nie pozwolono go odwiedzać, chociaż matka jeździła autobusem na wizyty. Szpital był szpitalem psychiatrycznym opieki długoterminowej, lecz byliśmy zbyt mali, by wiedzieć, czym jest choroba psychiczna. Matka nie rozmawiała z żadnym z nas na temat stanu ojca – mówiła jedynie, że ma się coraz lepiej i niedługo wróci do domu. Tymczasem z siedmiorgiem dzieci (pięcioro nie miało jeszcze czterech lat) pod opieką matka była uzależniona od swoich rodziców, przyjaciół rodziny i pomocników z opieki społecznej. Również mój brat i ja mieliśmy pomagać tyle, ile mogliśmy, zmywając i wycierając naczynia oraz nosząc zakupy.

Nie świętowaliśmy, gdy ojciec przyszedł ze szpitala. Próbowaliśmy za to jakoś wrócić do normalności. Ojciec starał się wykonywać wszystkie codzienne obowiązki – zmienianie pieluch i przygotowywanie kolacji – które były podstawą jego porządku dnia przed chorobą. Jednak wszystko się zmieniło i myślę, że nawet wtedy wiedziałem, iż nigdy już nie będzie tak samo. Mężczyzna, który ze wszystkich sił i z całą energią chronił mnie i się o mnie troszczył, odszedł, a na jego miejsce pojawił się mężczyzna, który sam potrzebował ochrony i troski. Lekarze w szpitalu przepisali mu leki i kazali regularnie odpoczywać, więc każdego dnia po lunchu szedł na górę do pokoju i spał kilka godzin. Matka prosiła moich braci i siostry, żeby nie hałasowali i bawili się tak cicho, jak ja, by nie przeszkadzać ojcu. Gdy niemowlęta – oba lub jedno z nich – zaczynały płakać, matka szybko zabierała je z domu do ogrodu i tam się nimi zajmowała.

Zmieniły się również relacje między rodzicami. Matka, dla której wcześniej ojciec był mocnym oparciem zarówno w sprawach praktycznych, jak i emocjonalnie, musiała teraz na nowo przemyśleć ich wspólne życie i w pewnym sensie zacząć wszystko od początku. Rozmowy rodziców były teraz krótkie i wydawało się, że skończyła się współpraca, którą wcześniej opanowali do perfekcji. Było tak, jak gdyby musieli ponownie uczyć się życia w związku. Coraz częściej się kłócili, mówili coraz głośniej i z większym gniewem, a ja nie lubiłem słuchać tych kłótni, więc zatykałem uszy rękoma. Często po szczególnie głośnych kłótniach matka przychodziła na górę i siedziała ze mną w ciszy mojego pokoju. Chciałem owinąć ją miękką ciszą jak kocem.

Stan zdrowia ojca zmieniał się z dnia na dzień i z tygodnia na tydzień. Bywały długie okresy, gdy mówił i zachowywał się jak kiedyś, a nagle przerywały je ataki bezładnej, monotonnej mowy, dezorientacji i odcięcia od rodziny. W ciągu kolejnych lat jeszcze kilkakrotnie trafiał do szpitala, gdzie za każdym razem przebywał tygodniami. I nagle, tak samo niespodziewanie jak pojawiła się choroba, ojciec zaczął jakby zdrowieć – lepiej jadł i spał, stał się silniejszy fizycznie i emocjonalnie, odzyskał pewność siebie i inicjatywę. Poprawiły się relacje między rodzicami, a latem 1990 roku urodziło się im ósme dziecko, moja siostra Anna-Marie. Siedemnaście miesięcy później, cztery dni przed moimi trzynastymi urodzinami, na świat przyszło ostatnie dziecko moich rodziców, Shelley.

Poprawa stanu zdrowia ojca i powiększenie się rodziny oznaczały kolejną przeprowadzkę, w 1991 roku, do domu z czterema sypialniami na Marston Avenue. Był to szeregowiec z dużym ogrodem na tyłach, położony niedaleko sklepów i parku. Podobnie jak we wszystkich wcześniejszych domach, była w nim tylko jedna łazienka i toaleta dla całej jedenastoosobowej rodziny. Kolejki do łazienki były na porządku dziennym. Salon od jadalni oddzielały drzwi, które często były otwarte, by pokoje na dole przechodziły jeden w drugi. Zawsze, gdy nad czymś myślałem lub miałem jakiś pomysł, chodziłem po parterze, z jadalni do salonu, następnie do kuchni, stamtąd na korytarz i z powrotem do salonu,

bez końca krążąc ze spuszczoną głową i nieruchomo opuszczonymi rękami, zatopiony w myślach i zupełnie nieświadomy, co się dzieje wokoło.

We wrześniu 1990 roku poszedłem do szkoły średniej. Tego lata matka zabrała mnie do centrum miasta, by kupić mi pierwszy szkolny mundur: czarną marynarkę i spodnie, białą koszulę oraz krawat w czarne i czerwone paski. Ojciec próbował mnie nauczyć wiązać krawat, ale po wielu próbach wciąż byłem daleki od opanowania tej sztuki, więc zaproponował, żebym po prostu rozluźniał i ponownie ściągał ten sam węzeł, przez cały tydzień. Strasznie się wierciłem przy przymierzaniu mundurka – marynarka z grubego materiału była ciężka, a nowe czarne skórzane buty cisnęły i gniotły mi palce. Musiałem także mieć plecak do noszenia do szkoły książek i przyborów: długopisów, ołówków, notesu, temperówki, gumki, cyrkla, linijki, kątomierza i szkiecownika.

Szkoła nazywała się Barking Abbey (niedaleko znajduje się kościół św. Małgorzaty, w którym kapitan James Cook wziął ślub w 1762 roku). Pierwszy dzień rozpoczął się od tego, że ojciec pomógł mi zawiązać krawat i zapiął guziki przy mankietach koszuli. Pojechaliśmy autobusem, odprowadził mnie do szkolnej bramy, gdzie powiedział mi, żebym był dzielny, że pierwszy dzień w nowej szkole zawsze jest wyzwaniem i że powinienem się postarać, by był przyjemny. Patrzyłem, jak odchodzi, aż zniknął mi z oczu. Później niepewnie poszedłem za innymi dziećmi. Zaprowadzono nas do pobliskiej sali gimnastycznej, gdzie dyrektor miał wygłosić przemówienie do nowych uczniów. W sali miejsca starczyło akurat dla wszystkich dzieci, by usiadły na ziemi, a kilkoro nauczycieli stało przy ścianach. Siadłem z tyłu na zakurzonej podłodze w chwili, gdy dyrektor – pan Maxwell – poprosił o ciszę i zaczął mówić. Ciężko mi było się skoncentrować i słuchać jego słów, więc patrzyłem w dół na podłogę, wodziłem opuszkami palców po cienkiej warstwie kurzu i czekałem, aż apel się skończy. Podano nam numery klas i nazwisko wychowawcy oraz poproszono o ciche przejście do sal lekcyjnych. Z przejściem odkryłem, że moja klasa sąsiaduje z biblioteką. Po sprawdzeniu obecności otrzymaliśmy tygodniowy rozkład zajęć. Każdego przedmiotu uczył inny nauczyciel

w innej sali w różnych częściach szkoły. Przechodzenie z lekcji na lekcję, z przedmiotu na przedmiot, z sali do sali, od nauczyciela do nauczyciela było dla mnie jedną z najcięższych rzeczy, do których musiałem się przystosować po zmianie szkoły podstawowej na średnią.

W nowej klasie było kilka znajomych twarzy z mojej starej szkoły imienia Dorothy Barley. Babak, mój jedyny przyjaciel stamtąd, poszedł do innej szkoły w drugiej części miasta. Byłem strasznie onieśmielony i nie odezwałem się do nikogo w klasie, nawet żeby się przedstawić. Zerkąłem za to wciąż na zegar i chciałem, żeby wskazówki przesuwały się szybciej i szybciej, przybliżając koniec dnia. Na głośny dźwięk dzwonka dzieci wysypały się na boisko. Trzymałem się z tyłu, czekając, aż wszyscy wyjdą, bo bałem się, że szamoczące się dzieci będą mnie potrącać i popychać. Poszedłem do biblioteki obok, wziąłem z półki encyklopedię, usiadłem sam przy stole i zacząłem czytać. Sprawdzałem czas na bibliotecznym zegarze na ścianie, ponieważ nie chciałem spóźnić się na lekcję. Przerazała mnie myśl, że mógłbym wejść do klasy, gdzie wszystkie dzieci siedziałyby już w ławkach i patrzyły na mnie. Gdy zadzwonił dzwonek na długą przerwę, znowu poszedłem do biblioteki i czytałem, siedząc przy tym samym stole.

W podstawówce zabierałem do szkoły lunch, który matka przygotowywała mi poprzedniego wieczora. Teraz jednak rodzice woleli, żebym jadł lunch w szkole, ponieważ jako dziecku z niezamożnej rodziny przysługiwały mi talony na posiłki. Po półgodzinie czytania udałem się do stołówki. Kolejki już nie było i mogłem w samotności wziąć tacę i wybrać jedzenie, na które miałem ochotę. Wskazałem na paluszki rybne, frytki i fasolkę. Byłem głodny, więc na deser położyłem na tacy pączka. Podeszedłem do kasy i podałem swój talon kobiecie, która wciskała różne guziki. Talon nie wystarczył na pączka i powiedziała mi, że muszę dopłacić. Nie spodziewałem się tego, poczułem, że się czerwienię i ogarnia mnie niepokój. Miałem wrażenie, że zaraz wybuchnę płaczem. Widząc moje zdenerwowanie, kobieta powiedziała, żebym się nie martwił, bo to mój pierwszy dzień w szkole, i żebym wziął sobie pączka. Znalazłem wolny stolik i usiadłem. Stołówka była w połowie pusta, ale zjadłem posiłek jak

najszybciej, zanim ktokolwiek podszedł i się do mnie przysiadł, a potem wyszedłem.

Po lekcjach poczekałem, aż tłumy przepychających się dzieci wylegną na ulicę, a następnie poszedłem na przystanek autobusowy, już mi znany, ponieważ był to ten sam, na którym wysiadłem rano. Po raz pierwszy w życiu musiałem sam korzystać z transportu publicznego i nie wiedziałem, że aby dostać się do domu, muszę wsiąść do autobusu jadącego w przeciwnym kierunku niż ten, z którego przyjechałem. Gdy autobus nadjechał, wsiadłem i powiedziałem, dokąd chcę jechać – powtarzałem to wcześniej wiele razy w myślach. Kierowca coś odpowiedział, ale nie najlepiej go słyszałem i automatycznie podałem mu pieniądze za bilet. Powtórzył to, co powiedział, ale nie mogłem przetworzyć w głowie jego słów, bo z całych sił koncentrowałem się na tym, by nie spanikować, że jestem sam w autobusie. Stałem tam, aż w końcu kierowca głośno westchnął i przyjął pieniądze. Wziąłem bilet i usiadłem na najbliższym wolnym miejscu. Autobus ruszył, a ja czekałem, aż za chwilę zawróci w kierunku domu, ale tak się nie stało, i jechałem coraz dalej i dalej od miejsca, w którym chciałem się znaleźć. Ogarnął mnie niepokój, podbiegłem do drzwi i czekałem niecierpliwie, aż autobus się zatrzyma i otworzy drzwi. Zrozumiawszy swój błąd, wysiadłem z autobusu i przeszedłem na drugą stronę ulicy na inny przystanek. Tym razem, gdy autobus przyjechał i powiedziałem kierowcy, dokąd chcę jechać, podał mi cenę biletu, którą już znałem, a ja poczułem ulgę, że wsiadłem do dobrego autobusu – a jeszcze większą, gdy dwadzieścia minut później zobaczyłem przez szybę moją ulicę i wiedziałem, że w końcu wróciłem bezpiecznie do domu.

Z czasem nabrałem wprawy i mogłem już sam jeździć autobusem do szkoły i z powrotem. Przystanek był niedaleko od domu na Marston Avenue, a ponieważ pamiętałem wszystkie godziny z rozkładu jazdy, nigdy się nie spóźniałem, chyba że to autobus się spóźnił.

Każdy dzień w szkole zaczynał się od sprawdzenia listy obecności przez wychowawcę, a następnie zgodnie z planem na dany dzień mieliśmy lekcje w różnych salach i budynkach na terenie szkoły. Niestety nie mam

naturalnego wyczucia kierunków, więc bardzo łatwo się gubię, nawet w miejscu, gdzie mieszkałem przez wiele lat, z wyjątkiem tras, których specjalnie nauczyłem się przez najzwyczajniejsze powtarzanie. Nie pozostawało mi nic innego, jak podążać za resztą klasy na każdą lekcję.

Matematyka była naturalnie jednym z moich ulubionych przedmiotów. Na początku każdego trymestru każdy uczeń musiał napisać test z matematyki i na podstawie wyniku przydzielano go do grupy pierwszej (najwyższej), drugiej, trzeciej lub czwartej. Mnie umieszczono w pierwszej. Już na początku zauważyłem, że materiał omawiamy znacznie szybciej niż w szkole podstawowej. Wydawało się, że wszyscy w klasie są zaangażowani i zainteresowani, a w programie nauczania ujęto wiele rozmaitych zagadnień. Moimi ulubionymi były ciągi liczbowe, na przykład ciąg Fibonacciego (1, 1, 2, 3, 5, 8, 13, 21, 34, 55, ...), gdzie kolejny wyraz ciągu jest sumą dwóch poprzednich, obróbka danych (jak obliczanie średniej i mediany zbioru liczb) oraz zagadnienia z rachunku prawdopodobieństwa.

Wiele osób uważa, że rachunek prawdopodobieństwa jest niezgodny z intuicją. Na przykład odpowiedź do zadania „Kobieta ma dwoje dzieci, jedno z nich jest dziewczynką. Jakie jest prawdopodobieństwo, że drugie dziecko również jest dziewczynką?” nie brzmi 1 do 2, ale 2 do 3. Jest tak, ponieważ jeśli wiemy, że jedno z dzieci jest dziewczynką, to znaczy, że nie może być dwóch chłopców, więc pozostają następujące możliwości: ChD (chłopiec i dziewczynka), DCh (dziewczynka i chłopiec) oraz DD (dziewczynka i dziewczynka).

„Problem trzech kart” to kolejny przykład zadania z rachunku prawdopodobieństwa, w którym odpowiedź jest na pozór niezgodna z intuicją. Wyobraźmy sobie trzy karty: jedna jest czerwona z obu stron, druga biała z obu stron, a trzecia z jednej strony czerwona, a z drugiej biała. Ktoś wkłada karty do worka i miesza je, a następnie wyciąga jedną i kładzie ją na stole wierzchem do góry. Wierzch karty jest czerwony. Jakie jest prawdopodobieństwo, że druga strona też jest czerwona? Niektóre wersje tego zadania wykazują, że skoro są tylko dwie karty z czerwonymi stronami – jedna z drugą stroną również czerwoną, a jedna z drugą stroną białą – to

wyduje się, że prawdopodobieństwo wynosi 1 do 2, czyli druga strona karty może z równym prawdopodobieństwem być czerwona lub biała. Jednak w rzeczywistości prawdopodobieństwo, że druga strona karty jest również czerwona, wynosi 2 do 3. Aby to zobaczyć, wyobraźmy sobie, że piszemy literę „A” na jednej stronie karty obustronnie czerwonej i „B” na jej drugiej stronie. Na karcie z jedną stroną czerwoną, a drugą białą piszemy literę „C” na stronie czerwonej. Następnie wyobraźmy sobie, że wyciągamy kartę, która ma czerwoną stronę. Możliwe jest, że jest to czerwona strona „A”, „B” lub „C”. Jeśli jest to „A”, to drugą stroną jest „B” (czerwona); jeśli „B”, to drugą stroną jest „A” (czerwona); a jeśli „C”, to drugą stroną jest biała. W takiej sytuacji prawdopodobieństwo, że pod daną czerwoną stroną jest również czerwona, wynosi 2 do 3.

Moim kolejnym ulubionym przedmiotem w szkole średniej była historia. Od dzieciństwa uwielbiałem zapamiętywać rozmaite listy i spisy, a lekcje historii były ich pełne: szczególnie interesowały mnie wykazy imion i dat panowania monarchów, prezydentów i premierów. Zdecydowanie wolę literaturę faktu niż beletrystykę, więc z wielką przyjemnością czytałem i studiowałem wiele różnych faktów i liczb związanych z najważniejszymi wydarzeniami w historii. Musiałem również analizować teksty i starać się zrozumieć związki między różnymi ideami i wydarzeniami historycznymi. Byłem oczarowany faktem, że jedno, na pozór odosobnione zdarzenie może prowadzić do serii innych zdarzeń, jak efekt kostek domina. Fascynowała mnie złożoność historii.

W wieku jedenastu lat zacząłem tworzyć własny świat postaci historycznych, takich jak prezydenci i premierzy, i dla każdej z nich układałem pełną i skomplikowaną biografię. Czasem po prostu przychodziły mi do głowy różne nazwiska, daty i wydarzenia i spędzałem dużo czasu na rozważaniu wymyślonych faktów i danych statystycznych związanych z każdym z nich. Część powstała pod wpływem mojej wiedzy na temat prawdziwych historycznych postaci i wydarzeń, a inne całkowicie od nich odbiegały. Nawet dziś nie przestaję rozmyślać nad moimi własnymi historycznymi tablicami chronologicznymi i z czasem dodawać do nich

nowych postaci i wydarzeń. Poniżej podaję przykład jednej ze stworzonych przeze mnie postaci historycznych:

Howard Sandum (1888–1967), trzydziesty drugi prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki

Sandum urodził się w ubogiej rodzinie na Środkowym Zachodzie, walczył w pierwszej wojnie światowej. W 1921 roku został wybrany z ramienia Partii Republikańskiej na członka Izby Reprezentantów, a trzy lata później – w wieku zaledwie trzydziestu sześciu lat – do Senatu. W 1930 roku objął stanowisko gubernatora, a w listopadzie 1938 roku został wybrany na prezydenta Stanów Zjednoczonych, pokonując dotychczasowego prezydenta, sześćdziesięcioczworoletniego demokratę Evana Kramera. Sprawował urząd prezydencki w czasie wojny, wypowiadając wojnę nazistowskiemu Niemcom i Japonii w grudniu 1941 roku. W wyborach prezydenckich (odbywających się co sześć lat) w listopadzie 1944 roku przegrał z demokratą Williamem Griffinem (urodzonym w 1890 roku), a następnie wycofał się z życia politycznego. Na emeryturze napisał pamiętniki – opublikowano je w 1963 roku. Syn Sanduma, Charles (1920–2000), jego jedyne dziecko, poszedł w ślady ojca i został politykiem – w latach 1966–1986 sprawował urząd kongresmana.

W szkole były przedmioty, których wprost nienawidziłem i które mnie męczyły. Bardzo nudziło mnie na przykład stolarstwo i zupełnie nie byłem w stanie się do niego przyłożyć. Koledzy i koleżanki z klasy z zapałem cięli, wygładzali papierem ściernym i składali różne drewniane części, ale mnie trudno było zastosować się do wskazówek nauczyciela i często pozostawałem w tyle za wszystkimi. Czasem nauczycielowi brakowało cierpliwości, podchodził i wykonywał pracę za mnie. Myślałem, że jestem leniwy, ale dla mnie było to całkowicie obce środowisko i nie chciałem w nim przebywać.

Tak samo było z wychowaniem fizycznym. Lubiałem zajęcia, które nie wymagały interakcji z innymi – przepadałem za skokami na batucie i skokiem wzwyż i naprawdę czekałem na te ćwiczenia. Niestety, większość lekcji spędzaliśmy na boisku, grając w gry zespołowe, jak rugby i piłka nożna. Zawsze najgorszy był dla mnie początek – wybierano kapitanów drużyn, a następnie oni wybierali po jednej osobie do swojej drużyny, aż zostawała ostatnia; tą osobą prawie zawsze byłem ja. Nie chodziło o to, że nie umiem szybko biegać czy kopnąć piłki w prostej linii. Po prostu nie

umiałem współpracować z innymi w drużynie – nie wiedziałem, kiedy się ruszyć, kiedy podać, a kiedy przekazać piłkę komu innemu. W czasie meczu otaczał mnie taki hałas, że nieświadomie się wyłączałem i nie wiedziałem, co się dookoła dzieje, dopóki któryś z graczy lub trener nie podszedł, stanął nade mną i kazał mi „się skupić” lub „się zaangażować”.

Nawet w starszym wieku wciąż trudno mi było utrzymywać kontakty z rówieśnikami i zawierać przyjaźnie. Miałem szczęście, że na początku nauki w szkole średniej spotkałem Rehana, Brytyjczyka pochodzenia hinduskiego, którego rodzina przeniosła się z Indii do Wielkiej Brytanii pięćdziesiąt lat wcześniej. Rehan był wysoki, szczupły, miał bardzo gęste czarne włosy i często cesał je szczotką, którą nosił w plecaku. Inni uczniowie dokuczali mu z powodu nietypowego wyglądu – nie miał dwóch przednich zębów, a górną wargę przecinała blizna pozostała po wypadku z dzieciństwa. Zapewne dlatego, że on również był nieśmiały, załęknioty i – podobnie jak Babak – w pewnym sensie był outsiderem, zaprzyjaźniliśmy się i spędzaliśmy razem dużo czasu. Na lekcjach zawsze siedziałem z Rehanem w ławce, a w czasie przerw razem chodziliśmy po szkolnych korytarzach, rozmawiając o interesujących nas rzeczach, podczas gdy inne dzieci bawiły się na dworze i na boisku. Czasem Rehan recytował mi poezję – czytał bardzo dużo poezji, sam pisał wiersze i bardzo interesowały go słowa i język. To była kolejna rzecz, która nas łączyła.

Rehan uwielbiał Londyn i często podróżował po mieście metrem: zwiedzał miejsca, gdzie kiedyś mieszkali i pracowali sławni poeci, a w piątki chodził na modlitwy do meczetu w Wimbledonie. Ze zdziwieniem odkrył, że chociaż całe życie mieszkam w Londynie, prawie w ogóle go nie znam, nie licząc ulic wokół mojego domu. Wobec tego czasem w weekendy Rehan zabierał mnie ze sobą na wycieczki metrem, bym zobaczył takie atrakcje, jak twierdzę Tower of London, Big Bena i pałac Buckingham. Kupował mi bilet i prowadził na peron, gdzie czekaliśmy na metro. Było tam ponuro i wilgotno; pamiętam, że raz spojrzałem w dół i zobaczyłem spaloną zapalną i zgniecioną paczkę po papierosach, na której było napisane „Palenie szkodzi zdrowiu”.

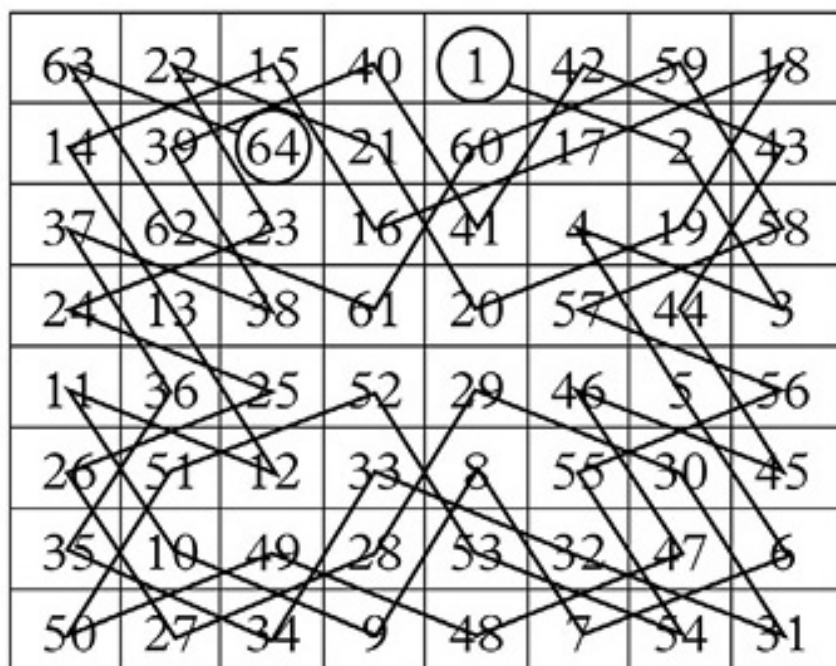
Gdy siedzieliśmy razem w pociągu, Rehan pokazywał mi mapę różnych linii i stacji metra: żółtą linię Circle, niebieską linię Victoria, zieloną linię District. Pędzący pociąg strasznie się trząsł, jakby bez przerwy kichał. Nie podobało mi się centrum Londynu, pełne ludzi, hałasu, różnych zapachów, widoków i dźwięków – było to zbyt wiele informacji, bym mógł je mentalnie uporządkować, więc zwykle bolała mnie głowa. Rehan pomagał mi, zabierając mnie do cichych miejsc z dala od tłumu turystów i zwiedzających: do muzeów, bibliotek i galerii. Bardzo go lubiłem i czułem się z nim bezpiecznie.

W czasie nauki w szkole średniej Rehan dużo chorował i coraz częściej opuszczał lekcje. Stopniowo musiałem nauczyć się radzić sobie sam w szkole, co nie było łatwe – bolało mnie, gdy dzieci z klasy dokuczały mi, że nie mam przyjaciół. Kiedy biblioteka była zamknięta, spędzałem przerwy samotnie, krążąc po korytarzach, dopóki nie zadzwonił dzwonek na kolejną lekcję. Bałem się zajęć w grupach na lekcjach, wcześniej z radością wykonywałem je z Rehanem. Teraz nauczyciel musiał pytać głośno: „Kto będzie tak miły i popracuje w parze z Danielem?”. Nikt nie chciał, więc często musiałam pracować sam, co mi odpowiadało.

Gdy miałem trzynaście lat, ojciec nauczył mnie grać w szachy. Pewnego dnia pokazał mi szachownicę i bierki, którymi grał z przyjaciółmi, i zapytał, czy chcę się nauczyć. Przytaknąłem, więc pokazał mi, jak każda bierka porusza się po szachownicy, i wyjaśnił podstawowe zasady gry. Ojciec był samoukiem i grał tylko od czasu do czasu dla rozrywki, ale i tak się zdziwił, gdy pokonałem go w naszej pierwszej partii. „Szczęście początkującego” – powiedział, ponownie ustawił bierki na wyjściowych pozycjach i zagraliśmy jeszcze raz. Znowu wygrałem. W tym momencie ojciec wpadł na pomysł, że mógłbym grać towarzysko w klubie szachowym. Znał jeden w pobliżu i powiedział, że zabierze mnie tam w następnym tygodniu.

Z szachami wiąże się wiele matematycznych problemów, najbardziej znany i mój ulubiony nazywa się problemem skoczka – jak obejść szachownicę ruchem skoczka szachowego (który porusza się po literze L – dwa pola poziomo i jedno pionowo bądź jedno poziomo i dwa pionowo)

tak, aby na każdym polu znaleźć się dokładnie raz. Na przestrzeni wieków problemem tym zajmowało się wielu sławnych matematyków. Jedno proste rozwiązanie wykorzystuje algorytm Warnsdorffa, zgodnie z którym w każdym kolejnym ruchu skoczek musi trafić na pole o najniższym stopniu (stopień pola to liczba pól, na które skoczek może ruszyć się z tego pola). Poniżej znajduje się przykład rozwiązania problemu skoczka.



Klub, w którym grałem, znajdował się dwadzieścia minut drogi piechotą od domu. Ojciec zabierał mnie tam co tydzień i odbierał pod koniec wieczoru. Spotkania odbywały się w małej sali obok biblioteki. Klubem kierował Brian, niski mężczyzna z twarzą pomarszczoną jak suszona śliwka. W sali znajdowały się stoły i krzesła, a starsi mężczyźni siedzieli zgarbieni nad szachownicami. Grali w ciszy, przerywanej jedynie hałasem przesuwanych bierok, tykaniem zegarów, stukaniem butów i buczeniem jarzeńówek. Ojciec przedstawił mnie Brianowi i powiedział, że jestem początkującym graczem, że jestem bardzo nieśmiały, ale chętny do nauki i lubię grać. Brian zapytał, czy wiem, jak przygotować szachownicę do gry. Przytaknąłem, więc posadził mnie przy pustym stole z szachownicą i pudełkiem bierok i poprosił o ustawienie każdej bierki na właściwej pozycji wyjściowej na

szachownicy. Gdy skończyłem, Brian zawołał starszego mężczyznę w grubych okularach, by usiadł naprzeciwko i ze mną zagrał. Brian i ojciec stali z tyłu i patrzyli, jak nerwowo przesuwam bierki, aż pół godziny później mój przeciwnik przewrócił swojego króla i wstał. Nie wiedziałem, co to znaczy, aż Brian podszedł i powiedział po prostu: „Dobra robota – wygrałeś”.

Lubiłem chodzić co tydzień do klubu i grać. Nie było tam hałaśliwie i nie musiałem zbyt wiele rozmawiać czy kontaktować się z innymi. Gdy nie grałem w szachy w klubie, czytałem o nich w domu w książkach wypożyczonych z miejscowej biblioteki. Wkrótce potrafiłem mówić jedynie o szachach – mówiłem nawet, że chcę grać zawodowo, gdy dorosnę. Gdy Brian zapytał, czy chcę reprezentować klub w zawodach z innymi okolicznymi klubami, byłem podekscytowany, ponieważ oznaczało to, że mogę grać jeszcze więcej, zatem od razu się zgodziłem. Mecze odbywały się w różne dni tygodnia, ale każdego gracza w drużynie pytano w wyprzedzeniu, czy może grać w danym terminie. Brian przyjeżdżał po mnie samochodem i zawoził mnie, czasem z innym członkiem drużyny, na miejsce wieczornego spotkania. Takie rozgrywki były bardziej formalne niż te w klubie, a każdy gracz musiał zapisywać wykonane ruchy na kartce, którą wcześniej dostawał. Wygrałem większość swoich gier, więc szybko wszedłem do stałego składu zespołu meczowego klubu.

Po każdym meczu zabierałem swoją kartkę do domu i siedząc na podłodze w pokoju, ponownie rozgrywałem partię na własnej szachownicy i analizowałem pozycje, starając się znaleźć sposoby na ulepszenie gry. Była to rada, którą wyczytałem w jednej z książek o szachach i dzięki której unikałem powtarzania błędów oraz poznałem rozmaite popularne pozycje szachowe.

Najtrudniejsze było dla mnie intensywne koncentrowanie się przez całą grę, która często trwała dwie lub trzy godziny. Zwykle mam krótkie zrywy głębokiego myślenia, po których przychodzą dłuższe okresy, gdy moja zdolność skoncentrowania się na czymś jest znacznie obniżona i mniej stała. Ciężko mi również odciąć się od otaczających błahostek, co wpływa

na moją koncentrację: na przykład, gdy ktoś głośno wypuszcza powietrze w drugim końcu sali. Bywały gry, w których osiągałem przewagę, a następnie traciłem koncentrację, wykonywałem słaby ruch lub serię ruchów i w końcu przegrywałem. To zawsze było dla mnie bardzo frustrujące.

Co miesiąc czytałem najnowszy numer czasopisma szachowego w miejscowej bibliotece. W jednym z nich znalazłem ogłoszenie o nadchodzącym turnieju, niedaleko mojego domu. Było tam napisane: „Opłata za wstęp: Z wyprzedzeniem – zniżka 5 funtów. Przy wejściu – 20 funtów”. Zwykle brałem wszystko dosłownie i nie byłem pewien, co znaczy tutaj „zniżka”. Zapytałem rodziców, czy mogę wziąć udział w tym turnieju, a oni się zgodzili i dali mi przekaz pocztowy na sumę, którą myślałem, że mam wysłać: 5 funtów. Dwa tygodnie później udałem się na turniej i podałem swoje nazwisko. Mężczyzna przy wejściu spojrzał w notatki i powiedział, że musiałem coś źle zrozumieć, bo mam dopłacić 15 funtów (płaciłem przy wejściu, więc musiałem zapłacić całą kwotę). Na szczęście miałem przy sobie trochę pieniędzy, więc zapłaciłem, choć czułem się bardzo zdezorientowany w tej całej sytuacji.

Gry były na czas, a ja zacząłem swój pierwszy mecz pewnie i grałem szybko. Wkrótce miałem silną pozycję na szachownicy i dużą przewagę czasową nad moim przeciwnikiem. Czułem się bardzo dobrze. Wtedy nagle mój przeciwnik wykonał ruch, nacisnął przycisk zegara i gwałtownie wstał. Patrzyłem, jak przechadza się tam i z powrotem po sali, czekając na mój ruch. Nie spodziewałem się tego i poczułem, że nie mogę się skoncentrować, gdy tak chodzi w tę i z powrotem, skrzypiąc butami po twardej, lśniącej podłodze. W zupełnym roztargnieniu wykonałem serię słabych ruchów i przegrałem. Byłem bardzo rozczarowany i nie mogłem dalej grać, bo nie potrafiłem ponownie się skoncentrować. Wyszedłem z sali i wróciłem do domu, stwierdziwszy, że gra turniejowa nie jest dla mnie.

Grałem regularnie w szachy sam na podłodze w swoim pokoju. Rodzina wiedziała, że nie należy mi przeszkadzać, gdy jestem w środku gry. Kiedy grałem sam, szachy uspokajały mnie swoimi stałymi i konsekwentnymi

zasadami oraz powtarzalnym porządkiem bierek i pozycji. W wieku szesnastu lat stworzyłem grę z osiemnastu ruchów i wysłałem ją do czasopisma szachowego, które gorliwie czytałem podczas regularnych wizyt w bibliotece. Ku mojemu zaskoczeniu kilka miesięcy później została ona opublikowana jako główna pozycja w dziale listów. Rodzice byli ze mnie tak dumni, że oprawili tę stronę i powiesili na ścianie mojej sypialni.

Wcześniej w tym samym roku, 1995, zdałem kończące szkołę średnią egzaminy GCSE, uzyskując najwyższą możliwą ocenę – A* – z historii, A z języka angielskiego i literatury angielskiej, języka francuskiego i języka niemieckiego, dwie oceny B z przedmiotów ścisłych oraz C ze stolarstwa. Na próbnym egzaminie z matematyki dostałem A, ale ostatecznie zdałem egzamin na B, ponieważ nie najlepiej radziłem sobie z algebrą. Miałem poważne trudności z równaniami, w których liczby – reagowałem na nie synestezyjnie i emocjonalnie – zastępowano literami, a na nie nie miałem żadnej reakcji. Dlatego zdecydowałem, że nie będę kontynuował nauki matematyki i do zdawania na egzaminie dojrzałości *Advanced level* (A-level) wybrałem historię, język francuski i język niemiecki.

Gdy miałem siedemnaście lat, jedna z nauczycielek, która na poziomie *A-level* uczyła mnie języka francuskiego, pani Cooper, pomogła mi zorganizować mój pierwszy zagraniczny wyjazd do Nantes, miasta w północno-wschodniej Francji, położonego niedaleko od morza, nad Loarą. Nauczycielka знаła rodzinę, która zgodziła się mnie gościć i zajmować mną w czasie pobytu. Nigdy wcześniej nie miałem paszportu, więc teraz musiałem wyrobić go w krótkim czasie przed wylotem w środku lata. Pamiętam, że bardzo się denerwowałem rozstaniem z bliskimi, lotem samolotem i wyjazdem do innego kraju. Byłem też jednak bardzo podekscytowany możliwością mówienia po francusku, więc poradziłem sobie z sytuacją. W ciągu dziesięciodniowych wakacji francuska rodzina traktowała mnie bardzo dobrze, pozostawiając mi swobodę, gdy jej potrzebowałem, i cały czas zachęcając mnie do używania i ćwiczenia francuskiego. Każda rozmowa była *en français* – w czasie gry w tenisa stołowego, wypraw na plażę oraz długich, leniwych posiłków złożonych

z owoców morza. Wróciłem do domu cały i zdrowy, jeśli nie liczyć oparzenia słonecznego na mojej wrażliwej skórze.

Tego samego lata w naszej szkole pojawił się chłopiec, Niemiec o imieniu Jens, by doskonalić swój angielski. Jako że byłem jedynym uczniem w klasie, który mówił po niemiecku, Jens siedział ze mną na lekcjach i towarzyszył mi, dokądkolwiek szedłem. Cieszyłem się, że mam z kim porozmawiać i spędzać przerwy, a rozmawialiśmy w języku będącym mieszanką niemieckiego i angielskiego. Jens nauczył mnie wielu współczesnych niemieckich słów, takich jak *Handy*, czyli „telefon komórkowy”, i *Glötte*, czyli „telewizor”, których wcześniej ani nie czytałem, ani nie słyszałem. Jens wrócił do Niemiec, ale w wciąż utrzymujemy kontakt e-mailowy – on pisze do mnie po angielsku, a ja odpisuję po niemiecku.

Dojrzewałem i zmieniałem się – byłem coraz wyższy, a mój głos coraz niższy. Rodzice nauczyli mnie używać dezodorantu i się golić, choć to drugie okazało się dla mnie zadaniem trudnym i niewygodnym, więc przeważnie miałem bardzo długi zarost. Burza hormonów wpłynęła również na postrzeganie otaczających mnie ludzi i na moje uczucia. Nie rozumiałem emocji – były to rzeczy, które po prostu mi się przytrafiały, często pojawiając się na pozór znikąd. Wiedziałem tylko, że chcę być z kimś blisko, więc, nie rozumiejąc bliskości jako kategorii przede wszystkim emocjonalnej, podchodziłem bardzo blisko do któregoś z uczniów na boisku i stałem przy nim, dopóki nie poczułem na skórze ciepła jego ciała. Wciąż nie rozumiałem idei przestrzeni osobistej, nie zdawałem sobie sprawy z tego, że przez to, co robiłem, ludzie czuli się nieswojo w moim towarzystwie.

Od jedenastego roku życia wiedziałem, że pociągają mnie inni chłopcy, choć dopiero po kilku latach zacząłem uważać się za geja. Koledzy w klasie interesowali się dziewczynami i dużo o nich mówili, ale to nie pogłębiało mojego uczucia inności – wiedziałem już wtedy doskonale, że mój świat jest zupełnie inny od ich świata. Nigdy nie wstydziłem się ani nie krępowałem swoich uczuć, ponieważ nie wybierałem ich świadomie – były tak spontaniczne i prawdziwe jak inne zmiany wieku dojrzewania. Przez

cały okres dorastania brakowało mi pewności siebie, ponieważ zawsze byłem przedmiotem kpin i nie potrafiłem swobodnie rozmawiać i przebywać z moimi rówieśnikami – w związku z tym nawet nie myślałem o randkach. W szkole mieliśmy zajęcia z wychowania seksualnego, ale nigdy mnie one nie interesowały i nie poruszały kwestii uczuć, których doświadczałem.

Po raz pierwszy zakochałem się, gdy miałem szesnaście lat, po przejściu do szóstej klasy^[5]. Klasa była o wiele mniejsza niż wcześniej, liczyła tylko dwanaścioro uczniów, a wśród nowych osób był chłopak, który właśnie przeprowadził się w te okolice i uczył się historii na poziomie *A-level*, tak jak ja. Wysoki, pewny siebie i towarzyski, mimo że nowy w szkole – pod wieloma względami był moim zupełnym przeciwieństwem. Już samo patrzenie na niego wprowadzało mnie w dziwny stan: zasychało mi w ustach, żołądek podchodził do gardła, a serce łomotało w piersi. Na początku wystarczało mi, że codziennie widziałem go w szkole, choć gdy się spóźniał, nie mogłem się skoncentrować na lekcji, bo czekałem, kiedy wejdzie do klasy.

Pewnego dnia zobaczyłem go nad książką w szkolnej bibliotece i przysiadłem się do jego stolika. Byłem tak zdenerwowany, że zapomniałem się przedstawić. Na szczęście rozpoznał mnie z zajęć i po prostu czytał dalej. Siedziałem tam piętnaście minut, nie mogąc wydusić z siebie słowa, aż zadzwonił dzwonek na lekcję, a on wstał i wyszedł. Wpadłem na pomysł, że jeśli pomogę mu w nauce historii, będzie to okazja, by z nim przebywać. Spisałem kilka stron notatek z lekcji historii z ostatniego miesiąca i dałem mu je, gdy znów zobaczyłem go w bibliotece. Był zdziwiony i zapytał, czemu to dla niego robię. Odpowiedziałem, że chcę mu pomóc, ponieważ jest nowy w szkole. Wziął notatki i podziękował mi. Zrobiłem dla niego więcej notatek, które przyjął dopiero po zapewnieniach, że to dla mnie żaden problem. Jednak ani przez chwilę nie rozmawiał ze mną jak z przyjacielem i nie szukał mojego towarzystwa. Wkrótce zacząłem się niecierpliwić, więc napisałem krótko, co czuję, i dałem mu karteczkę w czasie jednej z przerw w bibliotece. Zaraz po tym wyszedłem, bo nie czułem się na siłach być przy nim w chwili, gdy czytał

moje najskrytsze myśli. Później, gdy po skończonych lekcjach szedłem do wyjścia, zobaczyłem go, jak stoi na środku ścieżki, patrzy i czeka. W głębi duszy chciałem zawrócić i uciekać, bo wciąż nie potrafiłem spojrzeć mu w oczy, ale było za późno, zobaczył mnie. Staliśmy razem na ścieżce i przez krótką szczęśliwą chwilę wydawało mi się, że wkroczył do mojego świata. Oddał mi list i powiedział, prosto i łagodnie, że nie może być tym, kim chcę, żeby był. Nie był zły ani zdenerwowany, stał cierpliwie, patrząc na mnie, aż opuściłem głowę i odszedłem.

W domu zrobiłem to, co zawsze robiłem w chwilach smutku i niepewności – włączyłem swoją ulubioną muzykę, to zawsze pomagało mi się uspokoić. Moim ulubionym zespołem byli The Carpenters, ale słuchałem z przejęciem także innych muzyków, jak Alison Moyet i The Beach Boys. Mam bardzo wysoką tolerancję na powtarzanie, więc czasem puszczałem na walkmanie tę samą piosenkę sto razy pod rząd, słuchając jej nieprzerwanie godzinami.

Dwa lata w szóstej klasie były dla mnie trudne także z innych powodów. Zmiany w strukturze lekcji i sposobie nauczania przedmiotów były dla mnie szokiem i ciężko mi było się przystosować. Na lekcjach historii tematy, których uczyłem się przez dwa poprzednie lata, zostały zastąpione niezwiązanymi z nimi zagadnieniami, które w ogóle mnie nie interesowały. Wymagano od nas znacznie więcej prac pisemnych, więc męczyłem się, pisząc więcej o wydarzeniach i ideach, o których znacznie mniej wiedziałem i które mnie nie interesowały. Równocześnie jednak miałem doskonałe relacje z nauczycielem historii, panem Sextonem, o wiele lepsze niż z jakimkolwiek rówieśnikiem. Szanował moją miłość do tego przedmiotu i lubił rozmawiać ze mną po lekcjach na te tematy, które mnie pasjonowały. Elastyczne podejście na poziomie *A-level* oznaczało, że w znacznie większym stopniu mogłem pracować we własnym tempie, klasy były mniejsze, a uczniowie bardziej zaangażowani. Jednak pod koniec ostatniego trymestru byłem wykończony i nieszczęśliwy. Egzaminy poszły mi dobrze, ale nie pomogło mi to w odpowiedzi na pytanie, które wtedy wciąż sobie zdawałem: „I co teraz?”.



Bilet do Kowna

Rodzice zawsze myśleli, że pójdę na studia. Wytrwale wspierali mnie w czasie nauki i byli dumni z moich sukcesów na tym polu. Matka i ojciec skończyli naukę w szkole, nie zdobywając żadnych kwalifikacji, a w mojej rodzinie nikt wcześniej nie kształcił się w szkole wyższej. Ja jednak nigdy nie oswoiłem się z myślą, że mam iść na studia. Chociaż usilnie pracowałem nad swoimi zdolnościami towarzyskimi, wciąż czułem się niezręcznie i niepewnie wśród ludzi. Poza tym, miałem już dość szkoły i chciałem robić coś nowego i ambitnego. Jednak jak wielu osiemnastolatków nie potrafiłem jasno określić, co to może być. Gdy powiedziałem matce, że zdecydowałem się nie iść na studia, była rozczarowana. Rodzice mieli wtedy wątpliwości, czy zdołam całkowicie dostosować się do wymogów świata zewnętrznego. W końcu najbliższe czynności – jak mycie zębów i golenie – nadal zajmują mi dużo czasu i wymagają sporo wysiłku.

Każdego dnia czytałem ostatnie strony gazety, przeglądając różne ogłoszenia o pracy. Szkolnemu doradcy zawodowemu powiedziałem, że w przyszłości chcę być sortowaczem poczty lub bibliotekarzem. Praca przy sortowaniu poczty, wkładanie każdego listu do ściśle określonej przegródki czy praca w bibliotece, w otoczeniu liczb i słów, w zorganizowanym,

logicznym i cichym środowisku, zawsze wydawały mi się idealne. Jednak biblioteki w moim rejonie nie poszukiwały nowych pracowników, a niektóre z nich wymagały kwalifikacji, których nie posiadałem. Wtedy trafiłem w gazecie na małe ogłoszenie, skierowane do osób zainteresowanych wolontariatem za granicą. Czytałem tak wiele o różnych krajach świata – znałem nazwy wszystkich stolic w Europie – że pomysł mieszkania i pracy w dalekim obcym kraju od razu wydał mi się zarówno przerażający, jak i niesamowicie ekscytujący. Samo nawet zastanawianie się nad tym było olbrzymim krokiem, ale wiedziałem, że nie chcę zawsze mieszkać z rodzicami.

Przedyskutowałem to z rodziną. Rodzice nie byli przekonani, ale stwierdzili, że powinienem zadzwonić pod wskazany w ogłoszeniu numer i poprosić o więcej informacji. Kilka dni później otrzymaliśmy kilka ulotek. Ludzie, którzy dali ogłoszenie, reprezentowali młodzieżowy oddział międzynarodowej organizacji charytatywnej VSO – Voluntary Service Overseas – wspierającej kraje rozwijające się, największej na świecie organizacji wysyłającej wolontariuszy. Zależało im szczególnie na tym, by młodym ludziom z zafowanych rejonów Wielkiej Brytanii stworzyć możliwości – na przykład pracy wolontariuszy w innym kraju – których nikt inny im nie dawał. Osoby przyjęte do programu miały być wysłane do pracy w Europie Wschodniej, gdzie zapewniano im ciągłe szkolenia i wsparcie przez cały czas pobytu. Przedyskutowałem wszystko z bliskimi, wypełniłem zgłoszenie i czekałem na odpowiedź organizatorów.

Perspektywa opuszczenia rodziny i podróżowania setki kilometrów do nowego życia w nowym kraju napełniała mnie niepokojem. Byłem jednak dorosły i wiedziałem, że jeśli kiedykolwiek mam osiągnąć coś w świecie, który znajdował się poza moim pokojem w domu, to muszę coś zrobić. Mój przyjaciel z Niemiec, Jens, zachęcał mnie, bym podróżował, tak jak on do Wielkiej Brytanii. Uważał, że takie doświadczenie pomoże mi nabrać pewności siebie i otwartości w stosunku do ludzi. Ja miałem nadzieję, że zagraniczna podróż pomoże mi znacznie lepiej poznać siebie samego, przekonać się, jaki jestem.

Przyszedł list, w którym napisano, że moje zgłoszenie zostało przyjęte i że mam jechać na rozmowę do centrum Londynu. Tego dnia rodzice dali mi pieniądze na taksówkę, żebym na pewno był o czasie. Ojciec pomógł mi zawiązać krawat, włożyłem nową koszulę i spodnie. Metka koszuli gryzła mnie w szyję, więc drapałem się i drapałem, aż do czerwoności i bólu. Na miejscu wjechałem na górę windą – obserwując cyfry wyświetlające się na małym ekranie nad drzwiami – i dotarłem do recepcji, gdzie podałem swoje nazwisko. Kobieta przerzuciła kilka kartek, odhaczyła mnie czerwonym długopisem i poprosiła, żebym wybrał sobie krzesło. Wiedziałem, że miała na myśli „proszę usiąść”, a nie to, że mam wybrać sobie z poczekalni krzesło i zabrać je ze sobą, więc odszedłem, usiadłem i czekałem.

Poczekalnia była niewielka i ciemna, ponieważ okna były zbyt małe i umieszczone zbyt wysoko w ścianie, by wpuszczać dużo światła lub powietrza. Na wyblakłym dywanie wokół mojego krzesła zauważyłem żółte okruchy po ciastku, które ktoś jadł, czekając na swoją kolej. Na stoliku na środku pokoju leżał mały stosik bardzo pogniecionych czasopism, ale nie miałem ochoty na czytanie, więc patrzyłem na podłogę i liczyłem okruchy. Nagle drzwi się otworzyły i usłyszałem, jak jakiś głos wywołuje moje nazwisko. Wstałem i poszedłem do gabinetu, uważając, by po drodze nie stracić czasopism. Gabinet miał duże okno i było w nim znacznie jaśniej. Kobieta za biurkiem uściśnęła mi dłoń i poprosiła, bym usiadł. Ona również miała mnóstwo kartek papieru. Następnie zadała pytanie, którego najbardziej się spodziewałem: Myślisz, że będziesz dobrym wolontariuszem? Dlaczego? Spojrzałem w dół, wziąłem głęboki oddech i przypomniałem sobie, co matka mówiła o podkreślaniu zalet. „Potrafię starannie przemyśleć daną sytuację, rozumiem i szanuję odmienność innych ludzi i szybko się uczę”.

Później nastąpiły kolejne pytania: czy mam partnera lub partnerkę, za którym lub którą będę tęsknił w czasie pobytu za granicą (nie miałem) i czy uważam się za osobę tolerancyjną wobec innych krajów i kultur (tak). Kobieta zapytała mnie, co chciałbym robić jako wolontariusz, w jakiej pracy jestem najlepszy. Odpowiedziałem, że czasem pomagałem młodszym uczniom w szkole w lekcjach z języków obcych i że chciałbym uczyć

języka angielskiego. Uśmiechnęła się i coś sobie zapisała. Następnie zapytała, czy wiem cokolwiek o Europie Wschodniej, a ja powiedziałem, że w szkole uczyłem się historii Związku Radzieckiego i znam nazwy oraz stolice różnych państw. Przerwała mi i zapytała, czy miałbym coś przeciwko życiu w dużo biedniejszym kraju. Milczałem przez kilka chwil, bo nie lubię, gdy ktoś mi przerywa, ale później podniosłem głowę i powiedziałem, że nie mam nic przeciwko temu, a rzeczy, które naprawdę będą mi potrzebne, jak książki, ubrania i kasety z muzyką, zabiorę ze sobą.

Pod koniec rozmowy kobieta podniosła się z krzesła, uścisnęła mi dłoń i powiedziała, że wkrótce zostanę poinformowany o ich decyzji. Gdy wróciłem do domu, matka zapytała, jak poszła mi rozmowa, ale nie wiedziałem, co odpowiedzieć, bo nie miałem pojęcia, jak mi poszło. Kilka tygodni później dostałem list, w którym poinformowano mnie, że rozmowę oceniono pozytywnie i zostałem skierowany na tygodniowe szkolenie w ośrodku wypoczynkowym w regionie Midlands w następnym miesiącu. Byłem bardzo podekscytowany tym, że wynik rozmowy był pomyślny, ale również pełen obaw, bo nigdy wcześniej nie podróżowałem sam pociągiem. Do listu dołączona była kartka z instrukcją dojazdu do ośrodka dla tych, którzy przyjeżdżają pociągiem, więc zapamiętałem każde słowo, by się uspokoić. W pierwszy ranek tego tygodnia rodzice pomogli mi się do końca spakować, a ojciec odwiózł mnie na dworzec kolejowy i stał ze mną w kolejce po bilet. Upewnił się, że poszedłem na właściwy peron, i machał mi na pożegnanie, gdy wsadałem do pociągu.

Był to gorący letni dzień, w pociągu brakowało powietrza i było niewygodnie. Szybko zająłem siedzenie przy oknie, w sąsiedztwie pustych foteli, położyłem torbę na podłodze i ścisnąłem ją mocno nogami. Fotel był gąbczasty i jakkolwiek bym usiadł, było mi niewygodnie. Nie podobało mi się w pociągu. Było brudno, na podłodze leżały papierki od cukierków, a na pustym siedzeniu naprzeciw mnie zgnieciona gazeta. Pociąg ruszył, robiąc mnóstwo hałasu, co przeszkadzało mi skoncentrować się na innych rzeczach, jak liczenie rys na szybie okiennej obok mnie. Na kolejnych stacjach pociąg stopniowo wypełniał się ludźmi, a mnie ogarniał coraz większy niepokój, gdy coraz więcej pasażerów siadało i stawało wokół

mnie. W kakofonii różnych hałasów – przewracanych stron czasopism, głośnych walkmanów, łoskotu muzyki, kaszlu, kichania i hałaśliwych rozmów ludzi – czułem się źle i zdawało mi się, że głowa zaraz roztrzaska mi się na tysiące kawałków, więc przycisnąłem dłonie do uszu.

Pociąg w końcu dotarł na miejsce i był to już najwyższy czas, poczułem ogromną ulgę. Martwiłem się jednak, że ze swoim brakiem wycucia kierunków na pewno się zgubię. Na szczęście dostrzegłem czekającą taksówkę, wsiałem i podałem kierowcy adres. Po krótkiej podróży dotarłem do otoczonego drzewami wielkiego biało-czerwonego budynku z wieloma oknami i tablicą z napisem: „Harborne Hall – Ośrodek konferencyjny i szkoleniowy”. Z ulotek informacyjnych, rozłożonych w budynku, goście mogli wyczytać, że dwór pochodzi z XVIII wieku i wcześniej mieścił się w nim klasztor. W ponurej recepcji znajdowały się brązowe drewniane kolumny sięgające sufitu, ciemnobrązowe skórzane fotele i drewniane schody z balustradą naprzeciwko kontuaru. Otrzymałem plakietkę z nazwiskiem, którą miałem nosić przez cały pobyt w ośrodku, oraz klucze z numerem pokoju i program na nadchodzący tydzień.

Mój pokój znajdujący się na piętrze był jaśniejszy i znacznie świeższy. W rogu miał mały zlew, ale toalety i prysznice znajdowały się na końcu korytarza. Źle się czułem na myśl o korzystaniu ze wspólnej łazienki (w domu codziennie brałem prysznic), więc w tygodniu codziennie wstawałem wcześniej rano, by mieć pewność, że będę w łazience pierwszy, zanim ktokolwiek inny wstanie.

Pierwszego dnia w ośrodku dowiedziałem się, że skierowano mnie jako nauczyciela języka angielskiego na Litwę. Wcześniej zetknąłem się jedynie z nazwą kraju i jego stolicy – Wilna – więc dano mi książki i ulotki, bym dowiedział się więcej o tym państwie i jego mieszkańcach. Następnie odbyła się wzajemna prezentacja w kilkunastoosobowej grupie młodych ludzi, którzy jako różni wolontariusze wybierali się do Europy Wschodniej. Siedzieliśmy w kręgu i każdy z nas miał minutę na przedstawienie się. Bardzo się denerwowałem i starałem pamiętać o utrzymywaniu kontaktu wzrokowego z ludźmi z grupy, gdy podawałem swoje imię, nazwisko i kraj, do którego wyjeżdżam. Wśród wolontariuszy, których spotkałem, był

Irlandczyk z długimi, kręconymi włosami, skierowany do Rosji. Była również młoda kobieta, która miała pracować z dziećmi na Węgrzech.

Mieliśmy dużo wolnego czasu, który inni wolontariusze spędzali w pokoju gier na rozmowach i grze w bilard. Ja wolałem siedzieć u siebie i czytać lub chodziłem do pełnej ksiązek i map biblioteki dworu i czytałem. W czasie przerw na posiłki spieszyłem się na dół, by pierwszy dostać jedzenie, i zjadałem je jak najszybciej, by uniknąć tłumów wokół mnie. Pod koniec każdego dnia siadałem sam na trawie w ustronnym miejscu niedaleko dworu i patrzyłem w górę na wysokie drzewa na tle ciepłych, blaknących kolorów wieczornego nieba, zatopiony w myślach i uczuciach.- Niepokoilem się oczywiście o podróż i powodzenie mojego wolontariatu. Jednak było we mnie coś jeszcze: podekscytowanie, że w końcu biorę odpowiedzialność za swoje życie i swój los. Ta myśl zapierała mi dech w piersiach.

Szkolenie składało się z trzech części. Pierwsza miała rozwijać umiejętność pracy w zespole, zaangażowanie i współpracę. Zostaliśmy podzieleni na małe grupki i poproszono nas, byśmy ustalili, według jakiego porządku wybierzemy kolorowe plastikowe kulki z pełnych pudełek, które dostał każdy zespół. Gdy otrzymałem proste i jasne instrukcje od członków mojej grupy, spisałem się dobrze i byłem dość zadowolony, wykonując swoje zadanie w ćwiczeniu. Bywa, że takie ćwiczenia trwają kilka godzin, więc największym wyzwaniem dla mnie było skupienie się i utrzymanie koncentracji przez cały czas.

Odbyla się również grupowa debata na temat wartości i zwyczajów kulturowych, która miała wywołać wśród wolontariuszy dyskusję, podać w wątpliwość uprzedzenia i promować tolerancję. W pewnym momencie, po wspólnym obejrzeniu filmu wideo o egzotycznym jedzeniu spożywanym w różnych częściach świata, prowadzący debatę zapytał, co myślimy o kraju, w którym ludzie spożywają wiele jedzenia wysmarowanego tłuszczem zwierzęcym. Wielu wolontariuszy wykrzywiało twarze i mówiło, że to obrzydliwe. Zrozumiawszy, że prowadzący prawdopodobnie mówił

o maśle (tak rzeczywiście było), odpowiedziałem, że mnie zupełnie nie razi, iż ludzie to jedzą.

Pod koniec tygodnia odbył się wykład na temat krajów Europy Wschodniej, ich geografii oraz warunków społecznych i politycznych. Wykład trwał godzinę i wszyscy mieli robić notatki. Ja siedziałem i słuchałem, ale nic nie notowałem. W pewnym momencie wykładowca zapytał mnie, dlaczego nie notuję, więc odpowiedziałem, że pamiętam wszystko, co powiedział, a notatki robię mentalnie, w głowie. Zawsze tak notowałem, pomagało mi to bardzo na szkolnych egzaminach. Zadał mi kilka pytań, by mnie sprawdzić, i na wszystkie odpowiedziałem prawidłowo.

Po szkoleniu wróciłem do domu i czekałem na ostateczne potwierdzenie mojego wolontariatu na Litwie. Przyszło pocztą: duża paczka drukowanych materiałów z mapami, nazwiskami i numerami kontaktowymi, szczegółami zakwaterowania i pracy oraz biletem lotniczym. Rodzice bardzo się o mnie bali i martwili się, czy poradzę sobie sam tak daleko od domu przez tak długi czas, ale ja byłem tylko podekscytowany, że robię coś, co uważałem za duży postęp w życiu. Ciężko mi było w to uwierzyć, ale, mając prawie dwadzieścia lat, w końcu wyprowadzałem się z domu, tysiąc trzysta kilometrów od niego.

Republika Litewska to jedno z trzech państw bałtyckich, graniczy na północy z Łotwą, na południowym wschodzie z Białorusią, na południu z Polską, a na południowym zachodzie z rosyjskim obwodem kaliningradzkim. W 1940 roku, w czasie drugiej wojny światowej, Litwa została włączona do Związku Radzieckiego. Następnie była okupowana przez Niemcy, a w 1945 roku przywrócono w niej władzę radziecką. Litwa była pierwszą sowiecką republiką, która ogłosiła niepodległość, w niedzielę 11 marca 1990 roku. Wojska sowieckie próbowały temu przeszkodzić, lecz bezskutecznie. Podczas wydarzeń przy wileńskiej wieży telewizyjnej śmierć poniosło kilkunastu cywilów. W 2004 roku Litwa weszła do NATO i do Unii Europejskiej.

Z taksówki wiozącej mnie na lotnisko obserwowałem mijające nas samochody i liczyłem je. Huczało mi w głowie i było mi niedobrze. Nie mogłem uwierzyć, że swoich najbliższych zobaczę dopiero w następnym roku. Przed wyjazdem obiecałem matce, że co tydzień będę dzwonił do domu ze sprawozdaniem i że będę odpowiednio się odżywiał. Przy stanowisku odpraw panowała zadziwiająca cisza – był październik i letnie wakacje dawno się skończyły – więc bez problemu zdałem bagaż i przeszedłem przez kontrolę bezpieczeństwa do hali odlotów. Po długim oczekiwaniu, w czasie którego wciąż chodziłem w tę i z powrotem, bardzo regularnie sprawdzając ekran z informacjami o odlotach, w końcu ogłoszono mój lot, więc pospieszyłem do wyjścia do samolotu i wszedłem na pokład. Samolot był w połowie pusty i poczułem ogromną ulgę, że nikt obok mnie nie siedzi. Zatopiłem się w fotelu i zacząłem czytać otrzymane informacje o ośrodku, do którego zmierzałem, ćwicząc pod nosem wymowę różnych nazwisk i nazw miejsc. Obsługa samolotu nie przeszkadzała mi w czasie lotu, a gdy podchodziliśmy do lądowania w Międzynarodowym Porcie Lotniczym w Wilnie upewniłem się, że mam ze sobą aparat – zbliżała się zima i chciałem zrobić mnóstwo zdjęć śniegu.

Przy kontroli paszportowej były krótkie kolejki i ubrani od stóp do głów w czerń policjanci, obserwujący przechodzących ludzi. Mój paszport został sprawdzony, postawiono w nim czerwoną pieczętkę ze słowami „Lietuvos Respublika” (Republika Litewska) i przepuszczono mnie. Po odebraniu bagażu zostałem przywitany przez koordynatora wolontariuszy na kraje bałtyckie i zawieziony do mieszkania w Kownie, drugim co do wielkości mieście Litwy, położonym w środkowej części kraju.

Blok zbudowany był z betonu i stali, a przed nim znajdowały się ogródki działkowe, którymi opiekowali się starsi mieszkańcy, siedemdziesięcio- i osiemdziesięcioletni ludzie. Była to cicha okolica, z dala od głównych dróg i ruchu. Przedstawiono mnie właścicielowi, siwowłosemu mężczyźnie imieniem Jonas, który łamaną angielszczyzną wyjaśnił mi zasady panujące w bloku i podstawowe czynności, jak włączanie i wyłączanie ogrzewania. Dał mi swój numer telefonu, pod który miałem dzwonić w sytuacjach awaryjnych. Koordynator potwierdził adres ośrodka, do którego skierowano

mnie na wolontariat, i dał pisemne wskazówki, jak dotrzeć tam trolejbusem. Był piątek, więc miałem weekend, by się zdomowić przed rozpoczęciem pracy.

Moje mieszkanie, wyjątkowo przestronne, składało się z kuchni, salonu, łazienki i sypialni. Dominowały w nim ciężkie, ciemne tkaniny i w pochmurne dni często było tam ponuro. W kuchni miałem starą kuchenkę, szafki i lodówkę. Na ścianach – białe kafelki, z których część była ukruszona. W salonie stała duża meblościanka ze zdjęciami i ozdobami należącymi do rodziny Jonasa. Były tam również mały stół, tapczan i telewizor. W łazience miałem prysznic i pralkę, luksus jak na tamte czasy na Litwie. W dużej sypialni znajdowały się spora szafa, stół i krzesło, łóżko i telefon. To miał być mój dom przez następne dziewięć miesięcy.

W ten pierwszy weekend w Kownie za bardzo się denerwowałem, żeby wyjść z mieszkania i zwiedzić okolicę. Zamiast tego rozpakowałem się i próbowałem dojść, jak działają różne rzeczy w moim nowym domu. Oglądałem telewizję i szybko zdałem sobie sprawę, że wiele programów to amerykańskie produkcje z litewskimi napisami. Jonas zostawił mi w kuchni podstawowe produkty, jak mleko, chleb i płatki. Nigdy wcześniej nie musiałem gotować i na początku pochłaniałem mnóstwo kanapek i miski płatków kukurydzianych. Wkrótce musiałem zebrać się na odwagę i wybrać na pierwszą wyprawę do centrum.

W poniedziałek rano obudziłem się wcześnie, wziąłem prysznic i włożyłem ciepłą kurtkę i szalik. Już wtedy było bardzo zimno, choć zima jeszcze się nie zaczęła. Po krótkim spacerze doszedłem do głównej drogi. Dzięki instrukcjom koordynatora wiedziałem, że bilet trolejbusowy można kupić w każdym z wielu kiosków rozsianych wzdłuż większych litewskich ulic. Nauczyłem się na pamięć treści rozmówek litewskich, które znajdowały się w moich materiałach, więc poprosiłem o *viena troleibusų bilieta* (jeden bilet trolejbusowy) i otrzymałem mały prostokątny bilet za kilka litów (litewska waluta). Trolejbus włókł się w górę po długiej stromej drodze, przystając prawie co minutę, by wpuścić do środka więcej ludzi. Byli tam mężczyźni w czapkach i ciężkich kożuchach, młode kobiety z dziećmi na ręku i małe, starsze kobiety z szalami na głowach

i niezliczonymi reklamówkami pod nogami. W pojeździe było niewiele siedzeń i mało miejsc stojących, więc szybko zrobiło się tłoczno, a mi zaczęło być niedobrze i kręciło mi się w głowie, łapałem powietrze, jak gdybym tonął w morzu ludzi. Gdy trolejbus powolutku dotarł do kolejnego przystanku, nagle wstałem, omal nie przewracając stojącego obok mnie mężczyzny, z opuszczoną głową przecisnąłem się do drzwi i wyszedłem na świeże powietrze. Pociłem się i trząsłem, dopiero po kilku minutach odzyskałem spokój.

Przeszedłem na piechotę resztę drogi po stromym zboczu Savanorių Prospektas (alei Ochotników) do góry, aż dotarłem do numeru pierwszego, wysokiego brązowego budynku z betonu. Wszedłem dwa piętra po schodach i nacisnąłem dzwonek przy drzwiach. Zaraz się otworzyły i niska kobieta z mocnym makijażem i z dużą ilością biżuterii przywitała mnie poprawną angielszczyzną: „Witaj! Ty musisz być Daniel. Wejdz. Jak ci się podoba na Litwie?”. Odpowiedziałem, że jeszcze nie widziałem zbyt wiele. Kobieta przedstawiła się jako Liuda, założycielka i dyrektorka ośrodka.

Ośrodek Liudy nazywał się Socialinių Inovacijų Fondas (Fundusz Innowacji Społecznej) i był organizacją pozarządową pomagającą kobietom bezrobotnym i w trudnej sytuacji finansowej. W czasie przemian po wyzwoleniu się kraju spod panowania Związku Radzieckiego wielu Litwinów straciło pracę i Liuda wpadła na pomysł założenia organizacji, która pomagałaby kobietom takim jak ona odnaleźć się w nowych warunkach ekonomicznych.

W ośrodku pracowało wielu wolontariuszy i to dzięki nim jego działanie przynosiło efekty. Podobnie jak ja, niektórzy przyjechali z innych krajów, bliskich i dalekich. Lekcje angielskiego przygotowywałem razem z wolontariuszem z Amerykańskiego Korpusu Pokoju, siedemdziesięcioletnim Neilem. W czasie przerw na kawę Neil lubił wspominać, opowiadał mi o domu, który sobie wybudował w Stanach Zjednoczonych, i o domu na kółkach, który razem z żoną kupili, gdy przeszedł na emeryturę i w którym zwiedzili wszystkie pięćdziesiąt stanów USA.

Inną nauczycielką w ośrodku była Olga, Rosjanka z kręconymi rudymi włosami i w przyciemnianych okularach. Za każdym razem, gdy coś

mówiła, widziałem jej dwa złote zęby, w obu kącikach ust. Olga rozumiała, że czuję się nieswojo w tak zupełnie innym środowisku, i powiedziała, że tęsknota za domem i denerwowanie się, gdy zaczyna się coś nowego, są normalne. Byłem jej naprawdę wdzięczny za te słowa.

Moim głównym zadaniem jako wolontariusza było nauczanie w klasie. Ośrodek zapewnił kilka podręczników i zeszytów ćwiczeń, ale poza tym materiałów było niewiele i pozwolono mi organizować zajęcia według uznania – bardzo to mi odpowiadało. Kobiety uczęszczające na moje lekcje były w różnym wieku, miały rozmaite pochodzenie i wykształcenie, i nigdy nie było ich więcej niż dwanaście na jednych zajęciach, co oznaczało, że uczennice dobrze się znały i nasze spotkania odbywały się zawsze w luźnej i przyjaznej atmosferze. Na początku bardzo się denerwowałem, że muszę stać przed uczennicami i prowadzić lekcję, ale wszyscy byli dla mnie bardzo mili i pomocni, więc czułem się w tej roli coraz swobodniej.

To właśnie dzięki tym zajęciom poznałem osobę, która miała stać się jednym z moich najbliższych przyjaciół, kobietę w średnim wieku o imieniu Birutė. Pracowała jako tłumaczka i dobrze mówiła po angielsku, ale brakowało jej pewności siebie i chodziła na zajęcia dla nabrania wprawy. Po lekcji podchodziła do mnie porozmawiać, pytała, jak mi się podoba życie na Litwie. Raz zapytała, czy nie chciałbym przewodnika, który oprowadziłby mnie po okolicy. Bardzo się denerwowałem, gdy miałem sam chodzić po mieście, więc z wdzięcznością przyjąłem jej propozycję.

Szliśmy razem po głównym deptaku Kowna, Laisvės Aleja (alei Wolności), położonej w centrum miasta ulicy o długości 1621 metrów. Na jednym końcu alei znajdował się kościół św. Michała Archanioła, ogromna budowla z niebieskimi kopułami i białymi kolumnami, która błyszczała i lśniła w słońcu. Pod rządami sowieckimi kościół zamieniono na galerię sztuki i dopiero po odzyskaniu przez Litwę niepodległości znowu zaczął on pełnić funkcje sakralne. Na drugim końcu alei Birutė pokazała mi kowieńskie stare miasto z brukowanymi ulicami i zamkiem z czerwonej cegły – pierwszą litewską twierdzą obronną pochodzącą z XIII wieku.

Każdego dnia około południa, po porannych zajęciach, Birutė czekała na mnie i szliśmy razem do miejscowego ratusza na lunch. Taka rutyna pomagała mi zdomawiać się w nowym życiu, dając mi każdego dnia stały i przewidywalny punkt, który mnie cieszył. Stołówka, słabo oświetlona, znajdowała się na dole i nigdy nie była w niej zajęta więcej niż połowa miejsc. Serwowano obfite – i niedrogie – posiłki, wśród nich wiele tradycyjnych litewskich potraw, jak barszcz ze śmietaną podawany z krokietami z mięsem. Moje nawyki żywieniowe znacznie się zmieniły od czasów dzieciństwa i swobodnie mogłem jeść różne potrawy. W dni, w których nie miałem popołudniowych zajęć, jadaliśmy z Birutė w jednej z wielu restauracji na Laisvės Aleja. Moją ulubioną potrawą było litewskie danie narodowe, cepelinai, nazwane tak z powodu kształtu przypominającego zeppelin. Przyrządza się je z tartych ziemniaków i mielonego mięsa, gotuje i podaje ze śmietaną.

Moja przyjaźń z Birutė z czasem stała się głębsza i bardziej wyjątkowa. Birutė zawsze była wobec mnie cierpliwa i pełna zrozumienia, chętnie słuchała, udzielała rad i dodawała otuchy. Nie wiem, jak przetrwałbym na Litwie bez niej. Gdy kilka kobiet z ośrodka powiedziało mi, że potrzebują więcej ćwiczeń z angielskiego, ale nie stać ich na dodatkowe lekcje, wpadłem na pomysł cotygodniowych konwersacji w moim domu, które Birutė pomogła mi zorganizować. Kobiety przynosiły ciastka, robiliśmy wspólnie kawę i herbatę, a następnie siadaliśmy na krzesłach, tapczanie i rozmawialiśmy po angielsku absolutnie o wszystkim. Pewnego wieczoru Birutė przyniosła i pokazała slajdy ze swoich wakacji z rodziną, a reszta grupy oglądała, zadawała pytania i mówiła o własnych wrażeniach z wyjazdów.

Kobiety z mojej grupy i z ośrodka często pytały mnie, czy poznałem kogoś w swoim wieku. Inga, zastępczyni Liudy, poznała mnie ze swoim siostrzeńcem, który był trzy lata młodszy ode mnie, i zachęcała nas do spotkań. Peter dobrze mówił po angielsku, był dość nieśmiały i bardzo uprzejmy. Chodziliśmy razem do kina w mieście i oglądaliśmy ostatnie amerykańskie produkcje. Gdy muzyka stawała się zbyt głośna, zatykałem uszy palcami, ale Peter zdawał się tego nie widzieć.

Na Litwie byli również inni wolontariusze z Wielkiej Brytanii i zachęcano nas, byśmy utrzymywali ze sobą kontakt i wspierali się nawzajem. Jeden z wolontariuszy, Vikram, dopiero co skończył studia prawnicze, lecz stwierdził, że nie chce pracować jako prawnik. Nie mieliśmy ze sobą wiele wspólnego – on dużo mówił o futbolu i muzyce rockowej oraz innych rzeczach, które mnie nie interesowały – więc nasze rozmowy często przerywane były długimi chwilami ciszy, ponieważ czasem ciężko mi podtrzymywać konwersację: gdy temat mnie nie interesuje, po prostu nic nie przychodzi mi do głowy.

Na wolontariacie na Litwie przebywała również Denise, szczupła Walijska po trzydziestce, bardzo energiczna we wszystkim, co mówiła i robiła. Denise mieszkała w stolicy Litwy, Wilnie, i zaprosiła wolontariuszy z Kowna, by ją odwiedzili i zwiedzili miasto. Pojechaliśmy autobusem – siedziałem z tyłu, by uniknąć towarzystwa innych pasażerów – w czasie godzinnej podróży do centrum miasta bardzo nas wytrzęsło. Wilno było zupełnie inne niż Kowno, ludzie chodzili szybciej, a wokół powstawało wiele nowych budynków z lśniącego szkła i metalu. Mieszkanie Denise było czyste, w żywych kolorach, z drewnianymi podłogami. Kuchenne krzesła wykonane były z drewna, a szczyty ich oparcia miały kształt pofałdowanych wzgórz. Lubiałem pocierać je palcami – miały lekko ziarnistą, łaskoczącą fakturę. Piliśmy herbatę, jedliśmy ciastka i oglądaliśmy zdjęcia, które Denise zrobiła podczas swojego dotychczasowego pobytu. Podobało mi się, że inni wolontariusze zachęcali mnie do udziału w rozmowach i nie oceniali mnie na podstawie mojej odmienności. Każdy wolontariusz był indywidualnością, ale wszyscy byli wobec siebie bardzo otwarci i życzliwi.

Najbardziej doświadczoną wolontariuszką była Brytyjka hinduskiego pochodzenia o imieniu Gurcharan. Miała gęste, kręcone ciemne włosy i nosiła jaskrawe sari. Jej mieszkanie w Kownie znajdowało się niedaleko mojego i często przychodziła z torbami rzeczy do prania, by skorzystać z mojej pralki. W podziękowaniu zapraszała mnie do swojego mieszkania na rozmowy i posiłki wieczorami po pracy. Ściany każdego pokoju ozdobione były wielobarwnymi hinduskimi obrazami, a na stole w salonie

stały świece i paliły się kadzidelka. Gurcharan mówiła szybko i czasem nie mogłem nadążyć za jej opowiadaniem. Była bardzo otwarta, mówiła dużo o swoim życiu osobistym i zachęcała mnie do tego samego. Nie miałem życia osobistego, więc nie wiedziałem, co mówić. Gdy zapytała, czy mam dziewczynę, pokręciłem głową. Wtedy zapytała, czy mam chłopaka. Musiałem się zaczerwienić, bo zapytała, czy jestem gejem. Gwałtowny potok pytań nieco mnie przytłaczał, jak nieprzerwany deszcz bębniący w moją głowę, i odpowiedziałem jej dopiero po kilku chwilach. Uśmiechnęła się szeroko i zapytała, czy mam przyjaciół gejów. Znowu pokręciłem głową.

Na jednej z ulotek, które każdy z wolontariuszy dostał przed odlotem, znajdowała się lista ważnych numerów telefonu; trzymałem ją przy telefonie w mieszkaniu. Rozmowa z Gurcharan skłoniła mnie do zatelefonowania pod jeden z numerów, do grupy dla gejów na Litwie, i umówienia się na spotkanie z jej członkami przed ratuszem po pracy następnego dnia. Zmęczyła mnie niewiedza dotycząca tego, kim jestem, i poczucie braku łączności z częścią mnie, której od dawna byłem świadom. Ten telefon był jedną z najtrudniejszych decyzji w moim życiu, a także jedną z najważniejszych. Następnego dnia przez całe zajęcia czułem, jak wali mi serce, i nie mogłem nic przełknąć. Później, idąc aleją w stronę ratusza, czułem, że się trzęsę i z całych sił odsuwałem od siebie natarczywą myśl, by zawrócić i uciec. Gdy dochodziłem na miejsce, zobaczyłem, że osoba, z którą miałem się spotkać, już czeka, stojąc bardzo nieruchomo. Wzięłem głęboki oddech, podszedłem i przedstawiłem się. On był wysoki i szczupły, miał na sobie czarną marynarkę, która pasowała do koloru jego włosów.

Vytautas – popularne litewskie imię – miał tyle lat co ja i był podekscytowany spotkaniem z osobą z Wielkiej Brytanii. Bardzo dobrze mówił po angielsku, ponieważ lubił oglądać amerykańskie filmy i programy telewizyjne. Zaprosił mnie na weekend w odwiedziny do siebie i swojego partnera Žygintasa, a ja przyjąłem zaproszenie. Nie lubiłem jeździć zatłoczonymi trolejbusami, więc przyjechali po mnie samochodem i zabrali do swojego mieszkania w innej części miasta. Wiele

z nowoczesnych sprzętów, które posiadali, jak szerokoekranowy telewizor i odtwarzacz CD, było raczej rzadkością w litewskich domach w tym czasie. Žygintas uwielbiał brytyjską muzykę, zebrał wiele płyt CD i puścił mi niektóre. Przy jedzeniu rozmawialiśmy o sobie – Vytautas studiował, a Žygintas pracował w gabinecie stomatologicznym. Poznali się dzięki grupie i byli ze sobą od kilku lat. W ciągu następnych tygodni często ich odwiedzałem, by porozmawiać o tym, co się wydarzyło, wspólnie zjeść i posłuchać muzyki. Gdy wracałem do domu pod koniec wieczoru, zawsze było już ciemno i choć Žygintas martwił się o moje bezpieczeństwo i zawsze proponował, że mnie odwiezie, to ja z przyjemnością myślałem o długim spacerze do domu przez ciche, puste ulice oświetlone światłem księżyca.

Gurcharan była bardzo podekscytowana, gdy usłyszała o mojej przyjaźni z Vytautasem i Žygintasem, i chciała ich poznać. Zaproponowała, że przygotuje kolację dla nas wszystkich w swoim mieszkaniu, a my z wdzięcznością przyjęliśmy propozycję. Przyszliśmy w mroźny późno-jesienny wieczór i zanim weszliśmy do salonu, przez kilka minut rozbieraliśmy się z kurtek, czapek, szalików i rękawiczek. Gurcharan była już zajęta w przylegającej do pokoju kuchni, przyrządzając kilka potraw jednocześnie, a pokój wypełniały korzenne aromaty, które zaostrzały nasze apetyty. Szybko blakły ostatnie światła dnia i zastępował je migoczący, ciepły blask świec zapełniających półki i skrzynie. Stół na środku pokoju był już nakryty, talerze, sztuce i kieliszki skrzyły się w świetle świec. Napełniliśmy kieliszki winem, a jedzenie wypełniło półmiski, które podawaliśmy sobie dookoła stołu. Było tam kilka rodzajów curry, pełnych warzyw i mięsa oraz ogromne ilości ryżu. Gurcharan była jak zawsze rozmowna i przy kolacji wypytywała Vytautasa i Žygintasa. Słuchałem tak uważnie, jak mogłem pomiędzy kęsami wyśmienitego domowego jedzenia, ale w większości rozmowa mnie nie interesowała, więc po kolacji wziąłem książkę z najbliższej półki i zacząłem czytać. Byłem zakłopotany, gdy Gurcharan zawołała, że to bardzo nieuprzejme z mojej strony; nie miałem pojęcia, że zachowuję się niegrzecznie. Wtedy Žygintas, który właśnie kończył posiłek, nagle przestał jeść i krzyknął coś po litewsku, a następnie

powtórzył po angielsku dla nas: „Mysz, masz mysz!”. Wskazał na blat kuchenny, gdzie przed chwilą widział mysz, skaczącą i znikającą mu z oczu. Gurcharan uśmiechnęła się i powiedziała: „Tak, wiem”. Wyjaśniła nam, że nie przeszkadza jej mieszkanie z gryzoniem, że już wcześniej z jednym mieszkała, w domu w Wielkiej Brytanii. Dopóki mysz nie wchodzi jej w drogę, nie widzi sensu, by się nią przejmować. Nigdy wcześniej nie miałem okazji widzieć myszy z tak bliska, więc byłem rozczarowany, że ją właśnie przegapiłem. Rozmowa toczyła się dalej i tym razem wydawało się, że nikomu nie przeszkadzało, gdy wróciłem do czytania książki. Na koniec wieczoru Gurcharan chciała pocałować każdego z nas na pożegnanie, ale ja się zawahałem, więc wzięła mnie za rękę i mocno uścisnęła. Zdawała sobie sprawę, że jestem inny, i powiedziała, że jest ze mnie dumna, bo nie unikam ryzyka.

Mniej więcej tydzień później robiłem kanapki w swojej kuchni, gdy zauważyłem małą plamę poruszającą się po kafelkach na przeciwległej ścianie. Przysunąłem się, spojrzałem znowu i zobaczyłem, że to owad, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem. Następnego dnia w ośrodku zapytałem o to Birutė. „To *tarakonas*” – powiedziała, a następnie zastanawiała się przez kilka chwil, szukając angielskiego słowa, karaluch. Robactwo – jak wkrótce odkryłem – było częstym problemem w wielu starszych litewskich budynkach. Zadzwoniono do właściciela, Jonasa, który bardzo przeproszał i obiecał dezynsekcję. Jednak dezynsekcji wymagał cały blok, a jako że wszyscy moi sąsiedzi byli ludźmi w bardzo podeszłym wieku, nie dało się tego szybko zorganizować. Jonas dał mi spray, który miałem stosować na każdego karalucha, którego zobaczę. Nie przeszkadzały mi zbyt mocno, choć ich widok potrafił mnie zdekoncentrować, gdy z kimś rozmawiałem lub oglądałem telewizję. Gdy powiedziałem o tym problemie rodzicom w czasie jednego z moich regularnych sprawozdań telefonicznych, byli bardzo niezadowoleni i musiałem zapewniać ich, że poza tym moje mieszkanie jest czyste, że jestem zupełnie zdrowy i że właściciel natychmiast upora się z problemem. Minęło kilka tygodni, zanim Jonas zdołał przeprowadzić dezynsekcję bloku

i nawet wtedy karaluchy nie zniknęły, choć pojawiały się jedynie od czasu do czasu.

Wkrótce po moim przyjeździe na Litwę nieubłaganie nadeszła zima, przynosząc obfite opady śniegu i przenikliwe zimno w całym kraju. W Kownie temperatura w nocy spadała do minus trzydziestu stopni. Mój blok nie był nowoczesny, mieszkanie było słabo ocieplone i ciężko było je ogrzać. Pożyczyłem grzejnik w ośrodku od jednego z wolontariuszy, który kupił sobie nowy i tego już nie potrzebował. Stawiałem go w salonie, gdy oglądałem telewizję lub czytałem wieczorem, a później przenosiłem do sypialni, by mnie grzał i zapewniał spokojny sen. Jonas uszczelnił drzwi i okna po interwencji Birutė, której opowiedziałem o swoim problemie z ciągłym zimnem. Nie licząc srogiego mrozu, uwielbiałem zimową pogodę: skrzypienie podczas stąpania po kilkudziesięciocentymetrowym świeżym śniegu w drodze do pracy czy widok jasnej lśniącej bieli wokół mnie. Czasem w nocy wkładałem kurtkę i buty i spacerowałem po cichych ulicach, a płatki śniegu wirowały mi nad głową. Stawałem pod palącą się latarnią uliczną, podnosiłem twarz ku padającemu niebu, wyciągałem ręce i wirowałem, obracając się w kółko.

W grudniu, gdy zbliżało się Boże Narodzenie, kobiety w ośrodku zapytały mnie o plany na święta. Zdałem sobie sprawę, że będzie to moje pierwsze Boże Narodzenie z dala od rodziny, a święta były dla mnie szczególnym czasem, który należy dzielić z innymi. Jedna z moich współpracownic z ośrodka, Audronė, nalegała, bym spędził święta z nią i jej rodziną, a ja z wdzięcznością przyjąłem zaproszenie. Na Litwie Wigilia Bożego Narodzenia jest znacznie ważniejsza niż pierwszy dzień świąt, a przygotowania do niej trwają wiele godzin. Sprząta się dom i każdy musi się wykąpać i odświętnie ubrać do wieczornego posiłku. Audronė i jej mąż przyjechali po mnie samochodem i zabrali do swojego mieszkania w dużym bloku. Gdy wychodzili z samochodu, zauważyłem, że jej mąż jest strasznie wysoki – miał ponad dwa metry. Przypominał mi cyfrę dziewięć.

W domu poznałem syna Audronė i jej matkę. Wszyscy byli uśmiechnięci i wydawało się, że cieszą się ze spotkania ze mną. Korytarz wiodący do salonu był długi, ciemny i wąski, ale gdy szedłem nim powoli,

mrok się rozpraszał, aż nagle zderzyłem się z falą jasnego tańczącego światła i koloru. Długi stół na środku pokoju był przykryty gładkim lnianym obrusem, pod którym rozłożono sianko. Powiedziano mi, że to ma nam przypominać, iż Jezus urodził się w stajni i leżał w żłobie wypełnionym sianem. Na stole było dwanaście różnych potraw, wszystkie bez mięsa (ta liczba symbolizuje dwunastu apostołów). Wśród nich znajdował się solony śledź, ryby, sałatka warzywna, gotowane ziemniaki, kiszona kapusta, chleb, kisiel żurawinowy i mleko makowe. Przed jedzeniem mąż Audronė wziął talerz z opłatkiem i rozdał po jednym każdej osobie przy stole, łącznie ze mną. Następnie podzielił się swoim opłatkiem z Audronė, która odłamała kawałek i podzieliła się z nim swoim opłatkiem. Trwało to dopóki każda osoba nie odłamała kawałka opłatka od wszystkich innych. Nie było określonego porządku jedzenia potraw, ale powiedziano mi, że jest w zwyczaju, by choć spróbować każdego dania. Wszystkie symbolizowały coś ważnego na nadchodzący rok: na przykład chleb oznaczał utrzymanie w nadchodzących miesiącach, ziemniaki – skromność. Moją ulubioną potrawą było mleko makowe – *aguonų pienas* po litewsku – podawane z małymi kulkami z ciasta drożdżowego. Mleko przygotowuje się w ten sposób, że mieli się sparzony mak i dodaje wodę, cukier lub miód i orzechy. W czasie posiłku Audronė opowiedziała mi o niektórych litewskich tradycyjnych wierzeniach świątecznych. Na przykład, ludzie wierzą, że w Boże Narodzenie o północy cała woda w strumieniach, rzekach, jeziorach i studniach zamienia się w wino, ale tylko na sekundę. Wierzą również, że o północy zwierzęta mówią ludzkim głosem, choć nie zaleca się, by je podsłuchiwać. Następnego dnia, 25 grudnia, rodzina Audronė zabrała mnie do zasypanego śniegiem parku, gdzie rozmawialiśmy i spacerowaliśmy nad ogromnym zamarzniętym jeziorem. To było Boże Narodzenie, którego nie zapomnę.

Jednym z moich najcenniejszych doświadczeń w czasie pobytu na Litwie była nauka litewskiego. Gdy powiedziałem kobietom w ośrodku, że chcę uczyć się tego języka, były zdziwione: Po co poznawać taki mało znaczący i trudny język? Oczywiście wielu Litwinów mówiło wystarczająco dobrze

po angielsku, bym nie musiał uczyć się litewskiego. Prawdę mówiąc, żaden inny brytyjski wolontariusz ani Neil z Amerykańskiego Korpusu Pokoju nie potrafili powiedzieć po litewsku więcej niż kilka słów. Wielkie zdziwienie budziła wiadomość, że cudzoziemiec przynajmniej chce spróbować uczyć się litewskiego. Niemniej jednak był to język, który codziennie wokół siebie słyszałem, i wiedziałem, że będę czuł się na Litwie swobodniej, bardziej u siebie, jeśli będę w stanie rozmawiać z moimi przyjaciółmi, uczniami i kolegami z pracy w ośrodku w ich własnym języku.

Birutė z radością zgodziła się mnie uczyć. Była bardzo dumna ze swojego języka i lubiła ze mną o nim dyskutować i w nim rozmawiać. Uczyłem się słów, pisząc je, ponieważ dzięki temu mogłem je sobie zwizualizować i zapamiętać, a także studiowałem książki dla dzieci, które w dzieciństwie czytały córki Birutė. Birutė nauczyła mnie również popularnej litewskiej rymowanki:

Mano batai buvo du Vienas dingo, nerandu. Aš su vienu batuku Niekur eiti negaliu!

Znaczy ona: „Miałem parę butów, jeden się zgubił, nie mogę go znaleźć. W jednym małym bucie nigdzie nie pójdę!”.

Po kilku dniach od rozpoczęcia nauki języka byłem już w stanie budować zdania z pomocą Birutė, która na początku była bardzo zdziwiona, a po kilku tygodniach swobodnie rozmawiałem z rodowitymi Litwinami. Bardzo pomagało mi to, że zgodnie z moją prośbą w ośrodku bardzo często mówili do mnie po litewsku. Wszystkie osoby, z którymi rozmawiałem, chwaliły moją znajomość litewskiego, łącznie z jedną z moich starszych sąsiadek, która była bardzo zaskoczona, że młody Anglik może rozmawiać z nią w jej własnym języku. Przydało się to również pewnego razu, gdy zaproszono mnie z innymi wolontariuszami do restauracji. Kelner nie rozumiał po angielsku, co zirytowało wolontariuszy, więc przetłumaczyłem zamówienie na litewski. Nie miałem nic przeciwko temu, by sporadycznie odgrywać rolę tłumacza innych wolontariuszy, ponieważ było to bardzo interesujące doświadczenie oraz kolejna okazja, by poćwiczyć język.

Raz nawet przez pomyłkę wzięto mnie za rodowitego Litwina. Pewnego dnia, gdy wracałem z ośrodka, podszedł do mnie mężczyzna i pytał o drogę,

nie ustępując, choć powtarzałem mu po litewsku, że nie znam miejsca, o które pyta. W końcu zatrzymałem się i powiedziałem: *Atsiprašau, bet tikrai nežinau. Aš nesu Lietuvis. Esu iš Anglijos.* (Przepraszam, ale naprawdę nie wiem. Nie jestem Litwinem. Jestem z Anglii). Otworzył szeroko oczy, przeprosił i odszedł.

Do wiosny zdążyłem się już całkowicie zadomowić na Litwie. Stopniowo wypracowałem sobie przyzwyczajenia, które dawały mi poczucie spokoju i bezpieczeństwa, a to pomogło mi poradzić sobie ze zmianą. Wcześniej każdego ranka, tuż przed świtem, wstawałem, wkładałem luźne ciepłe ubrania i szedłem na długi spacer przez ulice do miejscowego parku, pełnego dębów. Drzewa były wysokie, wydawało się, że sięgają nieba, przepełniały mnie poczuciem bezpieczeństwa, gdy na początku każdego dnia szedłem po tej samej, dobrze wydeptanej ścieżce wokół nich. Wracałem do mieszkania, by wziąć prysznic i ubrać się do pracy, a następnie szedłem w górę długiej stromej ulicy do ośrodka, siadałem i piłem kawę, podczas gdy kobiety plotkowały o osobistych sprawach, które mnie nie interesowały. Przez kilka miesięcy po Bożym Narodzeniu Neil cierpiał na wzmagające się bóle pleców. Nie pomogły liczne wizyty u lekarzy. W końcu musiał wrócić na leczenie do Stanów. Wziąłem w zastępstwie jego zajęcia, co oznaczało, że uczyłem angielskiego rano i po południu w większość dni tygodnia. Zaszły również inne zmiany – mąż Birutė poważnie zachorował, więc musiała zrezygnować z zajęć, by się nim zajmować. W czasie lunchu często zostawałem w ośrodku i jadłem przygotowane przez siebie poprzedniego wieczoru kanapki, choć czasem jadałem w lokalnej knajpce z Žygintasem, który pracował niedaleko ośrodka. Po pracy kupowałem mrożone paluszki rybne, chleb, ser i inne podstawowe produkty i szedłem do domu, gdzie przygotowywałem i jadłem kolację, a potem czytałem i oglądałem telewizję przed snem. Nie przeszkadzało mi, że częściej jestem sam, choć tęskniłem za Birutė i miałem nadzieję, że niedługo znów będziemy się spotykać.

Latem ilość pracy w ośrodku zmniejszyła się prawie do zera, ponieważ uczniowie powyjeżdżali z rodzinami na długie wakacje nad morze.

Žygintas, którego rodzina, jak wielu Litwinów, miała domek letniskowy na wsi, zaprosił mnie, bym go tam odwiedził. Wy tłumaczył mi, jak dojechać autobusem, który przejeżdżał niedaleko domku, i powiedział, że w umówionym miejscu mnie odbierze i dalej pojedziemy samochodem. Autobus był stary i bardzo trząsł, szybko wywiózł nas z miasta na długie, błotniste drogi otoczone tylko drzewami i polami. Žygintas podał mi nazwę, której miałem wyglądać, ale nigdzie jej nie widziałem, a krępowiałem się kogoś zapytać, więc siedziałem i czekałem z nadzieją. W końcu autobus dojechał do przystanku przy skupisku drewnianych budynków – pierwszych, jakie ujrzałem od pół godziny – więc ze wszystkich sił zebrałem się na odwagę, wstałem i wyjaśniłem po litewsku, że się zgubiłem. Pozostali trzej pasażerowie tylko się we mnie wpatrywali, więc wysiadłem z autobusu i zacząłem liczyć w myślach, bo cały się trząsałem i nie wiedziałem, co robić. Wtedy podszedł do mnie kierowca i bez słowa wskazał na rozkład jazdy. Nie było tam nazwy, którą podał Žygintas. Spojrzałem na zegarek, byłem już godzinę spóźniony na spotkanie z nim. Poszedłem do pierwszego budynku i po litewsku wyjaśniłem swoją sytuację kobiecie stojącej za ladą. Pokręciła głową i nic nie powiedziała. Spróbowałem raz jeszcze, powtarzając wszystko po litewsku, ale znowu pokręciła głową. Wtedy zdesperowany spróbowałem po angielsku. „Czy jest tutaj telefon?” – zapytałem. Na słowo „telefon” nagle potaknęła i wskazała mi czarny telefon w rogu. Podbiegłem do niego i wykręciłem numer Žygintasa. „Gdzie jesteś?” – zapytał, więc podałem mu nazwę, którą widziałem na rozkładzie na zewnątrz. „Jak się tam znalazłeś?” – zapytał, a potem powiedział: „Czekaj tam, przyjadę po ciebie”. Pół godziny później przyjechał samochodem i pojechaliśmy do domku. W drodze Žygintas wyjaśnił mi, że znalazłem się w jednym z miejsc na litewskiej prowincji, gdzie mieszkają Rosjanie niemówiący po litewsku. Moje spóźnienie oznaczało, że wizyta w domku się skróciła, ale poznałem rodzinę Žygintasa i zdążyłem akurat na grilla, po którym kąpaliśmy się w pobliskiej rzece.

Birutė również chciała, żebym przyjechał do domku letniskowego należącego do jej rodziny. Zabrała mnie na spotkanie ze swoją siostrą,

poetką. Przy kawie siostra recytowała nam swoje wiersze, a później spacerowaliśmy nad jeziorem z czystą niebieską wodą. Na bezchmurnym niebie jasno świeciło słońce, jego promienie lśniły na powierzchni wody jak szczątki rozbitej słonecznej tarczy. Pod koniec dnia Birutė poprosiła, bym kawałek się z nią przeszedł, a potem usiedliśmy i oglądaliśmy zachód słońca. Było to nasze pierwsze spotkanie od kilku tygodni i równocześnie ostatnie, ponieważ mój wolontariat się skończył i nadszedł czas powrotu do domu. Birutė powiedziała, że nasza przyjaźń wiele dla niej znaczyła, szczególnie w trudnych chwilach. Uważała, że bardzo wydroślałem od momentu, gdy mnie poznała. Również zdawałem sobie z tego sprawę i od jakiegoś czasu czułem, że decyzja o przyjeździe na Litwę i mieszkaniu tam odmieniła nie tylko moje codzienne życie – ja sam się zmieniłem i w pewnym sensie stałem się nową osobą. Siedzieliśmy razem w ciszy, patrząc na tonącą tarczę letniego słońca, i wcale nie było nam ciężko na sercu, bo każde z nas wiedziało, że nawet jeśli kończy się jedna przygoda, to druga się zaczyna.



Miłość

Pożegnania nigdy nie są łatwe, a szczególnie pożegnanie z krajem, który stał się domem daleko od domu, tak jak Litwa dla mnie przez miniony rok. Był lipiec, środek lata, gdy po raz ostatni szedłem aleją do ośrodka. W ośrodku Liuda i inni wolontariusze zebrali się w klasie, by mnie pożegnać. Podziękowałem każdemu z nich po litewsku za okazaną mi życzliwość i pomoc. Na pożegnanie Liuda dała mi w prezencie ilustrowany dziennik oprawiony w skórę i powiedziała, że ma nadzieję, iż wypełnię go nowymi pomysłami i przyszłymi przygodami. Jakąś część mnie ogarnął smutek z powodu wyjazdu, ale w głębi duszy wiedziałem, że osiągnąłem wszystko – w życiu osobistym i zawodowym – co mogłem osiągnąć na Litwie, i że nadszedł czas, by pójść dalej.

Wydawało mi się, że lot do Londynu nigdy się nie skończy. Spędziłem trochę czasu, czytając i ponownie studiując list od rodziców, który przyszedł tydzień wcześniej. Niedługo po tym, jak wyjechałem na Litwę, ojciec dowiedział się o dużym nowym domu do wynajęcia w okolicy. Właściwie były to dwa domy połączone w jeden, z sześcioma sypialniami i dwoma łazienkami. Ten budynek był dla moich bliskich darem niebios i wkrótce się do niego przeprowadzili. Wracałem więc pod nowy adres, a list zawierał zdjęcie domu i wskazówki, jak do niego dotrzeć.

Na lotnisku czekała na mnie znajoma twarz, mój przyjaciel Rehan. Przez cały mój pobyt za granicą utrzymywaliśmy kontakt, pisząc do siebie kartki, ale dobrze było spotkać się z nim osobiście po tak długiej przerwie. Tak jak wiele lat wcześniej, Rehan był moim przewodnikiem po labiryncie metra. Gdy siedzieliśmy razem w pociągu, słuchał cierpliwie moich opowiadań o czasie spędzonym w Kownie i poprosił, żebym pokazał mu zdjęcia miejsc, które widziałem, i ludzi, których spotkałem. Chwilę potem szybko wstał i powiedział, że zbliżamy się do mojej stacji. Miałem akurat tyle czasu, by zebrać bagaże i podziękować mu za towarzystwo. Gdy tylko wysiadłem i odwróciłem się, pociąg już odjeżdżał, jego zarys nikł w ciemności tunelu.

Ulica na zewnątrz była mi zupełnie obca. Szedłem przez długi czas, zanim zdałem sobie sprawę, że coś jest nie w porządku: ulica, do której dotarłem, nie była tą, o której pisali rodzice. Może gdzieś źle skręciłem. Nerwowo poprosiłem o pomoc jakiegoś przechodnia. „Proszę iść prosto, a na następnym zakręcie w prawo” – powiedział. Gdy już szedłem właściwą drogą, nagle dotarło do mnie, jakie to dziwne, że właśnie musiałem zapytać o ulicę, na której mieszka moja własna rodzina.

Wszyscy się ucieszyli, że mnie widzą, i spędziliśmy wiele radosnych godzin, opowiadając, co się u nas działo. Część moich braci i sióstr stwierdziła, że mam lekki akcent, co zapewne nie było dziwne, przecież nie było mnie tak długo i przez ten czas mówiłem więcej po litewsku niż po angielsku. Matka oprowadziła mnie po domu i pokazała mój nowy pokój, który znajdował się z tyłu, daleko od drogi, i był najcichszym pomieszczeniem w domu. Wydał mi się mały, zwłaszcza po przestrzeni, jaką miałem na Litwie, lecz oprócz łóżka znalazło się tam jeszcze miejsce na stół, krzesło i mały telewizor. Podobało mi się, że pokój był nowy – stanowił namacalny znak, że powrót do Wielkiej Brytanii był w moim życiu krokiem do przodu, a nie powrotem do przeszłości. Zaczynałem wszystko od początku.

Trochę czasu zajęło mi przystosowanie się do nowego otoczenia. Samodzielne życie dało mi prawdziwe poczucie niezależności, polubiłem to, że mam kontrolę nad najbliższym otoczeniem i nie muszę zmagać się

z hałasem i nieprzewidywalnością innych ludzi. Na początku było mi ciężko przywyknąć do hałaśliwych braci i sióstr, którzy biegali w górę i w dół po schodach i kłócili się ze sobą. Matka kazała każdemu z nich starać się uszanować moją potrzebę ciszy i przez większość czasu im się to udawało.

Moje zagraniczne przeżycia bez wątpienia mnie zmieniły. Po pierwsze dowiedziałem się wiele o sobie. Jaśniej niż kiedykolwiek widziałem, jak moja „inność” wpływa na moje codzienne życie, zwłaszcza na relacje z innymi ludźmi. Zrozumiałem w końcu, że przyjaźń jest czymś delikatnym i rozwija się stopniowo, nie należy jej przyspieszać ani kurczowo się trzymać, ale pozwolić, by rozwijała się we własnym tempie i na swój sposób. Wyobrażałem ją sobie jako motyla, równocześnie pięknego i kruchego – gdy motyl wzleci, należy do przestworzy i jeśli ktoś będzie próbował go złapać, to tylko go zniszczy. Przypomniało mi się, jak kiedyś w szkole traciłem każdą potencjalną przyjaźń, ponieważ, pozbawiony instynktu towarzyskiego, starałem się zbyt mocno i sprawiałem zupełnie mylne wrażenie.

Litwa pozwoliła mi również nabrać dystansu do siebie i pogodzić się z własną „innością”, bo pokazała, że nie musi to być coś negatywnego. Jako cudzoziemiec potrafiłem uczyć angielskiego moich litewskich uczniów i opowiadać im o życiu w Wielkiej Brytanii. To, że byłem inny od wszystkich, w Kownie było moją zaletą i szansą na to, by pomóc innym ludziom.

Zgromadziłem również sporo różnorodnych doświadczeń, do których mogłem się odwoływać we wszystkich sytuacjach w przyszłości. Umocniło to moją wiarę we własne zdolności do poradzenia sobie ze wszystkim, co przyniesie mi życie. Przestałem bać się przyszłości. W mojej malutkiej sypialni czułem się bardziej wolny niż kiedykolwiek.

Jako wolontariusz, który powrócił z placówki, mogłem ubiegać się o grant na zakończenie wolontariatu, czyli na opisanie swoich doświadczeń na Litwie i tego, czego się tam nauczyłem. Odesłałem wszystkie formularze i czekałem. Tymczasem znalazłem pracę jako opiekun i pomagałem dzieciom z sąsiedztwa w nauce czytania, pisania i arytmetyki. Na początku

2000 roku, kilka miesięcy po złożeniu wniosku, otrzymałem w końcu grant. Pieniądzy wystarczyło mi akurat na komputer – spełnienie moich marzeń i pierwszy komputer w rodzinie. Gdy otrzymałem i rozpakowałem przesyłkę, sporo czasu zajęło nam – mnie, braciom i ojcu – złożenie i uruchomienie komputera. Po raz pierwszy mogłem wejść do internetu i zachwyciło mnie bogactwo informacji, do których teraz miałem dostęp po kliknięciu myszką: encyklopedie, słowniki, listy faktów, zagadki słowne i liczbowe online – znalazłem tam to wszystko. Jak również fora internetowe i czaty.

Dla osób ze spektrum zaburzeń autystycznych komunikowanie się z innymi ludźmi przez internet ma w sobie coś ekscytującego i uspokajającego. Po pierwsze, w przeciwieństwie do innych sytuacji towarzyskich, aby rozmawiać na forach internetowych i kontaktować się przez e-mail, nie trzeba wiedzieć, jak rozpocząć rozmowę, kiedy się uśmiechnąć ani rozpoznawać zawilosci języka ciała. Nie ma w nich kontaktu wzrokowego i można zrozumieć każde słowo rozmówcy, bo wszystko jest zapisane. Również używanie emotikonów, takich jak ☺ i ☹, w rozmowach na forach ułatwia zrozumienie uczuć drugiej osoby, ponieważ daje ona o tym znać w prosty, wizualny sposób.

Swojego partnera Neila poznałem w sieci jesienią 2000 roku. Zarabia na życie, pisząc programy komputerowe, więc komputera używa codziennie. Podobnie jak ja, Neil jest bardzo nieśmiały i internet pomógł mu w poznawaniu nowych ludzi i zawieraniu przyjaźni. Prawie natychmiast zaczęliśmy wysyłać do siebie e-maile każdego dnia, pisząc o wszystkim, poczynając od tytułów ulubionych piosenek, po nasze marzenia i nadzieje na przyszłość. Mieliśmy ze sobą mnóstwo wspólnego i po niedługim czasie Neil zasugerował, byśmy wymienili się zdjęciami i numerami telefonów. Neil był piękny: wysoki, miał gęste, ciemne włosy i błyszczące niebieskie oczy, a gdy rozmawialiśmy przez telefon, zawsze był bardzo cierpliwy, życzliwy i chętnie mówił przez większość czasu. Miał prawie tyle lat co ja, dwadzieścia cztery, mieszkał i pracował w hrabstwie Kent, niedaleko od mojego domu w Londynie. Pamiętam, że im więcej o nim wiedziałem, tym bardziej byłem przekonany, że spotkałem bratnią duszę.

Miłości nie da się do niczego porównać – nie ma właściwego lub niewłaściwego sposobu na pokochanie drugiej osoby, żadnego matematycznego równania miłości i związku doskonałego. Emocje, których nie doświadczałem latami od momentu mojego młodzieńczego zauroczenia, teraz odczuwałem nagle i mocno, długo i powoli, tak głęboko, że aż bolało. Cokolwiek robiłem, nie mogłem przestać myśleć o Neilu i w rezultacie nie potrafiłem normalnie jeść ani spać. Mimo to, gdy w e-mailu na początku 2001 roku zapytał mnie, czy możemy się spotkać, wahałem się. A jeśli spotkanie nie wypadnie dobrze? A jeśli zrobię lub powiem nie to, co trzeba? Czy w ogóle można mnie kochać? Nie wiedziałem.

Zanim odpowiedziałem Neilowi, zdecydowałem, że muszę powiedzieć o nim rodzicom, co oznaczało, że muszę postawić ich przed prawdą o mnie samym. Tego popołudnia w domu było cicho, bracia i siostry bawili się na dworze i w swoich pokojach na górze, a matka i ojciec oglądali telewizję w salonie. Wiele razy przećwiczyłem sobie w myślach, co chcę powiedzieć, ale mimo to, gdy wchodziłem do pokoju, czułem fale mdłości, bo nie miałem pojęcia, jakiej reakcji się spodziewać, a nie lubię sytuacji, w których wszystko może się zdarzyć, przyprawiają mnie o zawroty głowy i nudności. Potrzebowałem ich pełnej uwagi, więc podszedłem do telewizora i wyłączyłem go. Ojciec zaczął narzekać, ale matka po prostu podniosła wzrok i czekała, aż się odezwę. Otwierając usta, słyszałem swój głos – cichy i szybki – mówiący im, że jestem gejem i spotkałem kogoś, kogo bardzo lubię. Przez chwilę nic nie mówili, tylko na mnie patrzyli. Następnie matka powiedziała, że to żaden problem i że chce, abym był szczęśliwy. Reakcja ojca również była pozytywna, powiedział, że miał nadzieję, iż znajdę kogoś, kogo pokocham i kto pokocha mnie. Ja również miałem taką nadzieję.

Umówiłem się na spotkanie z Neilem w następnym tygodniu. W zimny styczniowy poranek czekałem na niego przed domem, ubrany w ciepłą kurtkę, w czapce i rękawiczkach. Chwilę przed dziesiątą zajechał pod dom i wysiadł z samochodu. Jego pierwsze słowa, gdy wymienialiśmy uścisk dłoni, brzmiały: „Twoje zdjęcie nie oddaje rzeczywistości”. Uśmiechnąłem się, choć nie rozumiałem tego wyrażenia. Neil zaproponował, że zabierze

mnie do swojego domu w hrabstwie Kent i tam spędzimy dzień, więc wsiadłem do samochodu i odjechaliśmy. To była dziwna podróż. Po kilku minutach Neil zamilkł, a ja nie wiedziałem, jak znowu zacząć rozmowę, więc po prostu siedziałem. Bardzo się denerwowałem i myślałem: „Na pewno mnie nie polubił”. Po ponadgodzinnej jeździe dotarliśmy do domu Neila w Ashford, mieście targowym w środkowej części hrabstwa Kent. Wtedy przechylił się za swoje siedzenie, wyjął piękny bukiet kwiatów i mi go wręczył. Więc jednak mnie polubił.

Dom Neila znajdował się na nowoczesnym osiedlu, wokół wznosiły się identyczne budynki, a niedaleko był mały park ze stawem, huśtawkami i karuzelą. W środku przywitały mnie tapety w paski, czerwony dywan i czarno-biała kotka o imieniu Jay. Uklęknąłem i pogłaskałem ją, a ona zaczęła mruczeć. Neil zabrał mnie do salonu, gdzie usiedliśmy na przeciwległych krańcach kanapy i zaczęliśmy rozmawiać. Po chwili zapytał, czy chcę posłuchać muzyki. Stopniowo, nie zdając sobie z tego sprawy, zbliżaliśmy się do siebie na kanapie, aż w końcu Neil objął mnie, a ja oparłem głowę na jego ramieniu i z zamkniętymi oczami słuchałem muzyki. Niedługo po tym pocałowaliśmy się. W tym momencie zdecydowaliśmy, że jesteśmy sobie przeznaczeni. To był początek czegoś wielkiego.

Neil nie miał problemu z zaakceptowaniem mnie takim, jaki jestem. Jemu także w szkole dzieci dokuczały, więc wiedział, jak to jest być innym niż rówieśnicy. Był domatorem, więc nie przeszkadzało mu, że od zgiełku pubów i klubów wolałem cichy i bezpieczny dom. Najważniejsze, że tak samo jak ja znalazł się w życiu na rozdrożu i nie był pewien, którą drogę wybrać. Dzięki naszemu przypadkowemu spotkaniu w sieci odkryliśmy, ku obopólnemu zdziwieniu i radości, rzecz, której brakowało w życiu każdego z nas: romantyczną miłość.

W ciągu kolejnych tygodni dalej codziennie pisaliśmy do siebie e-maile i regularnie rozmawialiśmy przez telefon. Neil przyjeżdżał do mnie, gdy tylko mógł. Sześć miesięcy po tym, jak się poznaliśmy, po długiej wspólnej rozmowie, zdecydowałem, że przeprowadzę się do Kent, by być z Neilem. Pewnego dnia wszedłem do kuchni i powiedziałem matce rzeczowym

tonem: „Wyprowadzam się”. Rodzice cieszyli się ze względu na mnie, ale również martwili: jak poradzę sobie w związku, z jego wszystkimi wzlotami i upadkami oraz z odpowiedzialnością, która się z nim wiąże. Dla mnie liczyły się wtedy kwestie, o których wiedziałem, że są absolutnie prawdziwe: że Neil jest wyjątkowym człowiekiem, że nigdy nie czułem do nikogo tego, co czułem do niego, że bardzo się kochamy i chcemy być razem.

W pierwszych miesiącach po przeprowadzce nie zawsze było łatwo. Utrzymywanie się z jednej pensji oznaczało, że musieliśmy bardzo starannie planować wydatki. Dopiero po ponad dwóch i pół roku pojechaliśmy na pierwsze wspólne wakacje. W czasie dnia, gdy Neil pracował w swoim biurze w pobliskim mieście Ramsgate, ja zajmowałem się pracami domowymi, a wieczorami przyrządzałem kolację. Pisałem również do wszystkich bibliotek w rejonie, pytając o wakaty, ponieważ bardzo chciałem pracować i zasilać nasz domowy budżet najlepiej, jak potrafię. Pewnego ranka pocztą nadszedł list z zaproszeniem na rozmowę w bibliotece, w sekcji nowych pozycji, gdzie je trzymane, zamawiano i przygotowywano do udostępnienia. W dniu rozmowy Neil pożyczył mi jeden ze swoich krawatów, zawiązał go i napisał, jak mam dojechać autobusem do miejsca podanego w liście. Zgubiłem się, krążąc wokół różnych budynków, ale w końcu dotarłem na rozmowę z pomocą jednego z pracowników, który odprowadził mnie do właściwych drzwi.

Rozmowę przeprowadzały trzy osoby. Gdy jedna z nich, kobieta, zaczęła mówić, zauważyłem, że mówi z akcentem i zapytałem ją o to. Kiedy powiedziała, że pochodzi z Finlandii, kraju, o którym jako dziecko tyle czytałem w bibliotece, zacząłem nieprzerwanie opowiadać o wszystkim, co wiedziałem o jej ojczyźnie, i nawet powiedziałem kilka słów po fińsku. Rozmowa nie trwała długo (co uznałem za dobry znak) i wychodząc, byłem podekscytowany – w końcu pamiętałem o utrzymywaniu kontaktu wzrokowego, ubrałem się elegancko i przez cały czas miałem przyjazne nastawienie. Byłem zdruzgotany, gdy kilka dni później telefonicznie poinformowano mnie, że nie dostanę tej pracy. Dziesiątki szczegółowych pisanych ręcznie podań na inne stanowiska w bibliotekach, w szkołach

podstawowych i liceach były w kolejnych miesiącach odrzucane lub pozostały bez odpowiedzi.

Niestety, nie jestem odosobniony w tym doświadczeniu. Badania przeprowadzone w 2001 roku przez brytyjskie Narodowe Stowarzyszenie na rzecz Autyzmu wykazały, że tylko 12 procent wysokofunkcjonujących osób z autyzmem – tych, u których zdiagnozowano zespół Aspergera – pracuje w pełnym wymiarze godzin. Dla porównania, według brytyjskiego urzędu statystycznego, w 2003 roku zatrudnionych było 49 procent osób z innymi upośledzeniami i 81 procent osób, które nie są upośledzone. Istnieje kilka ważnych przyczyn tej rozbieżności. Osobom ze spektrum zaburzeń autystycznych zwykle trudno dowiadywać się o możliwościach zatrudnienia i zrozumieć zawiły żargon, którym często są pisane ogłoszenia dotyczące pracy. Rozmowy kwalifikacyjne wymagają zdolności komunikacji i interakcji społecznej, które są szczególnie trudnym obszarem dla osoby z autyzmem. Ulotki informacyjne Narodowego Stowarzyszenia na rzecz Autyzmu podpowiadają bardziej sprawiedliwe rozwiązanie – okres próbny zamiast formalnej rozmowy. Takie osoby mogą również mieć problemy ze zrozumieniem pytań w czasie rozmowy i udzieleniem właściwej odpowiedzi. Kilka pytań, które mi zadano, odnosiło się do sytuacji hipotetycznych, które ciężko mi sobie wyobrazić, więc mogłem udzielić jedynie krótkiej odpowiedzi. Byłoby o wiele lepiej, gdyby pytania koncentrowały się na rzeczywistym doświadczeniu z przeszłości, bo to by pokazało, co dana osoba już potrafi.

Osoby ze spektrum zaburzeń autystycznych swoją pracę mogą wiele wnieść do firmy lub organizacji: rzetelność, uczciwość, wysoki stopień dokładności, dużą dbałość o szczegóły i dobrą znajomość przeróżnych faktów. Firmy zatrudniające osoby z autyzmem / zespołem Aspergera przyczyniają się do tego, że wśród ich pracowników wzrasta świadomość różnorodności, a menedżerowie, którzy mają podwładnych autystów, często przekonują się, że dzięki nim uczą się skuteczniej komunikować z całym zespołem.

Brak pieniędzy nie był dla nas problemem nie do pokonania. Neil zawsze starał się mnie zachęcać i wspierać, dodając mi otuchy, gdy byłem

zniechęcony lub smutny, i łagodnie namawiając mnie do konstruktywnego patrzenia w przyszłość. W Boże Narodzenie 2001 roku poznałem rodziców i rodzinę Neila. Bardzo się denerwowałem, ale Neil powtarzał mi, że nie ma się czym martwić. Pojechaliśmy do domu jego rodziców, niedaleko naszego własnego, gdzie w drzwiach powitała nas jego matka, która oprowadziła mnie po domu i przedstawiła pozostałym członkom rodziny: ojcu Neila, bratu, bratowej i malutkiej bratanicy. Wszyscy uśmiechali się, byli spokojni i szczęśliwi. Po obfitym i smacznym posiłku nastąpiła wymiana kartek i prezentów. Następnego dnia pojechaliśmy z Neilem do Londynu, w odwiedziny do mojej rodziny, i teraz Neil został przedstawiony moim rodzicom, braciom i siostram, którzy byli z tego powodu podekscytowani. Wsparcie obu rodzin znaczyło bardzo wiele dla Neila i dla mnie.

Latem następnego roku przeprowadziliśmy się do małego i cichego nadmorskiego miasteczka Herne Bay, niedaleko historycznego miasta Canterbury. Przeprowadzka jest zawsze stresująca i tu nie jestem wyjątkiem. Pierwsze tygodnie w nowym domu były pełnym chaosem, wszędzie stały meble, farba i kartony – nie było czasu, by zatrzymać się i odpocząć. Gdy Neil coś robił, ja pomagałem, przygotowując jedzenie i herbatę oraz przynosząc mu rzeczy z różnych miejsc w domu. Dzięki temu zapomniałem o tym, że odczuwam lęk, bo musiałem skupić się na rzeczach, które jestem w stanie zrobić, i nie martwiłem się o to, czego nie dam rady. Z podekscytowaniem patrzyłem na przemianę obcego budynku w nasz dom.

To szczęście – tak uważam – że mam kilkoro bliskich przyjaciół. Dzięki e-mailom mogę, regularnie czy nie, utrzymywać kontakt z tymi, którzy są daleko, jak Rehan i Biruté. Wszystkie niedawne przyjaźnie pojawiły się w pewnym sensie przypadkiem, jak cudowny prezent niespodzianka. Na przykład, jeden z moich obecnych najbliższych przyjaciół (na imię ma Ian) był sąsiadem Neila z dzieciństwa. Pewnego dnia, krótko po przeprowadzce do Herne Bay otrzymaliśmy od niego pocztówkę, którą przekazali nam rodzice Neila. Ian i Neil nie widzieli się od piętnastu lat, a jednak gdy zaprosiliśmy go do siebie pewnego wieczoru, było tak, jak gdyby nigdy się nie rozstawali. Wkrótce się okazało, że ja i Ian mamy wiele wspólnego, na

przykład miłość do książek i historii, i od tamtego czasu jesteśmy bliskimi przyjaciółmi.

Cudownie jest odkrywać, że niektóre moje zdolności mogą być pomocą dla przyjaciół. Gdy Ian niedawno ożenił się z Rumunką, poprosił mnie o pomoc w nauce podstaw ojczystego języka jego żony. W zamian Ian zabiera mnie na wspólną grę w golfa w weekendy. Nie jestem zbyt dobrym graczem, choć mam całkiem niezłe uderzenie. Czasem Ian drapie się w głowę, gdy widzi, jak idę po terenie rozgrywanego dołka tyłem od piłki do dołka. W ten sposób stopami wyczuwam ruchy ziemi – dzięki temu lepiej wiem, jak będzie poruszała się piłka po uderzeniu kijem. To działa.

Nasi przyjaciele wiedzą o moim zespole Aspergera i gdy to możliwe, starają się, bym czuł się z nimi swobodnie w każdej sytuacji. Często organizują spotkania, o których wiedzą, że spodobają mi się tak samo jak im. Każdego roku Neil i inny znajomy o imieniu Ian wraz ze swoim klubem miłośników samochodów Mini organizują poszukiwanie skarbów i zapraszają mnie do uczestnictwa. Każdy zespół otrzymuje listę wskazówek i zadań, które rozwiązuje się przez jeżdżenie do różnych miejsc zaznaczonych na mapie i odnajdywanie odpowiedzi. Na przykład, wskazówka może być taka: „miejsce zamieszkania młodego konia”, a odpowiedź uzyskamy, przejeżdżając obok pubu o nazwie „Dom Żrebaka”. Ian prowadzi, Neil wskazuje drogę, a ja pomagam znajdować i wymyślać odpowiedzi na pytania. Dobrze jest robić coś, co lubią wszyscy, ale każdy z innych powodów.

Zwykle, gdy odwiedzamy przyjaciół, po kolacji gramy w gry, na przykład w karty albo grę w omnibusa Trivial Pursuit. Neil mówi, że dobre wychowanie wymaga, by pozwolić gospodarzom wygrać, ale ja tego nie rozumiem, bo jeśli znam odpowiedź na pytanie, to czemu jej nie podać?

Uwielbiam rozwiązywać quizy i lubię oglądać w telewizji programy takie jak *Milionerzy*. Zwykle znam odpowiedź na większość pytań, ale mam też słabe strony, na przykład muzykę pop i literaturę piękną. Moimi ulubionymi pytaniami są te związane z datami („W którym roku mistrzostwa świata w snookerze odbyły się po raz pierwszy w Crucible

Theatre?” Odpowiedź: „W 1977”) lub chronologią („Ułóż cztery podane wydarzenia historyczne w porządku chronologicznym”).

Wkrótce po przeprowadzce do Herne Bay Neil i ja zdecydowaliśmy wspólnie pracować nad moim pomysłem stworzenia edukacyjnej strony internetowej z kursami języków obcych online. Neil, pracujący z komputerami, miał być odpowiedzialny za wszystkie szczegóły techniczne, a ja miałem stworzyć zawartość strony i kursy. Po namyśle postanowiłem nazwać stronę Optimnem na cześć Mnemosyne, bogini z greckiej mitologii, wynalazczyni słów i języka. Uczniowie otrzymują każdą lekcję e-mailem, który zawiera nagrania audio wykonane przez rodzimego użytkownika języka, mnóstwo przykładów pisemnych oraz ćwiczenia pomocne przy posługiwaniu się językiem i powtarzaniu na każdym etapie kursu. Przy tworzeniu każdego kursu starałem się wykorzystać to, czego nauczyłem się jako nauczyciel na Litwie i opiekun, dzięki czemu skupiłem się na tych aspektach nauki języka, które sprawiają ludziom największą trudność. Chciałem także, by tworzone przeze mnie kursy uwzględniały moje własne doświadczenia jako ucznia ze spektrum zaburzeń autystycznych. Z tych powodów każdy kurs podzielony jest na łatwo przyswajalne porcje informacji. W lekcjach nie ma żargonu typu „mianownik”, „dopełniacz” czy „koniugacja czasownika”, zamiast tego prostym i jasnym językiem staram się wyjaśnić, jak słowa zmieniają się w zależności, na przykład, od ich miejsca w zdaniu. Dzięki wielu przykładom pisemnym uczeń może zobaczyć, jak wygląda żywy język w wielu różnych sytuacjach, oraz łatwiej mu zapamiętywać nowe słownictwo, przedstawione wizualnie i w kontekście. Strona ruszyła we wrześniu 2002 roku i okazała się sukcesem – korzystają z niej tysiące uczniów w każdym wieku i z całego świata, ma miliony „odwiedzin” (wejść na stronę). Optimnem działa już czwarty rok i wchodzi w skład brytyjskiej narodowej sieci edukacyjnej National Grid for Learning. Jest to finansowany przez rząd portal, który zapewnia „dostęp do wartościowych pod względem edukacyjnym materiałów w internecie”.

Sukces strony internetowej oznaczał, że pracowałem i zarabiałem pieniądze – byłem dumny i cieszyłem się z tego. Dodatkowym plusem było to, że pracowałem z domu, to dla mnie ogromna zaleta, ponieważ przebywając w środowisku, którego nie mogę kontrolować i w którym nie czuję się swobodnie, odczuwam niepokój. Odpowiada mi praca na własny rachunek, choć oczywiście nie jest to prosty wybór i w ten sposób trudniej osiągnąć finansową niezależność.

Neil również pracuje z domu, jedynie raz w tygodniu musi dojeżdżać do swojego biura w Ramsgate. W zwykły dzień tygodnia siedzę z komputerem przy stole w kuchni na tyłach domu, skąd mam piękny widok na ogród, a Neil pracuje w gabinecie (przerobionym z sypialni) na górze. Jeśli potrzebuję rady w kwestii związanej ze stroną internetową, wystarczy krótki spacer na górę, by go zapytać. Dobrze, że spędzamy ze sobą tak wiele czasu, wiem jednak, że nie w każdym związku by się to sprawdziło. Lunch jemy razem i rozmawiamy przy kanapkach lub zupie, które przygotowuję. Neil z chęcią przyłącza się czasem do moich obsesyjnych codziennych czynności, na przykład picia herbaty o tej samej porze każdego dnia. Po pracy razem przyrządzamy w kuchni kolację, dzięki czemu obaj możemy się zrelaksować i pomyśleć o innych sprawach.

Zawsze kochałem zwierzęta. Wystarczy wspomnieć o mojej fascynacji biedronkami w dzieciństwie i gorliwym oglądaniu programów przyrodniczych w telewizji. Myślę, że jednym z powodów jest to, że zwierzęta często wykazują więcej cierpliwości i akceptacji niż wielu ludzi. Po przeprowadzce do Neila spędzałem dużo czasu z jego kotką Jay. Miała wtedy trochę mniej niż dwa lata i trzymała się na dystans, wolała spędzać czas poza domem: włóczyła się po ogrodach w sąsiedztwie i miauczała za każdym razem, gdy Neil próbował ją pogłaskać lub wziąć na ręce. W tym czasie Neil pracował w biurze i codziennie przebywał poza domem przez co najmniej dziesięć godzin. Przed moim pojawieniem się, w swoich pierwszych, kształtujących osobowość latach, Jay spędzała więc większość czasu w samotności. Musiała to być dla niej niespodzianka – i wstrząs – gdy nagle okazało się, że przez cały dzień ma towarzystwo. Na początku

trzymałem się z daleka, bo wiedziałem, że nie jest przyzwyczajona do regularnego przebywania z kimś. Czekałem, aż odezwie się jej naturalna ciekawość; i rzeczywiście, wkrótce zaczęła podchodzić do mnie, gdy siedziałem w salonie, i obwąchiwać moje stopy i ręce, gdy opuszczałem je, żeby mogła się o nie ocierać nosem. Z czasem Jay zaczęła coraz częściej przebywać w domu. Zawsze, gdy przychodziła, pochylałem się tak, by moja twarz znajdowała się na poziomie jej pyszczka, powoli sięgałem ręką za jej głowę i gładziłem ją tak samo jak – co zaobserwowałem – sama językiem gładzi swoje futerko na grzbiecie. Furczała wtedy, otwierała i zamykała śpiąco oczy, a ja wiedziałem, że zdobyłem jej serce.

Jay była mądrą i wrażliwą kotką. Czasem kładłem się na podłodze, by mogła położyć mi się na piersiach lub brzuchu i drzemać. Przed tym, jak się usadowiła, łagodnie ugniatała mnie łapkami. To typowe zachowanie u kotów, zwane moszczeniem się lub sadowieniem, uważa się je za oznakę zadowolenia. Jego przyczyny nie są jasne, choć te ruchy wiernie naśladują sposób, w jaki kotek używa łap, by pobudzić płynięcie mleka z piersi matki. Gdy Jay już na mnie leżała, zamykałem oczy i oddychałem wolniej, żeby myślała, że ja również drzemię. Była wtedy spokojna, ponieważ wiedziała, że nie będę wykonywał żadnych gwałtownych ruchów, odprężała się i pozostawała blisko mnie. Często nosiłem jeden z grubych szorstkich swetrów, nawet gdy było ciepło, bo wiedziałem, że Jay woli ich fakturę niż gładkie koszulki czy inne ubrania.

Mimo całego swojego przywiązania przy różnych okazjach Jay potrafiła wciąż być nieprzystępna i obojętna wobec nas, a zwłaszcza wobec Neila – wiedziałem, że było to dla niego bardzo przykre. Zasugerowałem, że kotka potrzebuje towarzysza, innego kota, z którym mogłaby przebywać. Miałem nadzieję, że nauczy ją to odpowiedniego zachowania w towarzystwie i że stanie się bardziej przyjazna. Czytaliśmy ogłoszenia w lokalnej prasie i znaleźliśmy jedno zamieszczone przez osobę, której kotka właśnie miała młode. Zadzwoniliśmy i umówiliśmy się na spotkanie, by je obejrzeć. Gdy następnego dnia przybyliśmy na miejsce, okazało się, że większość kociąt już została sprzedana i została tylko para. Wskazałem jedno z nich, nieśmiałą czarną kotkę, i dowiedziałem się, że nikt się nią nie

zainteresował, ponieważ była cała czarna. Od razu zgodnie postanowiliśmy, że zabierzemy ją do domu i nazwiemy Moomin. Na początku, ku naszemu zdziwieniu, Jay nie mogła się przekonać do swojej nowej siostry, przy każdej okazji syczała i fukała na nią. Jednak z czasem jej przeszło i zaczęła przynajmniej tolerować jej obecność. Jeszcze bardziej pokrzepiająca była stopniowa, ale wyraźna zmiana w jej ogólnym zachowaniu: stała się znacznie bardziej uczuciowa, pozwalała brać się na ręce i głaskać, była radośniejsza, o czym świadczyło długie głośnie mruczenie i napady figlarności z Moomin i z nami. Gdy tylko nas zobaczyła, wydawała z siebie wspaniałe „brrrp”, a wtedy ja przykucałem i pocierałem twarzą o jej futerko.

Latem 2004 roku świętowaliśmy piąte urodziny Jay, dając jej w prezencie dodatkowe jedzenie i zabawki. Jednak kotka nie miała apetytu i była mniej energiczna niż zwykle, co przypisywaliśmy panującym upałom. Często siadała lub spała pod czymś: łóżkiem, stołem lub wieszakiem na ręczniki w łazience. Doskonale rozumiałem to zachowanie, ponieważ jako dziecko również wchodziłem się pod łóżko lub stół, by poczuć się spokojnie i bezpiecznie. Lecz Jay robiła to coraz częściej i oddalała się od nas. Wtedy zaczęły się wymioty. Cały czas wymiotowała, ale tylko płynem. Na początku było to dla nas utrapienie, ale nie przechodziło, więc zaczęliśmy się martwić. Jay traciła również na wadze i wolniej chodziła po domu. Neil zabrał ją do weterynarza, gdzie zatrzymano ją na badania i obserwację. Wkrótce okazało się, że cierpi na zapalenie nerek, które rzadko zdarza się u kota w tak młodym wieku, i że wymaga kilkudniowego leczenia na miejscu. Dzwoniliśmy każdego dnia, dowiadując się o jej stan, i mówiono nam, że jest stabilny. Następnie, tydzień po jej oddaniu do lecznicy, zadzwoniono do nas z informacją, że Jay nie reaguje na leczenie i że dobrze byłoby, gdybyśmy przyjechali ją odwiedzić.

Pojechaliśmy natychmiast. Recepcjonistka zaprowadziła nas wąskim korytarzem do cichego szarego pokoju na tyłach budynku i powiedziała, że zostawi nas samych na kilka minut. Wydaje mi się, że nawet w tamtej chwili nie docierała do mnie powaga sytuacji. W milczeniu staliśmy

z Neilem na środku pokoju i wtedy ją zobaczyłem. Jay leżała nieruchomo na białym materacu otoczona plastikowymi rurkami, bez przerwy słabo pomiaukując. Niepewnie wyciągnąłem rękę i pogłaskałem ją – miała tłuste futro, a pod nim tylko skórę i kości. Nagle, jak falę uderzającą w skałę spoza zasięgu wzroku, poczułem w sobie emocje zbyt silne, by je zatrzymać, zorientowałem się, że mam mokrą twarz, i wiedziałem, że płaczę. Neil podszedł, wpatrywał się w Jay i też zaczął cicho płakać. Weszła pielęgniarka i powiedziała nam, że robili wszystko, co w ich mocy, ale choroba Jay była rzadka i bardzo poważna. Wróciliśmy do domu i płakaliśmy w swoich objęciach. Następnego dnia Neil odebrał telefon z wiadomością, że Jay umarła. Kolejne dni przyniosły jeszcze więcej łez oraz trwały szok z powodu tak nagłej i nieoczekiwanej utraty ukochanego towarzysza. Została skremowana, a jej prochy pochowaliśmy w ogrodzie pod kamiennym pomnikiem na jej cześć. Są na nim słowa: „Jay, 1999–2004. Na zawsze w naszych sercach”.

Nie ma związków bez problemów i z pewnością dotyczy to związków, w których przynajmniej jedna osoba ma spektrum zaburzeń autystycznych. Mimo to wierzę, że prawdziwą receptą na sukces każdego związku jest nie tyle zgodność, ile miłość. Gdy kogoś kochasz, wszystko staje się możliwe.

W domu zdarzają mi się pozornie błahe sytuacje, jak upuszczenie łyżki podczas zmywania, które mnie załamują, i potrzebuję czasu, by się zatrzymać i uspokoić, zanim wrócę do tego, co robiłem. Nawet mała, nieoczekiwana utrata kontroli może mnie przytłoczyć, zwłaszcza gdy zakłóca rutynę. Neil nauczył się nie wtrącać i pozwolić temu przeminąć, co zwykle nie trwa długo, a jego cierpliwość jest bardzo pomocna. Dzięki jego wsparciu i zrozumieniu w miarę upływu czasu takie załamania przytrafiają mi się coraz rzadziej.

Również inne sytuacje wywołują we mnie duży niepokój, na przykład jeśli jakiś przyjaciel lub sąsiad odwiedzi nas nieoczekiwanie. Choć cieszę się z takiej wizyty, to jednak staję się spięty i podenerwowany, ponieważ oznacza to dla mnie konieczność zmiany planu, który już szczegółowo

ułożyłem sobie w głowie na ten dzień, a to wytrąca mnie z równowagi. I również tu Neil dodaje mi otuchy i pomaga zachować spokój.

Przebywanie w towarzystwie innych ludzi może być dla mnie poważnym problemem. Jeśli idziemy do restauracji, wolę siedzieć przy stoliku w rogu lub przy ścianie, by nie otaczali mnie inni goście. Pewnego razu w lokalnej restauracji swobodnie rozmawialiśmy i jedliśmy, gdy nagle poczułem dym papierosowy. Nie widziałem, skąd dochodzi, nie oczekiwałem go, więc bardzo się zaniepokoiłem. Neil wie, gdy to się dzieje, ponieważ widział to już wiele razy: tracę kontakt wzrokowy i odpowiadam monosylabami. Nie było innego wyjścia, jak dokończyć posiłek i jak najszybciej wyjść. Mam szczęście, że obaj lubimy spędzać dużo czasu w domu i nie potrzebujemy zbyt często wychodzić. Jeśli dokądś wychodzimy, zwykle wybieramy kino lub cichą restaurację.

Problemy pojawiają się także w naszych rozmowach, ponieważ czasem mam trudności z przetwarzaniem tego, co słyszę. Neil mówi do mnie coś, na co przytakuję lub odpowiadam „tak” czy „OK”, ale później zdaję sobie sprawę, że nie zrozumiałem, co powiedział. To bywa dla niego bardzo frustrujące: poświęca czas na wyjaśnienie lub opowiedzenie mi czegoś ważnego, a później się okazuje, że nie wiem, co chciał mi przekazać. Problem polega na tym, że nie zdaję sobie sprawy, iż nie słyszę, co mówi – bardzo często docierają do mnie tylko fragmenty każdego zdania, które mój mózg automatycznie składa, próbując nadać temu jakiś sens. Jednak jeśli przegapię słowa kluczowe, to często nie dociera do mnie rzeczywiste znaczenie tego, co zostało powiedziane. Potakiwanie i mówienie rzeczy typu „OK”, gdy ktoś do mnie mówi, wykształciłem w sobie z czasem jako sposób na to, by komunikacja między mną i drugą osobą przebiegała normalnie, bez zmuszania rozmówcy do ciągłego przerywania i powtarzania. Choć ta taktyka sprawdza się w większości sytuacji, to teraz już wiem, że nie w związku. Nauczyliśmy się więc z Neilem wytrwałości podczas rozmowy: gdy mówi, poświęcam mu całą uwagę, i daję znać, jeśli potrzebuję, żeby powtórzył jedno słowo lub kilka. W ten sposób obaj możemy mieć pewność, że doskonale się nawzajem rozumiemy.

Jako nastolatek nienawidziłem się golić. Ostrza obcierały mi skórę i raniły, gdy z mozołem starałem się jedną ręką trzymać bezpiecznie maszynkę, a drugą nieruchomo głowę. Często golenie zabierało mi ponad godzinę, po czym skóra paliła mnie i swędziła. Było to tak uciążliwe, że goliłem się najrzadziej, jak to możliwe. Czasem miesiącami nie dotykałem maszynki, aż moja broda – w którą zamieniał się zarost – ciągnęła skórę i drażniła tak bardzo, że musiałem ją zgolić. Ostatecznie goliłem się mniej więcej dwa razy w miesiącu, często denerwując braci i siostry, ponieważ długo siedziałem w łazience. Dziś Neil goli mnie co tydzień maszynką elektryczną, która szybko i bezboleśnie likwiduje zarost.

Moja nadwrażliwość na pewne fizyczne doznania wpływa na nasze wzajemne wyrażanie uczuć i intymność. Na przykład, nie lubię lekkiego dotyku – jak muśnięcie palcami – i musiałem wyjaśnić to Neilowi, ponieważ wstrząsało mną, gdy tak robił, a on starał się jedynie wyrazić swoją miłość do mnie. Na szczęście nie jest dla mnie problemem, gdy trzymamy się za ręce lub gdy Neil lekko obejmuje mnie ramieniem.

Przez te wszystkie lata, gdy jesteśmy razem, Neil, miłość do niego i dzielenie z nim życia ogromnie dużo mnie nauczyły. Miłość zdecydowanie mnie zmieniła, otworzyła na ludzi i dała mi większą świadomość otaczającego świata. Dzięki niej zyskałem również większą wiarę w siebie samego i swoje zdolności rozwoju i radzenia sobie z nowymi wyzwaniami każdego dnia. Neil jest częścią mojego świata, częścią tego, co czyni mnie „mną”, i nawet przez chwilę nie potrafię sobie wyobrazić życia bez niego.



Dar języków

Języki zawsze były dla mnie źródłem fascynacji, a po urządzeniu się w nowym domu i stworzeniu strony internetowej mogłem naprawdę poświęcić im więcej czasu. Pierwszym językiem, którego uczyłem się po litewskim, był hiszpański. Zainteresowanie tym językiem rozbudziła we mnie rozmowa z matką Neila, gdy opowiadała o wakacjach, które spędzili z rodziną w różnych portach w Hiszpanii, i wspomniała, że od wielu lat uczy się hiszpańskiego. Zapytałem, czy ma jakieś książki, a ona znalazła stary samouczek z serii *Teach Yourself* i pożyczyła mi go. W następnym tygodniu znowu odwiedziłem rodziców Neila i oddałem książkę. Nie wierzyła własnym uszom, gdy zacząłem swobodnie rozmawiać z nią po hiszpańsku.

W podobny sposób podszedłem do nauki rumuńskiego. Rozpocząłem ją po tym, jak mój przyjaciel Ian poprosił mnie o radę, jak uczyć się tego języka, bo chciał rozmawiać ze swoją żoną, Aną. Do lektury dodałem udostępnione online klasyczne dzieło Saint-Exupéry'ego, *Micul Print* (*Mały Księżę*).

Moim najnowszym przedsięwzięciem związanym z nauką języków obcych jest walijski, piękny i wyjątkowy język, który po raz pierwszy usłyszałem i zobaczyłem w czasie wakacji z Neilem w małym miasteczku Blaenau Ffestiniog w północnej Walii, w Górach Kambryjskich. Dla wielu ludzi w tym regionie walijski jest pierwszym językiem (jeden na pięciu

mieszkańców Walii mówi po walijsku) i był to jedyny język, który słyszałem w wielu odwiedzanych przez nas miejscach.

Walijski posiada pewne cechy, których nie ma żaden ze znanych mi języków. W słowach zaczynających się od określonych spółgłosek czasem zmienia się pierwsza litera, w zależności od tego, jak słowa są używane w zdaniu. Na przykład słowo *ceg* (usta) zmienia się na *dy geg* (twoje usta), *fy ngheg* (moje usta) i *ei cheg* (jej usta). Również porządek słów w walijskim jest wyjątkowy, ponieważ na początku zdania znajduje się czasownik: *Aeth Neil i Aberystwyth* (Neil udał się do Aberystwyth, dosłownie: Udał się Neil do Aberystwyth). Najtrudniejsza w nauce walijskiego okazała się dla mnie wymowa pewnych dźwięków, na przykład „ll”, gdzie język układa się w takiej pozycji, jakby chciało się wymówić literę „l”, a następnie próbuje się wymówić literę „s”.

Nieocenioną pomocą w mojej nauce walijskiego był walijskojęzyczny kanał telewizyjny S4C, który mogę oglądać dzięki antenie satelitarnej. Programy są zróżnicowane i interesujące, od opery mydlanej *Pobol y Cwm* (Ludzie z doliny) do *newyddion* (wiadomości). Telewizja okazała się dla mnie wspaniałym sposobem na doskonalenie zdolności rozumienia i wymowy.

Mój stosunek do jakiegoś języka jest raczej estetyczny, pewne słowa i kombinacje słów są dla mnie szczególnie piękne i inspirujące. Czasem bez przerwy czytam jedno zdanie w książce ze względu na uczucie, jakie te słowa we mnie wywołują. Moimi ulubionymi słowami są rzeczowniki, ponieważ najłatwiej mi je zwizualizować.

Gdy uczę się języka, to pewne materiały uważam za niezbędne na początek. Pierwsza rzecz to odpowiedniej wielkości słownik. Potrzebuję również rozmaitych tekstów w tym języku, jak książki dla dzieci, opowiadania i artykuły z gazet, ponieważ wolę uczyć się słów w pełnych zdaniach, bo dzięki temu czuję, jak język się zachowuje. Mam doskonałą pamięć wzrokową i gdy czytam zapisane słowo, wyrażenie czy zdanie, zamykam oczy, widzę je w głowie i dokładnie zapamiętuję. Pamięć jest o wiele słabsza, jeśli tylko słyszę słowo czy frazę i nie mogę ich zobaczyć.

Konwersacje z rodzimym użytkownikiem języka pomagają udoskonalić akcent, wymowę i zdolność rozumienia. Nie przeszkadza mi, że popełniam błędy, ale jeśli ktoś zwróci mi na nie uwagę, bardzo się staram, by ich nie powtarzać.

Każdy język może służyć jako odskocznia do następnego. Im więcej zna się języków, tym łatwiej nauczyć się kolejnego. Dzieje się tak dlatego, że języki trochę przypominają ludzi: należą do rodzin i mają określone cechy wspólne. Języki również oddziałują na siebie i wzajemnie od siebie pożyczają. Jeszcze przed rozpoczęciem nauki rumuńskiego doskonale rozumiałem zdanie: *Unde este un creion galben?* (Gdzie jest żółta kredka?), ponieważ jest podobne do języka hiszpańskiego: *dónde está* (gdzie jest?), francuskiego: *un crayon* (kredka) i niemieckiego: *gelb* (żółty).

W każdym języku istnieją niepowtarzalne związki między słowami. Bez trudu potrafię dostrzec te powiązania. Na przykład, język islandzki ma *borð* (stół) i *borða* (jeść), język francuski *jour* (dzień) i *journal* (dziennik), a niemiecki *Hand* (ręka) i *Handel* (rzemiosło lub rękodzieło).

Poznawanie wyrazów złożonych wzbogaca zasób słów i jest doskonałym źródłem przykładów konstrukcji gramatycznych danego języka. Na przykład, niemieckie słowo oznaczające „zasób słów” to *Wortschatz*, połączenie *Wort* (słowo) i *Schatz* (skarb). W języku fińskim można tworzyć wyrazy złożone, którym w innych językach odpowiada wiele oddzielnych słów. Na przykład, w zdaniu: *Hän oli talossanikin* (Był też w moim domu) ostatnie słowo *talossanikin* składa się z czterech oddzielnych części: *talo* (dom) + *-ssa* (w) + *-ni* (my) i *-kin* (też).

Niektóre aspekty języka są dla mnie znacznie trudniejsze niż inne. Trudniej mi zrozumieć słowa abstrakcyjne i dla każdego tworzę w głowie obraz, który pomaga mi pojąć jego znaczenie. Na przykład, przy słowie „złożoność” myślę o warkoczu lub splocie z włosów – wiele różnych kosmyków splecionych razem. Gdy czytam lub słyszę, że coś jest złożone, wyobrażam sobie, że posiada wiele różnych części, które trzeba ze sobą powiązać, by dotrzeć do sedna. Podobnie słowo „triumf” tworzy w moim umyśle obraz dużego, złotego trofeum, jak te zdobywane na dużych sportowych zawodach. Gdy słyszę o „triumfie wyborczym” jakiegoś

polityka, wyobrażam go sobie trzymającego trofeum nad głową, jak kapitan drużyny, która zdobyła Puchar Anglii w piłce nożnej. Słyszac słowo „kruchy”, myślę o szkłe – „kruchy pokój” wyobrażam sobie jako szklanego gołębia. Obraz, który widzę, pomaga mi zrozumieć, że pokój można w każdej chwili zniszczyć.

Szczególną trudność sprawiają mi zdania o pewnej strukturze, na przykład: „On nie jest niedoświadczony w tym względzie”, gdzie dwa przeczenia („nie” i „nie-”) znoszą się wzajemnie. Jest mi o wiele łatwiej, gdy ktoś powie po prostu: „On ma doświadczenie w tym względzie”. Inny przykład to zdania rozpoczynające się od: „Czy nie...?”, jak „Czy nie uważasz, że powinniśmy już iść?” lub „Czy nie masz ochoty zjeść loda?”. Bardzo mnie to dezorientuje i przyprawia o ból głowy, bo pytający nie określa jasno, czy ma na myśli: „Czy masz ochotę zjeść loda?”, czy „Czy to prawda, że nie masz ochoty zjeść loda?”, więc można na oba pytania odpowiedzieć „tak”, a ja nie lubię, gdy jedno słowo może oznaczać dwie zupełnie różne rzeczy.

W dzieciństwie szczególnie dezorientowały mnie idiomy. Określenie, że ktoś ma głowę na karku, było dla mnie bardzo dziwne, bo przecież, myślałem, czy nie każdy ma głowę na karku? Innym popularnym powiedzeniem, którego nie pojmowałem, były słowa używane przez moich rodziców, gdy tłumaczyli opryskliwe zachowanie jednego z moich braci: „Musiał dziś wstać lewą nogą”. Pytałem wtedy: „Dlaczego nie wstał prawą nogą?”.

W ostatnich latach naukowcy coraz bardziej interesują się badaniem synestezyjnych doświadczeń językowych, które są i moimi doświadczeniami, by dowiedzieć się więcej o tym zjawisku i jego pochodzeniu. Profesor Vilayanur Ramachandran z Kalifornijskiego Centrum Studiów nad Mózgiem w San Diego od ponad dziesięciu lat bada synestezję i uważa, że może istnieć związek pomiędzy neurologiczną podstawą doświadczeń synestezyjnych i językową kreatywnością poetów i pisarzy. Jedno z badań wykazało, że to zjawisko wśród ludzi twórczych występuje siedem razy częściej niż u reszty społeczeństwa.

Profesor Ramachandran wskazuje szczególnie na zdolność pisarzy do tworzenia oraz używania metafor – form języka zestawiających dwie pozornie niezwiązane ze sobą rzeczy – i porównuje ją do synestezyjnego łączenia pozornie niezwiązanych ze sobą jednostek, jak kolory i słowa czy kształty i liczby.

Niektórzy naukowcy uważają, że pojęcia wyższe (jak liczby i język) są zakotwiczone w określonych partiach mózgu i synestezja może być wynikiem nadmiernej komunikacji pomiędzy tymi różnymi partiami. Takie „skrzyżowane okablowanie” może prowadzić zarówno do synestezji, jak i skłonności do łączenia pozornie niezwiązanych ze sobą idei.

Na przykład, William Szekspir często używał metafor, z których wiele ma charakter synestezyjny – są związane ze zmysłami. Przykładowo, w *Hamlecie* Francisco mówi, że jest *bitter cold*, czyli „gorzkozimno” – łącząc odczucie zimna ze smakiem gorzkim. W innej sztuce, *Burza*, Szekspir wychodzi poza metafory dotyczące jedynie zmysłów i łączy namacalne doświadczenia z bardziej abstrakcyjnymi ideami. Jego stwierdzenie: *This music crept by me upon the waters*, czyli „Ta muzyka podkraǳła się do mnie znad wody”, łączy abstrakcyjną „muzykę” z podkradaniem się. Czytelnik może sobie wyobrazić muzykę – coś, co zwykle ciężko sobie przedstawić w postaci mentalnego obrazu – jako zwierzę w ruchu.

Lecz nie tylko bardzo kreatywni ludzie stosują takie połączenia – robią to wszyscy. Wszyscy polegamy na synestezji w mniejszym lub większym stopniu. W książce *Metafory w naszym życiu* językoznawca George Lakoff i filozof Mark Johnson twierdzą, że metafory nie są konstrukcjami arbitralnymi, lecz kształtowane są przez pewne wzorce, co z kolei organizuje myśli. Jako przykłady podają wyrażenia, które wskazują na połączenia: „szczęśliwy” = „w górę” i „smutny” = „w dół”: *szczęście mnie uniosło, czuję się podniesiony na duchu; czuję się przybity, on czuje się dennie*. Lub „więcej” = „w górę” i „mniej” = „w dół”: *W zeszłym roku moje dochody wzrosły; liczba błędów jest bardzo niska*. Lakoff i Johnson sugerują, że wiele z tych wzorców wynika z naszych codziennych fizycznych doświadczeń. Na przykład, związek „smutny” = „w dół” może

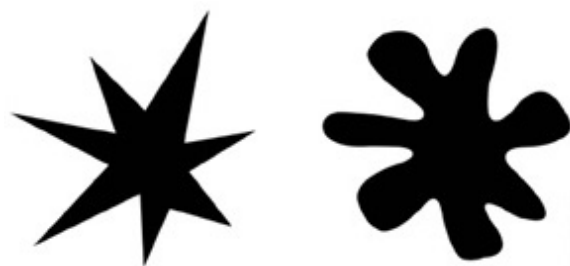
odnosić się do sposobu, w jaki pochyla się sylwetka człowieka, gdy odczuwa on smutek. Podobnie związek „więcej” = „w górę” może brać się z faktu, że gdy doda się jakiś przedmiot lub substancję do zbiornika lub stosu, poziom się podnosi.

Inni językoznawcy zauważyli, że pewne strukturalne cechy wielu słów – normalnie niełączone z żadną funkcją, jak na przykład początkowa grupa fonemów – mają wyraźny wpływ na czytelnika lub słuchacza. Na przykład w języku angielskim dla „sl-” znajdujemy: *slack* (ospały), *slouch* (garbić się), *sludge* (ścieki), *slime* (szlam), *slosh* (breja), *sloppy* (niechlujny), *slug* (ślimak), *slut* (dziwka), *slang* (żargon), *sly* (chytry), *slow* (powolny), *sloth* (lenistwo), *sleepy* (śpiący), *slipshod* (zaniedbany), *slovenly* (flejtuchowaty), *slum* (slums), *slobber* (ślinić się), *slur* (oczerniać), *slog* (wlec się)... i wszystkie one mają negatywne konotacje, a niektóre z nich są szczególnie pejoratywne.

Idea, że pewne typy dźwięków „pasują” do określonych zjawisk lepiej niż inne, sięga czasów starożytnej Grecji. Oczywistym przykładem jest tu onomatopeja, czyli słowo brzmiące jak zjawisko lub przedmiot, które opisuje (syk, trzask, dudnienie itd.). W latach sześćdziesiątych XX wieku naukowcy przeprowadzili badanie i stworzyli sztuczne słowa, używając określonych liter i kombinacji liter, o których uważano, że łączą się z pozytywnymi lub negatywnymi uczuciami. Badanych poproszono, by po usłyszeniu tych wymyślonych słów przyporządkowali jedno lub dwa z nich angielskim słowom określającym przyjemne lub nieprzyjemne emocje. Trafne przyporządkowania zdarzały się znacznie częściej niż spodziewane przypadkowe.

Ten rodzaj utajonej w każdym z nas synestezji językowej można również dostrzec w eksperymencie przeprowadzonym w latach dwudziestych XX wieku, badającym możliwe związki między wyglądem i strukturą dźwiękową słów. Badacz, niemiecko-amerykański psycholog Wolfgang Köhler, użył dwóch przypadkowych wizualnych kształtów, gładkiego i zaokrąglonego oraz ostrego i kanciastego, i wymyślił dla nich dwa słowa: „takete” i „maluma”. Badanych poproszono, by wskazali, który z kształtów

jest „takete”, a który „maluma”. Przytłaczająca większość przyporządkowała „malumę” do kształtu zaokrąglonego, a „takete” do kanciastego. Ostatnio zespół profesora Ramachandrana powtórzył wyniki tego badania, używając wymyślonych słów „bouba” i „kiki”. 95 procent badanych uważało, że zaokrąglony kształt był „bouba”, a ostro zakończony „kiką”. Ramachandran za możliwą przyczynę podaje fakt, że ostre załamania linii w figurze „kiki” naśladują nagłą zmienność fonemiczną w brzmieniu tego słowa oraz nagły kontakt języka z podniebieniem.



Profesor Ramachandran wierzy, że ten synestezyjny związek pomiędzy zmysłami słuchu i wzroku był u pierwszych ludzi ważnym początkowym krokiem ku stworzeniu słów. Zgodnie z tą teorią nasi przodkowie zaczęli mówić, używając dźwięków wywołujących skojarzenia z przedmiotem lub zjawiskiem, które chcieli opisać. Zwraca również uwagę, że ruchy warg i języka mogą być synestezyjnie związane z przedmiotami i zjawiskami, do których się odwołują. Na przykład, słowa opisujące coś małego często wymagają synestezyjnie małego dźwięku „i”, przy którym usta i krtań się zwężają: „niski”, „obcisły”, „zbity”, a słowa opisujące coś dużego lub olbrzymiego – dokładnie czegoś przeciwnego. Jeśli ta teoria jest prawdziwa, to język wyłonił się z całego szeregu synestezyjnych powiązań w ludzkim mózgu.

Interesującym problemem, który zaczynają zgłębiać badacze języka, jest pytanie, czy moje zdolności obejmują też inne jego formy, jak na przykład język migowy. W 2005 roku uczestniczyłem w eksperymencie przeprowadzonym przez Gary’ego Morgana z Wydziału Nauk o Języku i Komunikacji na londyńskim City University. Doktor Morgan bada

Brytyjski Język Migowy (ang. *British Sign Language*, BSL), pierwszy lub preferowany język około 70 tysięcy niesłyszących lub niedosłyszących ludzi w Wielkiej Brytanii. Wiele tysięcy słyszących ludzi również używa BSL, który jest wizualnym, przestrzennym językiem wykorzystującym ręce, ciało, twarz i głowę, by przekazać znaczenie. Celem testu było zbadanie, czy mogę nauczyć się słów miganych tak szybko i łatwo, jak pisanych lub mówionych. Osoba mówiąca biegle językiem migowym usiadła naprzeciw mnie przy stole i wykonała sześćdziesiąt osiem różnych znaków. Po każdym znaku pokazywano mi stronę z czterema obrazkami i proszono o wskazanie tego, który według mnie najlepiej opisywał właśnie pokazany mi znak. Migane słowa miały różne znaczenie, od relatywnie prostego, jak „kapelusz”, do bardziej złożonych znaków na określenie pojęć takich, jak „restauracja” i „rolnictwo”. Zdołałem poprawnie rozpoznać dwie trzecie znaków spośród możliwości, które mi pokazano, i stwierdzono, że wykazałem „bardzo dobre zdolności migowe”. Badacze planują teraz nauczyć mnie Brytyjskiego Języka Migowego poprzez indywidualne lekcje z osobą posługującą się językiem migowym, by porównać moją zdolność opanowania tego języka ze zdolnością opanowywania innych języków, które znam.

Kolejnym wyjątkowym rodzajem języka jest esperanto. Po raz pierwszy przeczytałem słowo „esperanto” wiele lat temu w książce pożyczonej z biblioteki, ale dopiero po zakupie pierwszego komputera dowiedziałem się o tym języku czegoś więcej. Najbardziej pociągało mnie w nim to, że jego słownictwo powstało ze zmieszania różnych języków, głównie europejskich, a gramatyka jest spójna i logiczna. Bardzo szybko *esperantiĝis* (stałem się esperantystą), czytając w sieci rozmaite teksty w tym języku i korespondując z innymi użytkownikami esperanto z całego świata.

Język esperanto (to słowo oznacza „mający nadzieję”) został stworzony przez lekarza Ludwika Łazarza Zamenhofa, okulistę z Białegostoku. W 1887 roku opublikował on pierwszy podręcznik swojego języka, a w 1905 roku we Francji odbył się pierwszy kongres esperantystów. Zamenhof chciał stworzyć łatwy do opanowania uniwersalny drugi język, by wspierać

zrozumienie między narodami. Przyjmuje się, że obecnie na świecie jest od 100 tysięcy do miliona esperantystów.

Gramatyka języka esperanto ma kilka interesujących cech. Po pierwsze, różne części mowy mają charakterystyczne sufiksy: wszystkie rzeczowniki kończą się na -o, wszystkie przymiotniki na -a, przysłówki na -e, bezokoliczniki na -i. Na przykład, słowo *rapido* przetłumaczmy jako „prędkość”, *rapida* jako „prędko”, *rapide* jako „prędko”, a *rapidi* jako „spieszyć się”.

Czasowniki nie odmieniają się przez osoby, przeciwnie niż w większości języków naturalnych: *mi estas* (ja jestem), *vi estas* (ty jesteś), *li estas* (on jest), *ŝi estas* (ona jest), *ni estas* (my jesteśmy), *ili estas* (oni są). W czasie przeszłym zawsze kończą się na -is (*mi estis* – ja byłem), w czasie przyszłym na -os (*vi estos* – ty będziesz).

Wiele słów w esperanto tworzy się za pomocą afiksów – na przykład końcówka „-ejo” oznacza miejsce, jak w słowach: *lernejo* (szkoła), *infanejo* (żłobek) i *trinkejo* (bar). Innym często używanym sufiksem jest „-ilo”, który oznacza „narzędzie lub instrument” i występuje w słowach takich, jak: *hakilo* (siekiera, topór), *flugilo* (skrzydło) oraz *serĉilo* (wyszukiwarka).

Prawdopodobnie najbardziej znaną cechą słowotwórstwa esperanto jest użycie prefiksu „mal-” dla oznaczenia przeciwieństwa. Bardzo często występuje on w tym języku: *bona* (dobry) – *malbona* (zły), *riĉa* (bogaty) – *malriĉa* (biedny), *granda* (duży) – *malgranda* (mały), *dekstra* (prawy) – *maldekstra* (lewy), *fermi* (zamknąć) – *malfermi* (otworzyć), *amiko* (przyjaciel) – *malamiko* (wróg).

Generalnie w esperanto nie pochwała się tworzenia i używania idiomów, choć istnieją pewne przykłady „slangu esperanto”. Osobę, która zaczyna uczyć się tego języka, można nazwać *freŝbakito*, od niemieckiego *frischgebacken* (świeżo upieczony), podczas gdy standardowym słowem w esperanto byłoby *komencanto* (początkujący). Przykładem eufemizmu w esperanto jest *la necesejo* (niezbędne miejsce) na określenie toalety.

Tony Attwood, psycholog kliniczny i autor książki *Zespół Aspergera*, zauważa, że niektóre osoby z zespołem Aspergera mają zdolność tworzenia własnych form języka (zwanymi neologizmami). Przytacza przykład

dziewczyny, która określiła kostkę jako „nadgarstek stopy”, a kostki lodu jako „wodne kości”. Doktor Attwood opisuje tę zdolność jako „jeden z ujmujących i prawdziwie twórczych aspektów zespołu Aspergera”. Po narodzinach moich sióstr bliźniaczek stworzyłem na ich określenie słowo *biplet*, wiedząc, że bocykl ma dwa koła, a trycykl trzy oraz że grupa trójelementowa to triplet. Innym neologizmem, który stworzyłem w dzieciństwie, było słowo *wózkować*, oznaczające: iść na długi spacer (wędrować) z dzieckiem w wózku – moi rodzice często się tym zajmowali.

W dzieciństwie przez kilka lat pracowałem nad pomysłem stworzenia własnego języka, który miał złagodzić często dające mi się we znaki osamotnienie i wykorzystać moje uwielbienie dla słów. Czasami, gdy doświadczałem szczególnie intensywnych uczuć lub czegoś wyjątkowo pięknego, w moim umyśle spontanicznie powstawało nowe słowo na wyrażenie tego, a ja nie miałem pojęcia, skąd te słowa się biorą. Natomiast język moich rówieśników często wydawał mi się drażniąco niedopasowany i mylący. Regularnie dokuczano mi, bo mówiłem długimi, przemyślanymi i zbyt formalnymi zdaniami. Gdy w rozmowie próbowałem użyć jednego ze stworzonych przez siebie słów, by wyrazić coś, co czułem lub czego doświadczałem wewnątrz, najczęściej nikt mnie nie rozumiał. Rodzice odводzili mnie od „mówienia w dziwny sposób”.

Nie przestawałem marzyć, że pewnego dnia będę mówił własnym językiem i nikt nie będzie mi z tego powodu dokuczał ani mnie besztął; językiem, który choć częściowo wyrazi, jak to jest być mną. Po skończeniu szkoły zdałem sobie sprawę, że mam czas, by poważnie zająć się tym pomysłem. Spisywałem słowa, gdy mi się pojawiały, i eksperymentowałem z różnymi metodami wymowy i budowy zdań. Nazwałem swój język *mänti* (wymawiany *man-tii*) od fińskiego słowa *mänty* oznaczającego sosnę. Sosny w stanie naturalnym rosną w większości obszarów półkuli północnej i szczególnie licznie występują w różnych częściach Skandynawii i regionu bałtyckiego. Wiele słów w *mänti* ma pochodzenie skandynawskie i bałtyckie. Jest jeszcze jeden powód, dla którego wybrałem tę nazwę: sosny często rosną w dużych skupiskach, więc symbolizują przyjaźń i wspólnotę.

Praca nad mänti wciąż trwa, język ma rozwiniętą gramatykę i liczy ponad tysiąc słów. Wzbudził zainteresowanie kilku językoznawców, którzy wierzą, że może on rzucić więcej światła na moje zdolności językowe.

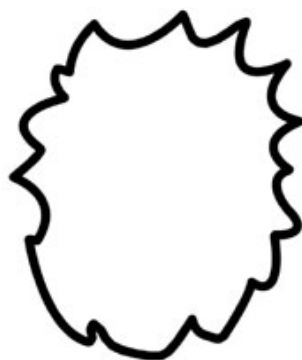
Jedną z rzeczy, które lubię najbardziej w zabawie z językiem, jest tworzenie nowych słów i pojęć. Próbuję w mänti tworzyć słowa, które odzwierciedlają związki pomiędzy różnymi rzeczami: na przykład, *hamma* (ząb) i *hemme* (mrówka – gryzący owad) oraz *rât* (przewód) i *râtio* (radio). Niektóre słowa mają wiele powiązanych ze sobą znaczeń, na przykład słowo *puhu* może oznaczać „wiatr”, „oddech” lub „duch”.

Mänti zawiera wiele słów złożonych: *puhekello* (telefon, dosłownie: mówić-dzwonek), *ilmalāv* (samolot, dosłownie: statek powietrzny), *tontöö* (muzyka, dosłownie: sztuka dźwięku) i *rātalö* (parlament, dosłownie: miejsce dyskusji) to kilka przykładów.

W mänti istnieje kilka podejść do pojęć abstrakcyjnych. Jedno z nich to stworzenie wyrazu złożonego, opisującego takie pojęcie: „opieszłość” lub „spóźnienie” tłumaczy się jako *kollokült* (dosłownie: dług zegara). Inne polega na użyciu „par wyrazów” takich, jakie można znaleźć w językach ugrofińskich, na przykład estońskim. Słowu „nabiał” w języku mänti odpowiada *pîmat kermat* (mleko śmietana), a „obuwie” to *koet saapat* (buty trzewiki).

Mimo że mänti bardzo różni się od języka angielskiego, to osoby władające angielskim rozpoznają w nim wiele słów, na przykład: *nekka* (szyja), *kuppi* (kubek), *purssi* (portfel), *nööt* (noc) i *pêpi* (dziecko).

Mänti to namacalny i możliwy do przekazania wyraz mojego wewnętrznego świata. Dla mnie każde słowo, lśniące kolorem i fakturą, jest dziełem sztuki. Gdy myślę lub mówię w mänti, mam wrażenie, jakbym malował słowami.



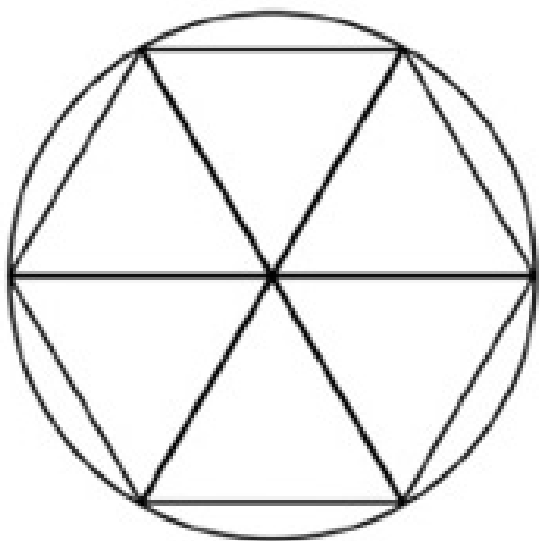
Duża porcja liczby pi

O liczbie pi dowiedziałem się na lekcjach matematyki w szkole. Pi – stosunek obwodu okręgu do jego średnicy – jest najsłynniejszą liczbą w matematyce, jej nazwa pochodzi od szesnastej litery greckiego alfabetu (π), a symbol został spopularyzowany przez matematyka Leonharda Eulera w 1737 roku. Ta liczba od razu mnie zafascynowała i nauczyłem się tyłu jej cyfr po przecinku, ile tylko mogłem znaleźć w różnych książkach w bibliotece, w sumie były ich setki. Później, w 2003 roku, zadzwonił do mnie ojciec i na koniec rozmowy przypomniał, że minęło już dwadzieścia lat od moich ataków we wczesnym dzieciństwie. Powiedział, że powinienem być dumny z tego, jak daleko zaszedłem od tamtej pory. Po rozmowie z ojcem długo myślałem o tym, co powiedział, i zdecydowałem, że chcę zrobić coś, by udowodnić, że moje epileptyczne przeżycia z dzieciństwa w niczym mi nie przeszkodziły. Kilka dni później skontaktowałem się z działem pozyskiwania funduszy Narodowego Stowarzyszenia na rzecz Epilepsji (National Society for Epilepsy, NSE), - największej w Wielkiej Brytanii organizacji charytatywnej zajmującej się epilepsją. Planowałem pomóc NSE w zbieraniu funduszy: chciałem nauczyć się we właściwym porządku jak największej liczby cyfr liczby pi i publicznie wyrecytować je trzy miesiące później, w dniu 14 marca –

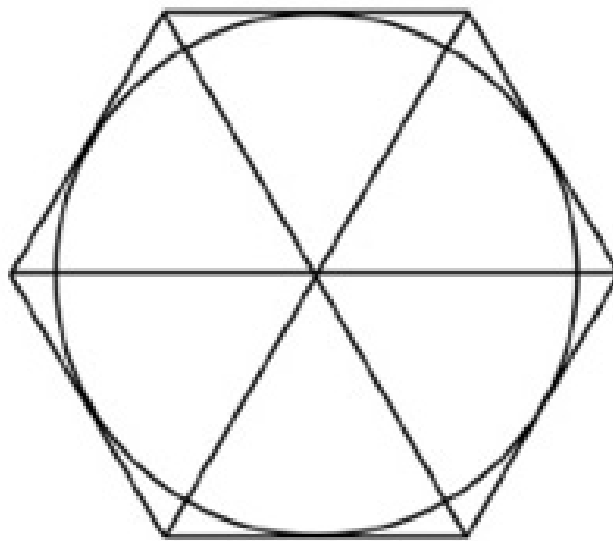
Międzynarodowym Dniu Liczby Pi (14 marca to 3/14 w zapisie amerykańskim) – który jest również dniem urodzin Einsteina. Mój pomysł wzbudził zachwyt w organizacji, zasugerowano mi, żebym spróbował pobić rekord Europy, więc ustaliłem sobie granicę na 22 500 miejsc. Zacząłem uczyć się cyfr, a menedżer działu pozyskiwania funduszy z NSE, Simon Ekless, zorganizował miejsce do recytacji, budynek Ashmolean w Muzeum Historii Nauki w Oksfordzie, gdzie wśród różnych eksponatów znajduje się jedna z tablic Alberta Einsteina.

Pi jest liczbą niewymierną, czyli nie można jej zapisać w postaci ilorazu dwóch liczb całkowitych. Jest również nieskończona: cyfry po przecinku ciągną się bez końca w bezkresnym potoku, więc nikt nie byłby w stanie dokładnie zapisać liczby pi, nawet jeśli miałby do dyspozycji kartkę wielkości wszechświata. Dlatego w obliczeniach zawsze używa się przybliżeń pi, takich jak $22 \div 7$ czy $355 \div 113$. Poza okręgami i kulami liczba ta pojawia się w matematyce w różnych niespodziewanych miejscach. Występuje na przykład w rozmieszczeniu liczb pierwszych oraz w prawdopodobieństwie, że igła rzucona na wiele równoległych linii przetnie którąś z nich. Pi pojawia się również w średnim stosunku właściwej długości do odległości w prostej linii między źródłem i ujściem wijącej się rzeki.

Najwcześniejsze oszacowania liczby pi prawie na pewno powstały na podstawie obliczeń. Istnieją rzetelne dowody na to, że dla starożytnych Egipcjan liczba pi miała wartość $4(8/9)^2 = 3,16$, a Babilończycy używali przybliżenia $3 + 1/8 = 3,125$. Grecki matematyk Archimedes z Syrakuz jako pierwszy teoretycznie wyliczył wartość pi około roku 250 p.n.e. Określił górną i dolną granicę pi obwodami wielokąta wpisanego w okrąg, czyli mniejszego od jego obwodu (rys. 1) i opisanego na nim, czyli większego od jego obwodu (rys. 2).



rys. 1



rys. 2

Podwajając liczbę boków i przechodząc od sześciokąta do dwunastokąta, a następnie do wielokąta o dwudziestu czterech bokach, czterdziestu ośmiu aż do dziewięćdziesięciu sześciu, Archimedes coraz bardziej zbliżał do siebie długość obwodów obu wielokątów i okręgu i w ten sposób osiągnął przybliżenie. Obliczył, że π jest mniejsze od $3 \frac{1}{7}$, ale większe od $3 \frac{10}{71}$. W zapisie dziesiętnym przekłada się to na wartość pomiędzy 3,1408 i 3,1429 (w zaokrągleniu do czterech miejsc po przecinku), co jest bardzo bliskie rzeczywistej wielkości tej liczby, czyli 3,1416.

W średniowieczu niemiecki matematyk Ludolf van Ceulen poświęcił dużą część życia na wyliczenie liczbowej wartości π , używając w zasadzie takich samych metod jak Archimedes około 1800 lat przed nim. W 1596 roku w swej książce *Van den Circkel* (Na okręgu) podał wartość π do dwudziestu miejsc po przecinku, a później rozwinął ją do 35 miejsc po przecinku. Po jego śmierci cyfry te zostały wyryte na jego nagrobku.

Późniejsi matematycy, łącznie z Isaakiem Newtonem i Jamesem Gregorem, opracowali nowe wzory matematyczne, by udoskonalić obliczenia wartości π . W 1873 roku Anglik William Shanks opublikował swoje kalkulacje tej liczby do 707 miejsca po przecinku. Zajęły mu one ponad piętnaście lat, co średnio daje około jednego miejsca po przecinku na

tydzień. Niestety, w latach czterdziestych XX wieku, gdy sprawdzano te obliczenia na maszynach liczących, okazało się, że popełnił błąd w 528 miejscu, więc wszystkie cyfry po nim były błędne.

Nadejście nowoczesnych komputerów pozwoliło obliczać znacznie większe wartości liczby pi niż kiedykolwiek wcześniej. Pierwszego komputerowego obliczenia liczby pi dokonano w 1949 roku na komputerze ENIAC (ang. Electronic Numerical Integrator and Computer) – ogromnej maszynie, która ważyła 30 ton i miała rozmiary małego domu – i uzyskano 2037 miejsc po przecinku w siedemdziesiąt godzin. Od tego czasu gwałtownie rozwijająca się technologia komputerowa pomaga naukowcom obliczać wartość liczby pi do wciąż wzrastającej liczby miejsc po przecinku. W 2002 roku informatyk Yasumasa Kanada i jego współpracownicy z Centrum Technologii Informacyjnej na Uniwersytecie w Tokio obliczyli liczbę pi do ponad biliona miejsc po przecinku.

Przez lata wielu entuzjastów liczby pi próbowało zapamiętać część nieskończonego łańcucha jej cyfr. Najbardziej popularna metoda to zdania, a nawet całe wiersze, złożone z odpowiednio dobranych słów, w których liczba liter odpowiada kolejnym cyfrom liczby pi. Prawdopodobnie najbardziej znanym angielskim przykładem jest poniższe zdanie, którego autorstwo przypisuje się brytyjskiemu matematykowi, Sir Jamesowi Jeansowi:

How I want a drink, alcoholic of course, after the heavy lectures involving quantum mechanics!

(Jakże chciałbym się napić, czegoś mocnego oczywiście, po ciężkich wykładach z mechaniki kwantowej!)

W tym zdaniu słowo *How* = 3 (gdyż ma trzy litery), *I* 1 i *want* 4, a całe zdanie przekłada się na 3,14159265358979, czyli liczbę pi do 14 miejsc po przecinku.

Innym przykładem jest wiersz (z 1949 roku), który podaje wartość liczby pi do 35 miejsc po przecinku:

Daj, o pani, o boska Mnemosyne, pi liczbę, którą też zowią ponętne ludolfina, pamięci przekazać tak, by jej dowolnie oraz szybko do pomocy użyć, gdy się zadania nie da inaczej rozwiązać pauza

– to zastąpić liczbami

Autorzy takich utworów stają przed problemem, jak poradzić sobie z cyfrą 0, która pojawia się na trzydziestym drugim miejscu po przecinku. Jednym z rozwiązań jest użycie znaku interpunkcyjnego, na przykład myślnika, jak powyżej. Inne rozwiązanie to dziesięcioliterowe słowo. Niektórzy twórcy stosują dłuższe słowa dla dwóch kolejnych cyfr. Na przykład, jedenastoliterowe słowo „komputerowy” oznaczałoby 1, po której następuje kolejna 1.

Gdy patrzę na serię liczb, moja głowa wypełnia się kolorami, kształtami i fakturami, które spontanicznie łączą się ze sobą, tworząc wizualny pejzaż. W takich widokach zawsze odnajduję niesamowite piękno – w dzieciństwie często godzinami zgłębiałem liczbowe pejzaże w moim umyśle. Aby przypomnieć sobie każdą liczbę, po prostu odtwarzam w głowie różne kształty i faktury i odczytuję ją z nich.

W przypadku bardzo długich liczb, jak liczba pi, dzielę je na mniejsze części. Wielkość każdej części jest różna, w zależności od charakteru cyfr i liczb. Na przykład, jeśli liczba jest dla mnie bardzo jasna, a kolejna bardzo ciemna, zwizualizuję je sobie oddzielnie, natomiast jeśli po jednej gładkiej cyfrze lub liczbie nastąpi kolejna gładka, zapamiętam je razem. Im dłuższy ciąg cyfr, tym bardziej złożone i wielopoziomowe stają się moje liczbowe pejzaże, aż – jak w przypadku liczby pi – są w moim umyśle jak całe państwo złożone z liczb.

Tak właśnie „widzę” pierwsze dwadzieścia cyfr liczby pi:



Liczba wznosi się, potem ciemnieje i staje się wyboista w środku, a następnie zakreca i wije się w dół.

A oto jak widzę pierwsze sto cyfr liczby pi:



Pod koniec każdej części liczby pejzaż ulega zmianie i pojawiają się nowe kształty, kolory i faktury. Ten proces powtarza się i trwa tak długo, jak długa jest seria cyfr, które sobie przypominam.

Najbardziej znaną serią cyfr w liczbie pi jest „punkt Feynmana”, który obejmuje cyfry od 762 do 767 miejsca po przecinku: „...999999...”. Ten fragment nazwano imieniem fizyka Richarda Feynmana, ponieważ powiedział, że chciałby nauczyć się cyfr liczby pi do tego miejsca, tak by recytując, mógł zakończyć słowami: „...dziewięć, dziewięć, dziewięć, dziewięć, dziewięć, dziewięć i tak dalej”. Punkt Feynmana jest dla mnie wizualnie bardzo piękny, widzę go jako intensywną, szeroką obręcz z granatowego światła.

Istnieje równie piękna seria cyfr, od 19437 do 19453 miejsca po przecinku: „...99992128599999399...”, gdzie cyfra dziewięć najpierw powtarza się cztery razy pod rząd, zaraz potem pięć razy, a następnie dwa razy, czyli razem jedenaście razy na przestrzeni 17 miejsc. To moja ulubiona seria cyfr liczby pi spośród ponad 22 500 miejsc, których się nauczyłem.

Liczby pi zacząłem uczyć się w grudniu 2003 roku, czyli miałem trzy miesiące na nauczenie się wszystkich cyfr (ponad 22 500) potrzebnych do pobicia rekordu. Pierwszym problemem było znalezienie tak wielu cyfr liczby pi; większość książek podaje jedynie kilkadziesiąt lub kilkaset miejsc po przecinku. Rozwiązaniem okazał się internet, choć nawet tam poszukiwania zajęły nam wiele czasu, ponieważ większość stron podaje pi jedynie do tysiąca lub kilku tysięcy miejsc po przecinku. W końcu Neil znalazł stronę superkomputera z Tokio, który zawiera pliki z milionami cyfr liczby pi. To dzięki niemu mogliśmy próbować pobić rekord.

Neil wydrukował cyfry na kartkach formatu A4, 1000 cyfr na stronę, dla mojej wygody, bym mógł brać po jednej kartce i się uczyć. Cyfry były dalej

podzielone na „zdania” po 100 cyfr, by jak najłatwiej się je czytało i by zminimalizować ryzyko, że przeczytam je błędnie i nauczę się czegoś niepoprawnie.

Nie studiowałem tych kartek każdego dnia. W niektóre dni byłem zbyt zmęczony lub niespokojny, by się uczyć i czegokolwiek się nauczyć. W inne pochłaniałem cyfry, przyswajając wiele setek podczas jednego posiedzenia. Neil zauważył, że gdy uczyłem się cyfr, moje ciało stawało się spięte i wzburzone – kołysałem się w fotelu w przód i w tył lub bez przerwy skubałem usta palcami. Stwierdził, że w takich chwilach nie ma szans na rozmowę lub kontakt ze mną, bo przebywam jakby w innym świecie.

Często uczyłem się niezbyt długo (przeważnie godzinę lub mniej), ponieważ nie umiem koncentrować się przez cały czas tak samo. Do nauki cyfr wybierałem najcichsze pokoje na tyłach domu, gdyż nawet najmniejszy hałas może sprawić, że nie będę mógł skoncentrować się na tym, co robię. Czasem zatykam uszy, by nie dopuszczać do siebie żadnych dźwięków. W czasie nauki często chodziłem po domu, zataczając kółka ze spuszczoną głową i na wpół otwartymi oczami, żeby na nic nie wpaść. Czasem siadałem w fotelu, zupełnie zamykałem oczy i wizualizowałem sobie swoje liczbowe pejzaże oraz ich liczne wzory, kolory i faktury.

Miałem publicznie recytować liczbę pi, a nie ją zapisać, więc musiałem nauczyć się wymieniać cyfry na głos przed drugą osobą. Raz w tygodniu Neil trzymał przed sobą kartkę lub kilka kartek z cyframi, by mnie sprawdzać, gdy stałem lub chodziłem tam i z powrotem, recytując mu rosnącą serię zapamiętanych liczb. Było to dziwne doświadczenie i na początku miałem trudności z wypowiadaniem cyfr na głos, ponieważ dla mnie były one czymś całkowicie wizualnym. Przy pierwszej próbnej recytacji przed Neilem wahałem się i zrobiłem kilka błędów. Bardzo mnie to sfrustrowało i zacząłem się martwić, czy poradzę sobie z wyrecytowaniem całej serii przed tłumem ludzi. Jak zawsze, Neil był cierpliwy i dodawał mi otuchy – wiedział, dlaczego mam trudności z głośnym wypowiadaniem cyfr, i zachęcał, bym się rozluźnił i po prostu próbował.

Dzięki ćwiczeniom nieprzerwane recytowanie cyfr stopniowo stawało się dla mnie coraz łatwiejsze i w miarę zbliżania się terminu wydarzenia nabierałem pewności siebie. Jako że liczba cyfr wciąż się zwiększała, nie byłem już w stanie wypowiedzieć przed Neilem wszystkich za jednym razem, więc zdecydowaliśmy, że co tydzień będę z nim ćwiczył recytowanie różnych części liczby pi. Czasem recytowałem liczbę głośno dla siebie, siedząc lub chodząc po domu, aż potok cyfr stawał się płynny i spójny.

By pomóc w zbieraniu funduszy, organizacja dobroczynna stworzyła stronę internetową, za której pośrednictwem można było przekazywać pieniądze i na którą napływały słowa wsparcia od ludzi z całego świata. Jedna z darowizn pochodziła na przykład od klasy z pewnej szkoły w Warszawie. Organizacja zamieściła również wiadomość w prasie, a ja z Neilem zbieraliśmy datki od znajomych i rodziny. Sąsiad, który usłyszał o tym, co ma się wydarzyć, zaczął rozmawiać ze mną o epilepsji swojej córki i mówił, że podziwia to, co robię. Takie słowa wsparcia, a także kartki i e-maile z życzeniami powodzenia były ogromnie inspirujące.

Na początku weekendu, w czasie którego miało to nastąpić, w sobotę 13 marca, pojechaliśmy z Neilem do Oksfordu, gdzie następnego dnia miała się odbyć recytacja. Mimo że skończyłem naukę cyfr kilka tygodni wcześniej, to wciąż bardzo się denerwowałem perspektywą recytowania ich publicznie. Nocowaliśmy w pensjonacie niedaleko muzeum i starałem się jak najlepiej wypaść, co nie było proste, ponieważ bezustannie myślałem i martwiłem się o to, co wydarzy się następnego dnia. W końcu zasnąłem i śniło mi się, że przechadzam się wśród swoich pejzaży liczby pi – tam w końcu poczułem się spokojny i pewny siebie.

Następnego ranka obaj obudziliśmy się wcześnie. Nie tylko ja się denerwowałem, gdyż Neil skarżył się na skurcze żołądka i wiedział, że są one wywołane napięciem przed nadchodzącym dniem. Zjedliśmy razem śniadanie i udaliśmy się do muzeum. Nigdy wcześniej nie byłem w Oksfordzie i cieszyłem się, że mogę zobaczyć to miasto słynące z uniwersytetu (najstarszego w krajach anglojęzycznych) i znane jako „miasto rozmarzonych iglic” ze względu na architekturę budynków-

uniwersyteckich. Po przejechaniu wielu długich, wąskich brukowanych uliczek w końcu dotarliśmy do celu.

Muzeum Historii Nauki, znajdujące się na Broad Street, jest najstarszym na świecie ocalałym budynkiem muzealnym wybudowanym właśnie do celów wystawienniczych. Ten powstały w 1683 roku obiekt był pierwszym na świecie muzeum otwartym dla zwiedzających. Wśród zbiorów liczących około 15 tysięcy eksponatów, których pochodzenie datuje się od starożytności do wczesnego XX wieku, muzeum ma bogaty zbiór wczesnych instrumentów matematycznych używanych do wyliczeń, astronomii, nawigacji, geodezji i rysunku.

Gdy wjeżdżaliśmy na parking naprzeciw muzeum, zobaczyliśmy pracowników, dziennikarzy, kamerzystów i organizatorów akcji dobroczynnej czekających na nas przed budynkiem. Simon, menedżer fundraisingu z organizacji, podszedł, gdy wysiadaliśmy z samochodu, energicznie uścisnął mi dłoń i zapytał, jak się czuję. Odpowiedziałem, że dobrze. Przedstawiono mnie innym ludziom, którzy na mnie czekali, a następnie poproszono, bym usiadł na schodach budynku i pozwolił zrobić sobie kilka zdjęć. Schody były zimne i wilgotne, jednak starałem się za bardzo nie wiercić.

Sala, w której miałem recytować cyfry, była długa i zakurzona, od ściany do ściany wypełniały ją szklane gabloty z różnymi eksponatami. Z jednej strony pod ścianą stały mały stół i krzesło, gdzie miałem siedzieć. Z tego miejsca miałem bezpośredni widok na tablicę Einsteina, znajdującą się na przeciwległej ścianie. Niedaleko od mojego stolika stał dłuższy stół, na którym leżały kartki papieru wypełnione cyframi oraz zegar cyfrowy. Przy stole siedzieli pracownicy wydziału nauk matematycznych pobliskiego uniwersytetu Oxford Brookes, którzy zgłosili się na ochotnika, by mnie sprawdzać. Mieli nadzorować moje wyliczanie i dopilnować absolutnej dokładności, śledząc cyfry na kartkach leżących przed nimi w czasie głośnej recytacji. Czas miał ruszyć na początku recytacji, aby ludzie, którzy przyszli popatrzeć, mogli widzieć, jak długo wyliczam. Wydarzenie zostało opisane w lokalnej prasie, a przed budynkiem muzeum rozwieszono plakaty, by zachęcić przechodniów do wstąpienia do środka, gdzie czekali

pracownicy organizacji dobroczynnej z ulotkami informacyjnymi i puszkami na datki.

Neil wciąż był spięty tak bardzo, że aż było mu niedobrze, ale ani myślał wychodzić z sali, chciał mnie wspierać, a jego obecność zdecydowanie dodawała mi otuchy. Po pozowaniu do jeszcze kilku zdjęć w sali usiadłem na przygotowanym dla mnie krześle i położyłem na stole kilka rzeczy, które ze sobą przyniosłem. Czekwały tam na mnie butelki z wodą, bym mógł się napić, gdy zaschnie mi w gardle, oraz czekolada i banany, które miały dodać mi energii w czasie recytacji. Gdy Simon poprosił o ciszę, byłem gotowy, więc włączył zegar pięć po jedenastej.

W ten oto sposób zacząłem recytować dobrze mi już znane początkowe cyfry liczby pi, a liczbowe pejzaże w mojej głowie rosły i zmieniały się w miarę wyliczania. Recytowałem, a kontrolerzy wykreślali na kartkach każdą poprawnie wymienioną cyfrę. W sali panowała prawie absolutna cisza, z wyjątkiem sporadycznych stłumionych pokasływań i odgłosu kroków, gdy ktoś przechodził z jednej strony sali na drugą. Hałasy mi nie przeszkadzały, ponieważ w miarę recytowania czułem, że pochłania mnie wizualny przepływ kolorów i kształtów, faktur i ruchu, aż spowióły mnie moje liczbowe pejzaże. Recytowałem niemal melodyjnie, jako że każdy mój oddech wypełniała cyfra po cyfrze, cyfra po cyfrze. Wtedy nagle zdałem sobie sprawę, że jestem zupełnie spokojny, tak jak w moim śnie poprzedniej nocy. Wyliczenie pierwszego tysiąca cyfr zajęło mi nieco ponad dziesięć minut. Otworzyłem jedną z butelek i napiłem się wody, a potem wróciłem do recytowania.

Stopniowo sala zaczęła wypełniać się ludźmi – stali kilka metrów ode mnie i w milczeniu patrzyli, jak recytuję. Mimo że najbardziej martwiłem się o wyliczanie cyfr liczby pi przed takim tłumem ludzi, to ostatecznie prawie wcale ich nie dostrzegałem, ponieważ moje myśli pochłonięte były rytmicznym i nieprzerwanym potokiem cyfr. Pamiętam tylko jeden incydent, który poważnie mi przeszkodził – komuś zadzwonił telefon komórkowy. W tym momencie przerwałem recytowanie i czekałem, aż hałas ucichnie, by kontynuować.

Zasady mówiły, że nie mogę rozmawiać ani kontaktować się z nikim w czasie wyliczania. Dozwolone były krótkie, wcześniej ustalone przerwy, w czasie których jadłem czekoladę lub banana. By nie stracić koncentracji w czasie przerw, chodziłem po sali w tę i z powrotem, do przodu i do tyłu za moim krzesłem, z opuszczoną głową i wzrokiem wbitym w podłogę, unikając spojrzeń widzów. Ciągłe siedzenie na krześle w czasie recytowania okazało się dla mnie trudniejsze, niż przypuszczałem, ponieważ zwykle strasznie się wiercę. W czasie wyliczania cyfr kręciłem głową, przykrywałem ją rękami lub łagodnie kołysałem się z zamkniętymi oczami.

Piętnaście po pierwszej, nieco ponad dwie godziny po rozpoczęciu recytacji, doszedłem do 10 000 cyfr. Godziny mijały, a ja czułem się coraz bardziej zmęczony i widziałem, że im bardziej ogarnia mnie znużenie, tym bardziej wizualne pejzaże w mojej głowie się zamazują. Przed tym wydarzeniem nigdy nie recytowałem wszystkich cyfr nieprzerwanie za jednym razem i teraz miałem nadzieję, że nie będę tak zmęczony, żeby nie móc skończyć.

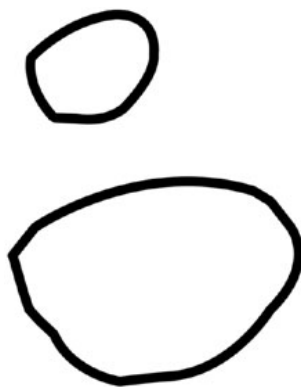
Ostatecznie był tylko jeden moment, gdy myślałem, że mogę nie być w stanie dotrzeć do końca. Po wyliczeniu 16 600 cyfr przez chwilę miałem w głowie pustkę: żadnych kształtów, kolorów, faktur, nic. Nigdy wcześniej nie doświadczyłem czegoś takiego, czułem się, jak gdybym patrzył w czarną dziurę. Mocno zacisnąłem oczy, wziąłem kilka głębokich wdechów, poczułem w głowie mrowienie i z ciemności zaczęły wyłaniać się kolory, a ja kontynuowałem recytowanie.

Po południu wreszcie zacząłem zbliżać się do końca mojej liczbowej podróży. Byłem wyczerpany po pięciu godzinach i cieszyłem się, że koniec już blisko. Czułem, jak gdybym przebiegł maraton w swojej głowie. Dokładnie kwadrans po czwartej drżącym z ulgi głosem wyrecytowałem ostatnie cyfry: „67657486953587” i dałem znak, że skończyłem. Wyrecytowałem 22 514 cyfr liczby pi bez błędów w czasie pięciu godzin i dziewięciu minut, ustanawiając nowy rekord Wielkiej Brytanii i Europy. Wśród widzów wybuchły głośne oklaski, a Simon podbiegł do mnie i niespodziewanie mnie uściskał. Gdy podziękowałem kontrolerom za nadzorowanie recytacji, poproszono mnie, bym wyszedł na zewnątrz, gdzie

miałem pozować do kolejnych zdjęć i wypić swoją pierwszą w życiu lampkę szampana.

Zainteresowanie mediów moim wyczynem było fenomenalne i przeszło najśmielsze oczekiwania organizacji dobroczynnej i moje. W ciągu kolejnych tygodni udzielałem wywiadów różnym gazetom i stacjom radiowym, łącznie z BBC World Service i stacjami z tak dalekich miejsc jak Kanada czy Australia.

Jednym z najczęstszych pytań, które zadawano mi w czasie tych wywiadów, było: Po co uczyć się tak wielu cyfr liczby takiej jak pi? Moja odpowiedź brzmiała i brzmi, że dla mnie pi jest niesamowicie pięknym i zupełnie niepowtarzalnym zjawiskiem. Podobnie jak *Mona Lisa* czy symfonia Mozarta, pi sama w sobie jest powodem, by ją kochać.



Spotkanie z Kimem Peekiem

W potoku artykułów prasowych i wywiadów radiowych, które nadeszły po moim sukcesie w pobijaniu rekordu liczby pi, otrzymałem ofertę od poważnego brytyjskiego kanału telewizyjnego – chciano nagrać godzinny program dokumentalny o mojej historii. Film miał być wyświetlany w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych rok później. Twórcy programu byli pod wrażeniem relacji filmowej z mojego wyczynu w Oksfordzie, a szczególnie moich zdolności radzenia sobie z publicznością i zainteresowaniem mediów. Planowali, że później tego samego roku pojadą do Ameryki filmować Kima Peeka, sawanta, który był rzeczywistym pierwowzorem bohatera filmu *Rain Man*. Uważali, że dzięki zdolności wyrażania doświadczeń sawanta jestem przystępnym kandydatem na bohatera programu. Oprócz spotkania twarzą w twarz z Kimem Peekiem miałem mieć również możliwość poznania najbardziej znanych naukowców i badaczy zajmujących się syndromem sawanta, zarówno w Stanach, jak i w Wielkiej Brytanii. Brzmiało tak jak życiowa szansa.

Przyjąłem propozycję, choć byłem bardzo niespokojny. Od pięciu lat nie wyjeżdżałem z Wielkiej Brytanii (prawie nie opuszczałem miasta, w którym mieszkałem), więc perspektywa kilku tygodni poza domem,

spędzonych na podróżowaniu i filmowaniu, nie była dla mnie zachęcająca. Martwiłem się, czy poradzę sobie z napiętym planem podróży bez swojej zwykłej rutyny i rytuałów liczeniowych. Nigdy wcześniej nie byłem w Ameryce (choć potrafię wymienić daty, drugie imiona i przynależność partyjną każdego prezydenta począwszy od McKinleya) i nie wiedziałem, czy mi się tam spodoba – co jeśli jest zbyt wielka, zbyt krzykliwa i zbyt hałaśliwa dla mnie? Co jeśli poczuję się przytłoczony i spanikuję w tym ogromnym kraju, który jest oddzielony od domu całym oceanem?

Moją rodzinę, Neila i mnie najbardziej martwiła myśl o konieczności ciągłego przemieszczania się, z dnia na dzień. Wspierali mnie, lecz nalegali, bym omówił sprawę z ekipą filmową. W rozmowach członkowie ekipy zapewnili mnie, że dopilnują, abym nigdy nie był pozostawiony sam w miejscach publicznych (gdzie mogę się zgubić) i że kamera nie będzie natarczywa, lecz będzie rejestrowała bieg wydarzeń.

Plan ustalony przez zespół był ambitny: mieliśmy poruszać się zygzakiem od wybrzeża do wybrzeża przez dwa tygodnie, zatrzymując się w tak różnorodnych miejscach jak San Diego, Kalifornia i Salt Lake City w stanie Utah. Twórcy programu szybko stworzyli roboczy tytuł *Brainman* – aluzja do filmu z Dustinem Hoffmanem – który na początku mi się nie podobał, ale z czasem go zaakceptowałem.

Po raz pierwszy spotkałem się z zespołem tydzień przed wyjazdem w czerwcu 2004 roku. Byli dla mnie bardzo życzliwi i pomogli mi się rozluźnić. Kamerzysta, Toby, miał tyle lat co ja. Wszyscy byli podekscytowani – dla ekipy był to zupełnie inny rodzaj programu i nie do końca wiedzieli, czego się spodziewać. Ja również byłem podekscytowany, częściowo dlatego, że oni tak się czuli, a ja przejmuję wiele bodźców emocjonalnych z działania i reakcji ludzi, którzy mnie otaczają. Czułem się też szczęśliwy – zaczynała się nowa przygoda.

Wieczorem przed odlotem skończyłem się pakować: kurtka, dwie pary butów, cztery swetry, sześć par szortów i spodni, osiem koszulek, jedenaście par skarpet i bielizny, nowa tubka pasty do zębów, elektryczna szczoteczka do zębów, mleczko do twarzy, olejki eteryczne, żel pod prysznic i szampon. Neil kupił mi telefon komórkowy, byśmy byli

w kontakcie, gdy wyjadę. Praca nie pozwalała mu na wyjazd ze mną. Trzymałem telefon w prawej kieszeni, a paszport, bilet i portfel w lewej.

Neil zawiózł mnie na lotnisko i uściskał, zanim wszedłem do terminalu. Rozstawaliśmy się po raz pierwszy od trzech i pół roku. Jednak mimo to nie zdawałem sobie sprawy, że powinienem okazać jakieś emocje, więc ten uścisk mnie zaskoczył. W budynku terminalu było mnóstwo ludzi z bagażami. Poruszali się wokół mnie z każdej strony, powoli ogarniał mnie niepokój, więc zacząłem liczyć ludzi w kolejkach, by poczuć się lepiej. Ekipa była już na miejscu i w końcu udaliśmy się do poczekalni, a później wsiedliśmy na pokład samolotu.

Był to ciepły i słoneczny dzień, więc ze swojego miejsca patrzyłem, jak błękitne niebo znika pod chmurami, gdy samolot wzbija się coraz wyżej. Pilot powiadomił nas, że lot do międzynarodowego lotniska w Los Angeles będzie trwał jedenaście godzin. Za każdym razem, gdy ktoś podaje mi oszacowanie czasu, wizualizuję je w głowie jako długość ciasta rozwałkowanego na stole – to oznacza godzinę. Na przykład, mogę zrozumieć, ile będzie trwał trzydziestominutowy spacer, wyobrażając sobie kawałek ciasta rozwałkowany do połowy mojego mentalnego stołu. Jednak jedenaście godzin to był dla mnie niespotykany długi czas i nie potrafiłem go sobie wyobrazić. Wytrąciło mnie to z równowagi, więc mocno zacisnąłem oczy, a następnie powoli je otworzyłem i patrzyłem w dół na swoje stopy, aż poczułem się spokojniejszy.

Lubię przygotowywać się mentalnie do nadchodzących wydarzeń, ćwiczyć w głowie różne możliwości i permutacje, ponieważ jeśli coś dzieje się nagle lub niespodziewanie, wówczas czuję się niepewnie. Wiedziałem, że w którymś momencie w samolocie podejdzie do mnie steward i o coś zapyta (na przykład o to, co chcę zjeść), więc wyobraziłem sobie stewarda stojącego nade mną i mówiącego do mnie. W głowie wyobraziłem sobie, że jestem spokojny i odpowiadam bez trudności.

Bez przerwy dotykałem rękami kieszeni, sprawdzając po raz setny, czy telefon znajduje się w prawej, a paszport i portfel w lewej. Gdy usłyszałem turkot wózków zbliżających się do mojego fotela, stałem się napięty i czujny. Uważnie przysłuchiwałem się rozmowom stewardów z innymi

pasażerami, by wiedzieć, co steward może powiedzieć do mnie. Zdecydowałem się już, co wybiorę: potrawkę z kurczaka z kluseczkami. Wózek gładko podjechał i odjechał. A ja dobrze wybrałem.

W czasie lotu byłem zbyt niespokojny, by spać. Zamiast tego czytałem magazyn pokładowy i słuchałem muzyki, korzystając z plastikowych słuchawek, które mieliśmy do dyspozycji. Gdy w końcu podeszliśmy do lądowania, nie mogłem opanować wyraźnego poczucia sukcesu: dokonałem tego. Bolała mnie głowa, miałem zeszywniałe ręce i nogi, ale byłem w Ameryce.

Na zewnątrz było bezchmurnie i cieplej niż w Londynie. Czekałem, a reżyser zajmował się wynajęciem samochodu. Gdy auto się pojawiło, ekipa załadowała tył bagażami i mnóstwem pudełek z kamerą i sprzętem nagrywającym. Czułem się, jakbym obserwował grę w tetris. Po kilku próbach w końcu udało im się wszystko zmieścić. Pojechaliśmy do San Diego, gdzie zatrzymaliśmy się w hotelu nad morzem. Byłem wykończony i dowiedziałem się, że następnego dnia wstajemy wcześniej. W pokoju hotelowym metodycznie wyszczotkowałem zęby, umyłem twarz w zlewie, ochlapując ją wodą tyle razy, co zwykle (pięć), ustawiłem budzik na 4.30, położyłem się do łóżka i – natychmiast – zapadłem w głęboki sen.

Gdy budzik z wrzaskiem ożył, podskoczyłem i zakryłem uszy rękami. Bolała mnie głowa i nie byłem przyzwyczajony do dźwięku budzika. Jedną ręką po omacku znalazłem odpowiedni przycisk i w pokoju znów zapanowała cisza. Za oknem wciąż było ciemno. Szczotkowałem zęby równo dwie minuty i wziąłem prysznic. Nie podobało mi się to, że wszystko w pokoju było inne. Sitko natryskowe było większe, woda wydawała się cięższa, gdy spadała mi na głowę, a ręczniki miały dziwną fakturę. Wysuszyłem się i szybko wskoczyłem w swoje ubrania – przynajmniej one były w dotyku i wyglądzie takie, jak się spodziewałem. Pełen obaw powoli wyszedłem z pokoju i zszedłem po schodach do jadalni na dole. Zanim zacząłem jeść, czekałem, aż przyjdzie Toby, znajoma twarz. Zjadłem muffina i wypilem herbatę, a gdy wszyscy zeszli na dół i zjedli, załadowaliśmy się do samochodu i pojechaliśmy do dużego skupiska wysokich budynków z lśniącymi oknami. Mieliśmy spotkać się ze słynnym

neurologiem, profesorem Ramachandranem i jego zespołem w Kalifornijskim Centrum Studiów nad Mózgiem.

Gdy przyjechaliśmy, naukowcy wyszli, by nas powitać. Zaprowadzono nas do gabinetu profesora poprzez korytarze rozświetlone jasnym słonecznym światłem, które wpadało przez okna pokrywające całą jedną stronę. Gabinet był duży, ciemniejszy niż prowadzące do niego korytarze, jego ściany wypełniały zbite rzędy książek. Znajdował się tam ciężki stół, na którym stały plastikowe modele mózgu i leżały niezliczone kartki papieru. Wskazano mi krzesło naprzeciw profesora i jednego z członków jego zespołu.

Profesor mówił grzmiącym głosem. Właściwie wszystko w nim wydawało się w pewnym sensie głośnie – duże, okrągłe oczy, gęste, kręcone czarne włosy i wąsy. Pamiętam, że myślałem o tym, jak duże wydawały mi się jego wyciągnięte ręce. Entuzjazm profesora był ewidentny i w pewien sposób pomógł mi się uspokoić. Byłem zdenerwowany, ale czułem też dreszcz podniecenia.

Poproszono mnie o wykonanie w pamięci pewnych obliczeń, podczas gdy asystent profesora sprawdzał moje odpowiedzi na kalkulatorze. Wciąż bolała mnie głowa po podróży, ale na szczęście mimo to potrafiłem wykonać obliczenia, o które prosili mnie naukowcy. Następnie przeczytali na głos listę liczb i poprosili, bym przy każdej określił, czy jest liczbą pierwszą, czy nie. Wszystkie określiłem prawidłowo. Wyjaśniłem, w jaki sposób widzę liczby jako kolory, kształty i faktury. Profesor wydawał się zaintrygowany i zainteresowany.

W czasie lunchu asystent profesora, młody człowiek o imieniu Shai, z kruczoczarnymi włosami i dużymi okrągłymi oczami, podobnymi do oczu profesora, zaprowadził mnie do stołówki w kampusie centrum. Shai był zafascynowany tym, jak widzę liczby, oraz różnymi obliczeniami, które wykonywałem w pamięci. Później wezwano mnie do innego pokoju, gdzie spotkałem kolejnego członka zespołu profesora Ramachandrana, Eda. Shai i Ed chcieli wiedzieć więcej o moich poszczególnych doświadczeniach wizualnych związanych z różnymi liczbami. Ciężko mi było znaleźć słowa na ich opisanie, więc wziąłem flamaster i na białej tablicy zacząłem

rysować kształty liczb, o które pytali. Badacze byli zaszokowani. Nie podejrzewali, że moje doświadczenia były tak złożone, jak się okazało, ani że będę w stanie zademonstrować je tak szczegółowo.

Reakcja naukowców zdziwiła wszystkich. Poprosili reżysera o więcej czasu, by przestudiować niektóre z moich szczególnych umiejętności oraz moje wizualne doświadczenie liczb. Reżyser zadzwonił do producenta w Londynie i ten wyraził zgodę.

Następnego dnia, przy włączonych kamerach, poproszono mnie, bym powrócił do swoich opisów i rysunków różnych liczb z poprzedniego dnia. Podeszedłem do tablicy i stopniowo zapełniłem ją rysunkami i obrazkami.- Przedstawiłem na nich, jak widzę rozmaite liczby oraz jak wykonuję w pamięci obliczenia za pomocą synestezyjnych kształtów. Poproszono mnie nawet, bym z ciastoliny wykonał modele niektórych liczb.

Następnie badacze poprosili, bym patrzył w ekran komputera wypełniony cyframi liczby pi, podczas gdy moje palce podłączono do aparatu do pomiaru reakcji skórno-galwanicznej. W sekrecie naukowcy zastąpili dziewiątki szóstkami w losowych miejscach w serii cyfr i ciekawiło ich, czy zmiany będą miały jakiś wpływ na odczyt aparatu. Gdy patrzyłem na cyfry na ekranie, poczułem się niekomfortowo i robiłem wiele grymasów, ponieważ widziałem, że fragmenty moich liczbowych pejzaży rozpadły się, jak gdyby ktoś je zdewastował. Odczyt aparatu pokazał znaczne wahania, wykazując, że zmienione cyfry wywołały u mnie reakcję fizjologiczną. Naukowcy, a szczególnie Shai, byli zafascynowani.

Czasem ludzie pytają mnie, czy nie przeszkadza mi, że jestem królikiem doświadczalnym dla naukowców. Nie mam z tym żadnego problemu, ponieważ wiem, że pomagam im zrozumieć ludzki mózg, z czego skorzystają wszyscy ludzie. Cieszy mnie też to, że dowiaduję się więcej o sobie samym oraz sposobie, w jaki pracuje mój mózg.

Gdy mój czas z naukowcami, zorganizowany teraz według jeszcze bardziej napiętego planu, szybko zbliżał się ku końcowi, Shai zapytał, czy może zabrać mnie na pobliskie klify, by popatrzeć na morze i szybowce unoszące się nad nim. Chciał spędzić ze mną trochę czasu z dala od ekipy i kamer. Spacerowaliśmy razem wzdłuż klifów, a on pytał o moje uczucia

względem różnych liczb i zapisywał to, co mówiłem, w notesie, który zabrał specjalnie do tego celu. Wydawało się, że moje odpowiedzi jeszcze bardziej go ekscytują. „Czy wiesz, że dla naukowców jesteś szansą, która zdarza się raz w życiu?” – zapytał rzeczowo, ale nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Polubiłem Shaia i obiecałem utrzymywać z nim kontakt – do dziś piszemy do siebie e-maile.

Naszym kolejnym przystankiem było Las Vegas, „Miasto Marzeń” w stanie Nevada i niekwestionowane centrum świata hazardu. Twórcy programu bardzo chcieli przedstawić niektóre z moich zdolności w „niefrasobliwy” telewizyjny sposób i to właśnie był ten moment, zapożyczony ze słynnej sceny z filmu *Rain Man*.

Miałem mieszane uczucia odnośnie do tej proponowanej przez twórców sceny. Ostatnia rzecz, której pragnąłem, to trywializowanie moich zdolności mające ugruntować błędny stereotyp, że wszyscy autyści są jak bohater filmu *Rain Man*. Jednak równocześnie rozumiałem, że program potrzebował zabawnych i widowiskowych scen, które przeplatałyby się z poważniejszymi naukowymi fragmentami. Lubiłem grać w karty z przyjaciółmi, ale nigdy w życiu nie wszedłem do kasyna. Byłem na tyle ciekawy, że dałem się przekonać.

Powietrze w Nevadzie było niewiarygodnie gorące, jak gdyby ktoś włączył na pełne obroty suszarkę do włosów i nieprzerwanie dmuchał nią człowiekowi prosto w twarz. Nawet w lekkiej bawełnianej koszulce i szortach szybko zlałem się potem, gdy czekaliśmy na wynajęty samochód, który miał zawieźć nas do kolejnego hotelu. Na szczęście podróż nie trwała długo i wszyscy z wdzięcznością powitaliśmy klimatyzację w hotelowym hallu. Ogromne jaskrawe budynki, które mijaliśmy, przyprawiały mnie o mdłości, więc poczułem ogromną ulgę.

Widok, który przywitał nas po przybyciu do hotelowej recepcji, szybko ostudził jakikolwiek entuzjazm. Producent, napotkawszy ogromne trudności ze znalezieniem kasyna, które zgodziłoby się wpuścić kamery telewizyjne, ostatecznie zdecydował się na placówkę w centrum miasta. Było to kasyno o wiele mniejsze od swych bardziej znanych kuzynów i z entuzjazmem przyjęło nasz pomysł, a nawet zapewniło nam pokoje bez

opłaty. Jednak nasze pierwsze wrażenia nie należały do pozytywnych. Dywan był brudny, a w całym hallu unosił się nieświeży zapach. Sytuacji nie poprawił fakt, że zorganizowanie nam pokoi zajęło obsłudze dużo czasu, ponad godzinę.

Kiedy jednak dostaliśmy klucze, ku naszemu zaskoczeniu okazało się, że pokoje są przestronne i wygodne. Gdy zapadła noc, wsiedliśmy do samochodu i ekipa filmowała przejażdżkę wzdłuż słynnej ulicy handlowo-rozrywkowej w Vegas, ze wszystkich stron lśniącej oślepiającymi światłami kasyn. Mocno ścisnąłem ręce i czułem, jak moje ciało staje się spięte i sztywne w niekomfortowym otoczeniu tak wielu stymulujących wrażeń. Na szczęście przejażdżka nie trwała długo. Zjedliśmy wspólnie posiłek w pobliskiej restauracji i wcześniej poszliśmy spać.

Następnego ranka ekipa przez długi czas instalowała się w cichym zakątku przy stołach do blackjacka, zanim po mnie przyszli. Zarząd kasyna dostarczył nam dużo żetonów, „wirtualnych pieniędzy”, byśmy wykorzystali je w kręconych scenach. Poznałem właściciela kasyna i przedstawiono mnie krupierce, która szybko wyjaśniła mi zasady gry.

Blackjack jest jedną z najpopularniejszych karcianych gier hazardowych, znaną również jako *vingt-et-un* lub dwadzieścia jeden. Gra polega na tym, by do każdego rozdania postawić zakład czy gracz pokona karty krupiera swoimi kartami, przy czym ich wartość nie może przekroczyć dwudziestu jeden. As może mieć wartość zarówno jeden, jak i jedenaście, a figury (walety, damy i króle) mają wartość dziesięć.

Na początku każdego rozdania gracze stawiają zakłady, a następnie krupier rozdaje po dwie karty każdemu graczowi i sobie. Jedna z kart krupiera pozostaje zakryta. Jeśli ktoś ma figurę i asa, to jest to blackjack i ta osoba natychmiast wygrywa. W innym wypadku krupier daje każdemu graczowi do wyboru: dobrać kartę (hit) lub czekać ze swoimi kartami (stand). Jeśli gracz przekroczy dwadzieścia jeden, przegrywa (bust). Gdy gracze podejmą już decyzję, krupier odwraca zakrytą kartę i decyduje, czy dobierać kartę. Jeśli ma mniej niż siedemnaście oczek, musi dobrać kartę lub karty, aż osiągnie co najmniej siedemnaście. Jeśli krupier przegrywa, wszyscy pozostali gracze wygrywają.

Liczenie kart jest bardzo popularne w blackjacku i polega na tym, że gracz śledzi sekwencję kart, starając się zdobyć małą przewagę nad krupierem i podnosi zakład, gdy obliczenia są dla niego korzystne (na przykład, gdy w talii pozostało wiele figur), a w przeciwnej sytuacji obniża. W swojej najprostszej postaci liczenie kart oznacza przypisywanie każdej karcie pozytywnej lub negatywnej wartości – karty o niskiej wartości, jak 2 i 3, otrzymują wartość pozytywną, a dziesiątki negatywną. Następnie liczący prowadzi w głowie ciągły rejestr wartości kart w miarę ich rozdawania i regularnie zestawia go z ogólnym rachunkiem, biorąc pod uwagę przybliżoną liczbę kart, które jeszcze nie zostały wyłożone.

Liczenie kart nie jest proste i nawet bardzo utalentowani praktycy dzięki tej metodzie zwiększają swoje szanse jedynie mniej więcej o jeden procent. Kasyna często zakazują wstępu osobom, które podejrzewają o liczenie kart na stołach. Na naszym stole w podajniku do kart było osiem talii, czyli grało się 416 kartami – ta liczba była wystarczająco duża, by zminimalizować wszelką możliwą przewagę wynikającą z liczenia.

Kasyno to głośnie środowisko gry i wcale nie sprzyja koncentracji, więc jednym z największych wyzwań była dla mnie próba skupienia się. Siedząc naprzeciw krupierki, skoncentrowałem się na taliach kart, w skupieniu obserwując, jak były pojedynczo otwierane, tasowane i układane w podajniku przed rozpoczęciem gry. Otaczające mnie kamery przyciągały gapiów, więc wkrótce moją grę obserwował tłum ludzi.

Miałem grać przez określony wcześniej czas. Kasyno specjalnie zarezerwowało stół tak, żebym był jedynym graczem. Byłem tylko ja przeciw krupierce. Chcąc wczuć się w grę, zacząłem od prostych osądów na podstawie kart pojawiających się w każdym rozdaniu: będę czekał, jeśli dostanę 10 i 8, a dobiore kartę, jeśli dostanę 3 i 9 (z wyjątkiem sytuacji, gdy krupier pokaże 4, 5 lub 6, kiedy to będę czekał) – jest to technika zwana strategią podstawową.

Nawet jeśli gracz optymalnie stosuje strategię podstawową, krupier wciąż ma statystyczną przewagę. Z czasem mój zapas żetonów topniał. Wyczucie gry miałem jednak o wiele lepsze niż na początku – podejmowałem decyzje szybciej i czułem się pewniej przy stole. Nagle

zdecydowałem, że będę grać instynktownie, polegając na przepływie liczb, który widziałem w głowie jako falisty wizualny pejzaż ze wzniesieniami i dolinami. Gdy w moim mentalnym pejzażu liczbowym pojawiał się szczyt, robiłem zakłady bardziej agresywnie niż wtedy, gdy widziałem dolinę.

Coś się zmieniło, zacząłem wygrywać coraz więcej indywidualnych rozdań. Rozluźniłem się i gra zaczęła mi sprawiać coraz więcej przyjemności. W kluczowym momencie dostałem dwie 7, a krupierka pokazała 10. Strategia podstawowa mówi, by dobierać. Zamiast tego zdałem się na swój instynkt i rozdwoiłem karty, podwajając początkowy zakład. Krupierka wyciągnęła trzecią kartę, którą również była 7. Poprosiłem o rozdwojenie tej 7. Krupierka była zaskoczona – to bardzo niespotykana gra przeciw 10 krupiera. Karty zostały rozdwojone, więc miałem teraz trzy rozdania 7, a mój początkowy zakład był potrojony, przeciw 10. Stojący za mną tłum gapiów głośno wyrażał dezaprobatę. Jakiś mężczyzna powiedział na głos: „Co on wyprawia, podwajając siódemki przeciw dziesiątce?”. Krupierka dalej rozdawała kolejne karty na każdą z trzech 7 – pierwsza suma wyniosła dwadzieścia jeden. Następnie więcej kart na drugie rozdanie: znowu dwadzieścia jeden. W końcu trzecia siódemka i jeszcze raz wygrywająca suma dwadzieścia jeden. Trzy razy pod rząd dwadzieścia jeden w jednym rozdaniu przeciw krupierce. Za jednym zamachem odrobiłem swoje straty i pokonałem kasyno.

Mimo wszystko cieszyłem się, że wyjeżdżam z Las Vegas. Było tam zbyt gorąco, zbyt dużo ludzi i zbyt wiele błyskających świateł. Swobodnie poczułem się tylko raz – wśród kart. Coraz bardziej tęskniłem za domem i po powrocie do hotelu zadzwoniłem z pokoju do Neila, wybuchając płaczem na dźwięk jego głosu. Powiedział mi, że dobrze sobie radzę i powinienem tak trzymać. Był ze mnie dumny. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że najważniejsze i najbardziej wyjątkowe wydarzenie całej podróży jeszcze jest przede mną.

Następnego dnia poleciliśmy do Salt Lake City, stolicy stanu Utah i kolebki religii mormonów. Z hotelu pojechaliśmy do położonej niedaleko biblioteki publicznej. Budynek był niesamowity: sześciopiętrowe wygięte

przezroczyste ściany na powierzchni ponad 22 tysięcy metrów kwadratowych, w których mieściło się ponad pół miliona książek, ze sklepami i punktami usługowymi na parterze, czytelniami powyżej oraz audytorium na 300 osób. Pałam wierną miłością do książek i przepełniają mnie wspomnienia lat spędzonych na codziennym czytaniu godzinami w małych lokalnych bibliotekach, więc ta biblioteka wydawała mi się rajem.

Ogromna przestrzeń była przesycona światłem słonecznym i poczułem w sobie znajome mrowienie spokoju. Biblioteki zawsze potrafiły mnie uspokoić. Nie było tam tłumów, tylko małe grupki ludzi czytających lub przechadzających się między półkami czy stołami. Nie było nagłych wybuchów hałasu, tylko łagodny szelest przewracanych kartek lub kameralne rozmowy między przyjaciółmi i znajomymi. Nigdy wcześniej nie widziałem ani nie odwiedziłem takiej biblioteki – naprawdę wydawała mi się zaczarowanym pałacem z bajki.

Poproszono mnie, bym usiadł na ławce na parterze i poczekał, więc liczyłem rzędy książek i ludzi, którzy mijali mnie w ciszy. Mógłbym tam siedzieć godzinami. Przyszedł po mnie reżyser i wjechaliśmy windą na drugie piętro. Tam jak okiem sięgnąć ciągnęły się rzędy książek. Wtedy podszedł do mnie starszy mężczyzna i uścisnął moją dłoń. Przedstawił się jako Fran Peek, ojciec i pełnoetatowy opiekun swojego syna, Kima.

Kim Peek jest cudem. Gdy urodził się w 1951 roku, lekarze powiedzieli jego rodzicom, że dziecko nigdy będzie w stanie chodzić ani się uczyć i że powinni umieścić je w zakładzie. Kim urodził się z powiększoną głową, a w jego czaszce znajdował się wypełniony wodą pęcherz, który uszkodził lewą półkulę mózgową, czyli część mózgu odpowiedzialną za tak kluczowe funkcje jak mowa. W 1988 roku naukowcy prześwietlili mózg Kima i okazało się, że nie ma spoidła wielkiego, czyli błony oddzielającej obie półkule. Jednak gdy miał szesnaście miesięcy, nauczył się czytać, a w wieku czternastu lat skończył przerabianie programu szkoły średniej.

Przez lata Kim zapamiętał ogromną ilość informacji z ponad tuzina dziedzin, począwszy od historii i dat do literatury, sportu, geografii i muzyki. Potrafi jednocześnie czytać dwie strony w książce, każdą jednym

okiem, niemal doskonale wszystko zapamiętując. Kim przeczytał w sumie ponad dziewięć tysięcy książek i pamięta całą ich treść. Ma również duży talent do obliczeń kalendarzowych.

W 1984 roku Kim i jego ojciec spotkali się ze scenarzystą Barrym Morrowem w czasie konferencji amerykańskiego Stowarzyszenia na rzecz Osób z Upośledzeniem Umysłowym (Association of Retarded Citizens) w Arlington w Teksasie. Owocem tego spotkania był film *Rain Man*. Dustin Hoffman spędził dzień z Kimem i jego zdolności wzbudziły w nim taki podziw, że zaczął namawiać Frana, by pokazał syna światu. Od tego czasu Kim i jego ojciec przemierzali Stany Zjednoczone wzdłuż i wszerz i rozmawiali z ponad milionem osób.

To była chwila, na którą długo czekałem – po raz pierwszy w życiu miałem się spotkać i rozmawiać z innym sawantem. Fran powiedział swojemu synowi, kim jestem i dlaczego chcemy się z nimi spotkać. Wybór miejskiej biblioteki publicznej na miejsce spotkania był zupełnie oczywisty, ponieważ zarówno dla Kima, jak i dla mnie biblioteki są miejscem szczególnym, pełnym ciszy, światła, przestrzeni i porządku.

Po spotkaniu z Franem przedstawiono mnie Kimowi. Stojący blisko ojca Kim był przysadzystym człowiekiem w średnim wieku z czupryną siwiejących włosów, miał przeszywające, dociekliwe oczy. Szybko chwycił mnie za ręce i stanął bardzo blisko mnie. „Podaj mu swoją datę urodzenia” – zasugerował Fran. „31 stycznia 1979 roku”, powiedziałem. „Twoje sześćdziesiąte piąte urodziny wypadną w sobotę” – odpowiedział Kim. Potaknąłem i zapytałem o jego datę urodzenia. „11 listopada 1951 roku” – brzmiała odpowiedź. Uśmiechnąłem się szeroko: „Urodziłeś się w niedzielę!”. Twarz Kima rozświeciła się i wiedziałem, że między nami pojawiła się więź.

Fran miał dla mnie niespodziankę: statuetkę Oscara, którą otrzymał scenarzysta *Rain Mana*, Barry Morrow, i wspaniałomyślnie podarował Peekom, by towarzyszyła im w czasie ich podróży z przemówieniami. Trzymałem statuetkę ostrożnie obiema rękami – była o wiele cięższa, niż na to wyglądała. Poproszono mnie, bym usiadł z Franem i porozmawiał o dzieciństwie Kima, więc przeszliśmy do zakątka z wygodnymi

skórzanymi fotelami i usiedliśmy, podczas gdy Kim zajął się książką, którą dano mu do czytania. Fran mówił z pasją o reakcji lekarzy na problemy jego małego syna: „Powiedziano nam, byśmy oddali go do zakładu i zapomnieli o nim”. Pewien neurochirurg zaproponował nawet, że podda Kima lobotomii, by ułatwić umieszczenie go w zakładzie.

Chciałem dowiedzieć się więcej o obecnym życiu Kima, więc poprosiłem Frana, by opisał jeden typowy dzień. „Każdego ranka Kim rozmawia przez telefon z matką, codziennie przychodzi tu i czyta przez kilka godzin. Wiezorami odwiedzamy naszą starszą sąsiadkę. Kim jej czyta”.

Zapytałem o podróże, podczas których Kim się wypowiada. „Zawsze podróżujemy razem i nigdy nie prosimy o pieniądze. Odwiedzamy takie miejsca jak szkoły, uczelnie wyższe i szpitale. Kim potrafi powiedzieć im prawie wszystko, co chcą wiedzieć: daty, nazwiska, dane statystyczne, kody pocztowe, cokolwiek sobie zażyczą. Publiczność zadaje mu najróżniejsze pytania, a on zawsze podaje wiele informacji. Czasem nawet nie przypuszczam, że on to wie. Prawie nigdy się nie zdarza, że nie potrafi odpowiedzieć. Jego przesłanie brzmi: »Nie musisz być upośledzony, by być inny, ponieważ każdy jest inny«”.

Zakończyliśmy rozmowę i mogłem pospacerować sam z Kimem wśród bibliotecznych półek. Gdy szliśmy, Kim trzymał mnie za rękę. „Daniel, jesteś sawantem, jak ja”, powiedział podekscytowany i ścisnął moją dłoń. Gdy przechadzaliśmy się wśród półek, zauważyłem, że Kim zatrzymywał się na chwilę, brał z półki jakąś książkę, przerzucał kilka stron, jak gdyby już znał treść, i odstawiał ją na miejsce. Czasem mruczał na głos nazwisko lub datę, gdy czytał. Każda książka była literaturą faktu – powieści zdawały się go nie interesować. Była to kolejna rzecz, która nas łączyła.

„Kim, co najbardziej lubisz tu robić?” – zapytałem, a on bez słowa zaprowadził mnie do działu, w którym znajdowały się rzędy grubych książek oprawionych w czerwoną skórę. Były to książki telefoniczne dla wszystkich miast zespołu miejskiego Salt Lake City. Kim zdjął jedną z półki i usiadł przy pobliskim stoliku. Miał przy sobie notes i długopis, skopiował kilka nazwisk i numerów z książki do notesu. Przyglądałem mu

się i zapytałem, czy też lubi liczby. Wolno skinął głową, pochłonięty swoimi notatkami.

Siedziałem z Kimem i przypominałem sobie, jak Fran powiedział mi, że jego syn lubi, gdy zadaje się mu pytania związane z datami i postaciami historycznymi. Historia była jednym z jego ulubionych tematów. „W którym roku Wiktoria została królową Anglii?” – zapytałem. „W 1837” – odpowiedział natychmiast Kim. „Ile lat miałby Winston Churchill, gdyby żył obecnie?” „130”. „A na jaki dzień tygodnia przypadłyby jego urodziny w tym roku?” „To byłby wtorek, ostatni dzień listopada”.

Pod nadzorem Frana i ekipy filmowej zabrano nas na parter biblioteki, gdzie Kim wskazywał na rozmaite rzędy regałów i wyjaśniał, jakie książki się na nich znajdują. Wyszliśmy na zewnątrz, na jasne popołudniowe słońce, i zatrzymaliśmy się, a Kim znowu ścisnął moje dłonie w swoich. Stojąc blisko mnie, spojrzał mi w oczy i powiedział: „Pewnego dnia staniesz się tak wielki jak ja”. Był to największy komplement, jaki kiedykolwiek otrzymałem.

Umówiłem się z Kimem i Franem na kolację w miejscowej restauracji na wieczór tego dnia. Kim opowiadał o swoich wspomnieniach ze spotkania z Dustinem Hoffmanem i o tym, jak Hoffman był zdziwiony jego zdolnościami i ciepłym charakterem. Ojciec i syn podkreślali, jak ważne jest dalsze dzielenie się z jak największą liczbą ludzi zdolnościami Kima i przekazywanie im jego przesłania, by szanować odmienność.

Bardzo niechętnie rozstawaliśmy się z Kimem i Franem w Salt Lake City. Każdy członek ekipy opowiadał, jak wiele wyniósł ze spotkania z ojcem i synem. Ich historia bezwarunkowej miłości, poświęcenia i wytrwałości wbrew przeciwnościom losu była niesamowicie inspirująca. Dla mnie było to po prostu niezapomniane przeżycie. Kim uświadomił mi, jakie miałem szczęście, że mimo problemów jestem w stanie prowadzić samodzielne życie, które dla niego było nieosiągalne. Cieszyłem się również, że znalazłem osobę, która kochała książki, fakty i liczby tak samo jak ja.

Gdy lecieliśmy do domu, rozmyślałem o kilku rzeczach. Mieliśmy z Kimem wiele wspólnego, ale najważniejsze było poczucie łączności,

którego według mnie obaj doświadczyliśmy w czasie naszego spotkania. Pod wieloma względami wiedliśmy zupełnie inne życie, ale jakoś łączyła nas ta wyjątkowa i ekskluzywna więź. Pomogła nam się spotkać i tego dnia każdy z nas przypomniawszy drugiemu o niezwyklej wartości przyjaźni. Wzruszył mnie entuzjazm, z którym Kim i jego ojciec mnie powitali, z którym otwarcie i szczerze opowiedzieli swoją historię. Wyjątkowy dar Kima nie leży tylko w jego mózgu, ale również w jego sercu, ludzkich uczuciach i zdolności do wpływania na życie innych ludzi w prawdziwie wyjątkowy sposób. Spotkanie z Kimem Peekiem było jedną z najszcześniejszych chwil w moim życiu.



Rejkiawik, Nowy Jork, dom

Po powrocie do Wielkiej Brytanii twórcy programu przygotowali dla mnie ostatnie wyzwanie: w ciągu tygodnia nauczyć się przed kamerami nowego języka od podstaw. Przez kilka miesięcy badali rozmaite możliwości, a - następnie wybrali islandzki – fleksyjny język, który od XIII wieku nie uległ prawie żadnym zmianom i można go porównać do języka staroangielskiego. Dziś posługuje się nim około 300 tysięcy ludzi. Poniżej zamieszczam pisemny przykład islandzkiego, aby pokazać czytelnikowi, jak wygląda ten język:

Mörður hér maður er kallaður var gígja. Hann var sonur Sighvats hins rauða. Hann bjó á Velli á Rangárvöllum. Hann var ríkur höfðingi og málafylgjumaður mikill og svo mikill lögmaður að engir þóttu löglegir dómar dæmdir nema hann væri við. Hann átti dóttur eina er Unnur hét. Hún var væn kona og kurteis og vel að sér og þótti sá bestur kostur á Rangárvöllum.

Był mąż, Mord, noszący przydomek Skrzypki. Był on synem Sighwata Rudego i mieszkał w Woll na Rangerwellir. Był to potężny, życzliwy dla przyjaciół wódz. Często służył druhom pomocą w zawikłanych procesach, a był tak znakomitym znawcą prawa, że żadnego wyroku nie uznano za prawomocny, jeżeli Mord nie był obecny na sądach. Miał on jedyną córkę, której było na imię Unn. Była piękna i pełna wdzięku, a przy tym obdarzona niezwykłym rozumem. Powszechnie uważano ją za najbogatszą dziedziczkę w całej okolicy Rangerwellir.

Jest to fragment z *Brennu-Njáls Saga* (*Sagi o Njalu*^[6]), najbardziej znanej islandzkiej sagi, pochodzącej z XIII wieku.

Język islandzki uważany jest za bardzo skomplikowany i trudny do nauki – jest w nim, na przykład, co najmniej dwanaście różnych słów na określenie każdej cyfry od jednego do czterech, w zależności od kontekstu zdania. Rzeczowniki w islandzkim występują w jednym z trzech rodzajów: męskim, żeńskim lub nijakim. Przymiotniki zmieniają się w zależności od rodzaju rzeczownika, który opisują: *Gunnar er svangur* (Gunnar jest silny), lecz *Helga er svöng* (Helga jest silna). Co więcej, Islandczycy nie zapożyczają słów z innych języków, jak czynią to na przykład Anglicy, ale tworzą własne słowa na określenie współczesnych przedmiotów i zjawisk: *tölva* znaczy „komputer”, a *sími* telefon (od staroislandzkiego słowa oznaczającego „nić”).

We wrześniu twórcy programu w końcu oznajmili o swoim wyborze w paczce, którą przysłano mi do domu. Zawierała kieszonkowy słownik, książkę dla dzieci, dwa podręczniki i kilka gazet. Ze względów finansowych producenci zdecydowali, że na Islandii spędzimy tylko cztery dni, a nie cały tydzień, jak wcześniej planowano, i dlatego materiały do nauki przekazano mi kilka dni przed podróżą. Pojawiła się jednak pewna trudność: słownik, który otrzymałem, był bardzo mały, więc rozszyfrowanie przysłanych mi tekstów okazało się prawie niemożliwe. Nie byłem również zadowolony z tego, że pierwotnie planowany tydzień na Islandii zamienił się w cztery dni, ponieważ kulminacją językowego wyzwania miał być wywiad na żywo w telewizji w Reykjavíku przeprowadzony całkowicie w języku islandzkim. Aby podołać wyzwaniu, potrzebowałem tak wiele kontaktu z językiem mówionym, jak to tylko możliwe.

W zaistniałej sytuacji wykorzystałem jak najlepiej otrzymane materiały. Nauczyłem się podstawowych wyrażeń i słówek z podręczników i ćwiczyłem budowanie własnych zdań na podstawie porządku słów, który byłem w stanie wyłapać z różnych tekstów. Do jednej z książek dołączona była płyta CD, więc próbowałem jej słuchać, by poznać akcent i wymowę, ale miałem poważne problemy z koncentrowaniem się, ponieważ moja uwaga włącza się i wyłącza podczas słuchania. W rozmowie z drugą osobą potrafię słuchać bardzo uważnie, dokładając wszelkich starań, by przez cały czas utrzymywać wysoki poziom koncentracji, jednak przy słuchaniu płyty

CD jest to dla mnie o wiele trudniejsze, być może dlatego, że nie muszę się starać, by bez przerwy być zaangażowanym. Te trudności spowodowały, że w dniu odlotu poczułem duże zniechęcenie.

Znowu nadszedł czas pożegnania z Neilem, choć rozstawaliśmy się tylko na kilka dni. Przyjechała po mnie taksówka i zawiozła na lotnisko, gdzie spotkałem się z ekipą filmową. Na szczęście na lotnisku było spokojnie i kręciło się tam tylko kilka osób. Zabrałem ze sobą książki, ale miałem nadzieję, że dostanę lepsze materiały do nauki, gdy przylecimy do Islandii. Lot nie był długi, a większość czasu spędziłem, patrząc przez okno i czytając historie w islandzkiej książce dla dzieci.

Islandia jest jednym z najmniejszych państw na świecie, liczba jej mieszkańców wynosi nieco ponad ćwierć miliona. Leży w północnej części Oceanu Atlantyckiego, na południe od koła podbiegunowego północnego, na gorącym obszarze Grzbietu Śródatlantyckiego i jest niesamowicie aktywna geologicznie. Znajduje się tam wiele wulkanów i gejzerów, a energia geotermalna ogrzewa domy wielu Islandczyków. W społeczeństwie nie istnieje zjawisko analfabetyzmu, a literatura i poezja cieszą się uznaniem. W Islandii publikuje się więcej książek, czasopism i periodyków *per capita* niż w jakimkolwiek innym kraju na świecie.

Po przybyciu na lotnisko w Keflavíku autobusem pojechaliśmy do największego miasta Islandii, Reykiawiku (zamieszkane przez nieco ponad 110 tysięcy osób miasto określane jest jako *Stærsta smáborg i heimi* – największe małe miasto na świecie).

Zbliżał się koniec lata, jednak pogoda wciąż była przyjemna: powietrze było chłodne i rześkie, ale nie mroźne. Przez długie lśniące szyby po obu stronach autobusu oglądaliśmy w czasie podróży wiszące na niebie wielkie połacie srebrnoszarych chmur, a pod nimi pas surowego, metalicznoniebieskiego krajobrazu w oddali. Zbliżaliśmy się do Reykiawiku, a ja obserwowałem, jak światło dnia słabnie i rozprasza się. Zamknąłem oczy i zacząłem liczyć po islandzku: *einn, tveir, þrír, fjórir...*

W hotelu po raz pierwszy spotkałem się z moją nauczycielką islandzkiego, Sigríður, która poprosiła, by zwracać się do niej krótko „Sirrý”. Sirrý pracowała z zagranicznymi studentami jako wykładowczyni

na miejscowym uniwersytecie, ale powiedziała, że nigdy nie słyszała o osobie, która próbowałaby nauczyć się islandzkiego w tak krótkim czasie, i wątpiła, czy to możliwe. W dużej torbie podróżnej Sirrý nosiła mnóstwo materiałów do nauki. Gdy tylko nadarzyła się okazja, otwieraliśmy książki i czytaliśmy na głos, a ona sprawdzała moją wymowę i pomagała mi ze słowami, których nie rozumiałem.

Wiele czytałem i dzięki temu rozwinąłem intuicyjne wyczucie gramatyki tego języka. Jedną z rzeczy, które zauważyłem, było to, że słowa zdawały się wydłużać, im później pojawiały się w zdaniu. Na przykład słowo *bók* (książka) jest często dłuższe, gdy pojawia się na początku zdania: *Bókin er skrifuð á íslensku* (Ta książka jest napisana po islandzku) a jeszcze dłuższe, gdy pojawia się na końcu zdania: *Ég er nýbúinn að lesa bókina* (Właśnie skończyłem czytać tę książkę). Innym przykładem jest słowo *borð* (stół): *Borðið er stórt og þungt* (Ten stół jest duży i ciężki) i *Orðabókin var á borðinu* (Ten słownik był na tym stole). Na podstawie przestrzennego umieszczenia słowa w zdaniu wiedziałem, jaką formę gramatyczną prawdopodobnie ono przyjmie.

Najcięższa w wyzwaniu okazała się presja czasu. Wiele z tego krótkiego okresu, który miałem na naukę, spędziłem w samochodzie, odwiedzając różne miejsca, gdzie mnie filmowano – sprawę pogarszał jeszcze fakt, że Sirrý cierpiała na chorobę lokomocyjną. Oczywiście zwiedzanie różnych miejsc miało swoje dobre strony – widoki w Islandii zapierają dech w piersiach, a oprócz tego miałem możliwość oddychania tą atmosferą, co byłoby niemożliwe w klasie czy pokoju hotelowym.

Jeden dzień spędziliśmy przy Gullfoss, czyli złotym wodospadzie. Usytuowana na polodowcowej rzece Hvita ogromna biała kaskada spada 32 metry do wąskiego kanionu, głębokiego na 70 metrów i długiego na 2,5 kilometra. Gdy patrzyłem z boku, delikatna mżawka, nieustannie wyrzucana w przesyczone wilgocią powietrze przypominała mi to, jak widzę w głowie liczbę osiemdziesiąt dziewięć. Nie było to odosobnione wrażenie. Chroniąc się przed deszczem w małej, brudnej, stworzonej przez wiatr grocie nieopodal, czułem, jakbym się wśliznął do czarnej pustki cyfry sześć. Nawet falujące krzywizny dalekich gór przywodziły mi na myśl

sekwencje liczb. To właśnie wtedy najbardziej czułem się w Islandii jak w domu.

Dzięki wycieczce do gorących źródeł w dolinie Haukadalur mogłem z bliska przyjrzeć się sławnym islandzkim gejzerom. Słowo „gejzer” pochodzi od islandzkiego czasownika *gjósa*, oznaczającego „tryskać”. Gejzery to rzadko spotykane zjawisko – na całym świecie istnieje ich tylko około tysiąca. Aktywność gejzeru wywoływana jest przez wody powierzchniowe, które przez szczeliny stopniowo sączą się w dół i zbierają w jaskiniach. Otaczające uwięzioną wodę skały wulkaniczne ogrzewają ją do temperatury około 200 stopni Celsjusza, w wyniku czego zamienia się ona w parę wodną i wydiera się do góry i na zewnątrz. Temperatura wody, która pozostała w gejzerze, spada poniżej temperatury wrzenia i erupcja się kończy; rozgrzane wody powierzchniowe zaczynają przesączać się w dół do zbiornika i cały cykl zaczyna się od nowa.

Zafascynowany, oglądałem wybuch gejzeru. Na początku turkusowa woda zaczyna wrzeć, potem pojawiają się duże bańki, które pękają, wypychając parującą wodę w górę. Sam wybuch jest nagły i gwałtowny, wyrzuca potężny słup lśniącej wody na wysokość dziesięciu metrów i wyżej. Powietrze wokół gejzeru jest przesiąknięte zapachem siarki, podobnym do woni zgniłych jaj – na szczęście wiatr unosi go ze sobą.

Bardzo męczyły mnie długie podróże pomiędzy filmowaniem różnych scen i zawsze z radością witałem przerwy na posiłki. Podczas gdy ekipa wcinała hamburgery z frytkami, ja próbowałem tradycyjnych islandzkich potraw, jak *kjötsúpa* (zupę z jagnięciny) i *plokkfiskur* (rodzaj rybnego gulaszu). W miarę możliwości rozmawiałem z Sirrý wyłącznie po islandzku, robiąc jednocześnie notatki w dużym czarnym notesie, który zawsze ze sobą nosiłem.

Kulminacją wyzwania był telewizyjny wywiad na żywo w popularnym programie publicystycznym *Kastljós* (Światło reflektorów). Przed wywiadem denerwowałem się, ale nie traciłem pewności siebie, choć nie miałem pojęcia, jakie pytania zadadzą mi prowadzący. Przez prawie kwadrans rozmawiałem z dwoma prezenterami wyłącznie po islandzku przed widownią składającą się z tysięcy osób. Było to przedziwne uczucie

siedzieć przed kamerami i rozmawiać w języku, z którym zapoznawałem się jedynie przez ostatni tydzień. Jeszcze dziwniejsze było, że wszystko rozumiałem. Przez tydzień oglądałem i słuchałem różnych Islandczyków rozmawiających w swoim ojczystym języku i wydawało mi się to u nich takie proste i naturalne, jak gdyby oddychali islandzkim. Natomiast ja mówiłem wolniej i wkładałem w to więcej wysiłku. Wyjaśniłem prowadzącym program: *Ég er með islensku asma* (Mam islandzką astmę).

Udzieliłem również innych wywiadów lokalnym mediom w Reykjavíku i pojawiłem się w największym islandzkim telewizyjnym programie porannym, gdzie również mówiłem po islandzku. W tym programie wystąpiła także Sirrý, która bardzo pochlebnie wyrażała się o moich postępach przez ten tydzień, gdy uczyłem się języka. Sirrý udzieliła również wywiadu po angielsku w naszym programie dokumentalnym i powiedziała, że nigdy wcześniej nie miała takiego ucznia jak ja i że „nie jestem człowiekiem”! Byłem jej bardzo wdzięczny, szczególnie za pomoc i zachętę, które były dla mnie bezcenne.

Podczas podróży powrotnej z Reykjavíku, gdy kręcenie filmu dokumentalnego zbliżało się ku końcowi, miałem okazję, by przemyśleć, jak daleko zaszedłem. Jeszcze kilka lat wcześniej wydawałoby się niemożliwe, że mogę prowadzić takie niezależne życie: latać i podróżować po kraju tak ogromnym jak Stany Zjednoczone, spotykać rozmaitych ludzi, odwiedzać przeróżne miejsca i być na tyle pewnym siebie, by dzielić swoje najskrytsze myśli i przeżycia ze światem. Również wizyta w Islandii była niesamowita i wzruszająca, czułem się zaszczycony, że Islandczycy przyjęli mnie tak ciepło i entuzjastycznie. To było najdziwniejsze: te same zdolności, które w dzieciństwie i młodości oddzieliły i odizolowały mnie od rówieśników, w życiu dorosłym właściwie pomogły mi nawiązać kontakt z innymi ludźmi i zawrzeć nowe przyjaźnie. Te kilka miesięcy było dla mnie niewiarygodne, a to wcale nie był koniec.

Nadeszła wiosna, pewnego dnia wczesnym rankiem zadzwonił telefon i zostałem poinformowany, że zaproszono mnie do udziału w prowadzonym przez Davida Lettermana programie telewizyjnym *Late Show with David*

Letterman. Wszystko zostało zorganizowane przez kanał Discovery Science, który kilka tygodni wcześniej po raz pierwszy wyświetlił film *Geniusz pamięci* w Stanach Zjednoczonych. Dokument został przyjęty bardzo pozytywnie, a „New York Times” zamieścił szczegółową recenzję. Choć nigdy wcześniej nie widziałem programu Lettermana, słyszałem o nim i wiedziałem, że był popularny i nadawano go od dawna. Zespół kanału Discovery Science zgodził się pokryć koszty podróży do Nowego Jorku na jeden dzień filmowania i zorganizowano mi rozkład zajęć. Był tylko jeden kruczek: musiałem wylecieć tego samego popołudnia, ponieważ wywiad zaplanowano na następny dzień.

Na szczęście Neil pracował w domu, więc pomógł mi się spakować i odwiózł mnie na lotnisko. Wszystkie rezerwacje zostały szybko dokonane przez internet, musiałem zatem jedynie się przygotować i jechać. Dobrze, że wszystko zdarzyło się tak niespodziewanie, ponieważ nie miałem czasu, by się niepokoić, a musiałem skoncentrować się na rutynowych sprawach, jak umycie się, ubranie i spakowanie. W samochodzie w drodze na lotnisko Neil starał się, bym nie tracił spokoju, mówiąc, że powinienem cieszyć się tym przeżyciem i po prostu być sobą.

Fotel w samolocie był duży i wygodny, więc przez większość czasu mogłem spać, co bardzo mi pomogło. Po wylądowaniu na lotnisku im. J. F. Kennedy’ego podążyłem za innymi pasażerami do wyjścia, a następnie poprzez liczne przejścia aż do długich kolejek przed kontrolą bezpieczeństwa i paszportów. Gdy nadeszła moja kolej, podszedłem do budki i podałem paszport. Mężczyzna po drugiej stronie szklanej szyby zapytał, jak długo planuję zostać w Ameryce, a ja odpowiedziałem: „Dwa dni”. Zdziwiony zapytał: „Tylko dwa dni?”, a ja skinąłem głową.

Patrzył na mnie uważnie przez chwilę, a następnie oddał mi paszport i przepuścił dalej. Po odebraniu bagażu udałem się do hali przylotów i zobaczyłem człowieka trzymającego tabliczkę z moim imieniem. Powiedziano mi, że kierowca będzie czekał na mnie na lotnisku JFK, więc podszedłem do niego, a on wziął moją torbę i poszliśmy do długiego, czarnego i bardzo lśniącego samochodu. Odwiózł mnie do hotelu przy alei Central Park South na Manhattanie. Jeszcze nie tak dawno byłbym

przerażony na myśl, że muszę sam wejść do hotelu, znaleźć drogę pomiędzy tymi wszystkimi pokojami o różnych numerach i starać się nie zgubić z kretesem. Jednak do tego czasu już tak przywykłem do hoteli, że nie był to żaden problem. Odebrałem klucze, wszedłem po schodach do swojego pokoju i poszedłem spać.

Następnego ranka spotkałem się z przedstawicielką zespołu kanału Discovery Science, Beth. Miała dopilnować, bym był odpowiednio ubrany do programu (czyli w rzeczy w odpowiednich kolorach, żadnej bieli ani pasków, na przykład) i bym przed nagraniem czuł się tak spokojnie i pewnie, jak to tylko możliwe. Szliśmy razem wzdłuż wielu długich gwarnych ulic do Ed Sullivan Theater, studia radiowego i telewizyjnego znajdującego się na ulicy Broadway pod numerem 1697, z którego to studia od dwunastu lat nadawano *Late Show*. Wydano mi przepustkę, a następnie powitała mnie ekipa tworząca program i zapoznałem się z jego rozkładem na ten dzień. Zapytałem, czy ktoś mógłby oprowadzić mnie po planie, bym czuł się pewnie, wychodząc przed kamery w czasie nagrania później tego popołudnia. Było to tylko kilka kroków zza kulis i jeden stopień w górę na główną scenę, gdzie miałem uścisnąć dłoń Davida i usiąść. Fotel był duży i miękki, ale w samym studiu panował chłód – dowiedziałem się, że David nalegał, by temperatura w pomieszczeniu wynosiła jedynie 14,4 stopni Celsjusza. Miałem tylko nadzieję, że w czasie programu nie będę zbytnio się trząsł.

Zjadłem lunch w hotelu i musiałem wrócić do studia na nagranie o 16.30. Zaprowadzono mnie do małego pomieszczenia i stamtąd oglądałem czołówkę programu w telewizorze umieszczonym na ścianie, a następnie zabrano mnie do charakteryzatorki. Włosie pędzla delikatnie i kojąco muskało moją skórę i o dziwo czułem się zrelaksowany, gdy zabrano mnie na plan i pokazano, gdzie mam stać, podczas gdy w programie nadeszła przerwa na reklamę. Następnie usłyszałem, jak David zapowiada publiczności, że się pojawię, a kierownik planu dał mi sygnał, bym wszedł. Z wcześniejszych przygotowań tego samego dnia pamiętałem, że gdy wyjdę i będę ścisnął dłoń Dawida, mam trzymać głowę podniesioną. Przypominałem sobie o utrzymywaniu kontaktu wzrokowego w czasie

rozmowy. Publiczność znajdowała się wystarczająco daleko za światłami planu, bym jej nie widział, a jedynie słyszał. Był to duży plus, ponieważ miałem poczucie, że David jest jedyną osobą, z którą rozmawiam. Zaczął poważnie, pytając o mój autyzm i ataki epilepsji w dzieciństwie i nawet pochwalił moje umiejętności społeczne, a publiczność natychmiast zaczęła bić brawo. W tym momencie zupełnie przestałem się denerwować. Gdy zacząłem opisywać swój rekord liczby pi, David przerwał i powiedział, jak bardzo lubi ciasto^[7], a ludzie zaczęli się śmiać. Poprosił mnie również, żebym powiedział, w jakim dniu tygodnia się urodził – a było to 12 kwietnia 1947 roku. Powiedziałem, że w sobotę i że jego sześćdziesiąte piąte urodziny w 2012 roku wypadną w czwartek. Publiczność głośno biła brawo. Pod koniec wywiadu David mocno uściśnął mi dłoń, a za kulisami wszyscy klaskali, gdy przechodziłem. Beth pogratulowała mi i powiedziała, że na ekranie telewizora wyglądałem na bardzo spokojnego i opanowanego. To przeżycie bardziej niż jakiekolwiek inne pokazało mi, że teraz naprawdę jestem w stanie poradzić sobie w życiu, robić sam rzeczy, które większość ludzi uważa za oczywiste, jak nagły wyjazd, samotny pobyt w hotelu czy spacer gwarną ulicą bez poczucia, że przytłaczają mnie otaczające obrazy, dźwięki i zapachy. Dumą napełniała mnie myśl, że wszystkie moje wysiłki nie były daremne, że doprowadziły mnie do punktu, o którym nie myślałem nawet w najśmielszych marzeniach.

Film dokumentalny *Geniusz pamięci* po raz pierwszy został wyemitowany w Wielkiej Brytanii w maju 2005 roku i zgromadził rekordową liczbę widzów. Od tej pory pokazano go lub sprzedano w ponad czterdziestu krajach na całym świecie, od Szwajcarii do Korei Południowej. Regularnie otrzymuję e-maile i listy od osób, które ten film wzruszył lub zainspirował – to ekscytujące, że moja historia pomogła tak wielu ludziom.

Również moja rodzina zareagowała na program bardzo pozytywnie. Ojciec oznajmił, że jest bardzo dumny z tego, co udało mi się osiągnąć. Odkąd w wyniku niedawnego upadku stał się częściowo niepełnosprawny, mieszka niedaleko domu, w specjalnie wyposażonym mieszkaniu, gdzie ma zapewnioną ciągłą opiekę medyczną i wsparcie. Neil i ja regularnie

odwiedzamy go w Londynie. Jego stan psychiczny ustabilizował się z upływem lat i ojciec nawet wykorzystał swoje doświadczenia, pisząc artykuły do gazetki miejscowej grupy wsparcia.

W czasie dorastania nie zawsze czułem silną więź emocjonalną z rodzicami czy rodzeństwem i nie odczuwałem wtedy żadnego braku z tego powodu – po prostu nie byli częścią mojego świata. Teraz jest inaczej: zdaję sobie sprawę, jak bardzo moja rodzina mnie kocha i jak wiele zawsze dla mnie robiła, a z upływem lat moje relacje z bliskimi stają się coraz lepsze. Dzięki miłości lepiej zrozumiałem wszystkie swoje uczucia, nie tylko do Neila, ale również do rodziny i przyjaciół oraz je zaakceptowałem. Mam dobry kontakt z matką – regularnie rozmawiamy przez telefon i lubię te nasze rozmowy. Wciąż odgrywa bardzo ważną rolę w moim życiu i jak zawsze mnie wspiera, zachęcając i dodając otuchy.

Większość moich braci i sióstr to młodzi dorośli ludzie, jak ja. W dzieciństwie nie przebywałem z nimi zbyt wiele, ale jako dorośli stopniowo zbliżamy się do siebie i dowiaduję się o wiele więcej o każdym z nich. Najbliższy mi wiekiem brat, Lee, pracuje jako inspektor kolejowy i jest w pewnym sensie uzależniony od komputera. Matka narzeka, że cały wolny czas spędza przed monitorem.

Moja siostra Claire jest na ostatnim roku studiów na uniwersytecie w Yorku, gdzie studiuje literaturę angielską i filozofię. Podobnie jak mnie, bardzo interesują ją słowa i język, a po skończeniu edukacji planuje zostać nauczycielką.

Mój drugi brat, Steven, wciąż wymaga znacznej pomocy rodziny ze względu na swój zespół Aspergera. Bierze leki na depresję, na którą często cierpią osoby ze spektrum zaburzeń autystycznych. Podobnie jak ja chodzi w kółko, gdy o czymś intensywnie myśli – w przydomowym ogrodzie wydeptał nawet koło na trasie swoich zwykłych spacerów. Steven jest gorliwym muzykiem, szczególnie interesują go instrumenty strunowe. Sam nauczył się grać na gitarze i lutni greckiej. Posiada również encyklopedyczną wiedzę o swoim ulubionym zespole muzycznym Red Hot Chili Peppers. Czasem rodzice narzekają na to, jak Steven się ubiera, bo lubi bardzo jaskrawe kolory (pomarańczowe buty, na przykład) i co tydzień

zmienia fryzurę. Nie uważam, żeby mieli się o co martwić, ponieważ myślę, że Steven wciąż chce odnaleźć siebie i wypróbowuje różne drogi, by pewniej czuć się w otaczającym go świecie. Mój brat pracuje jako wolontariusz w miejscowym sklepie dobroczynnym i obecnie ma obsesję na punkcie przekopnic, małych skorupiaków uważanych za najstarszy żyjący gatunek zwierząt na Ziemi. Steven to bardzo łagodna i troskliwa osoba, a ja jestem z niego dumny i z nadzieją patrzę w jego przyszłość.

Następny brat, Paul, jest rok młodszy od Stevena i pracuje jako ogrodnik. Wie prawie wszystko o roślinach: kiedy je siać, w którym miejscu ogrodu, jakiego rodzaju gleby każda z nich wymaga, jak dużo słońca i tak dalej. Gdy tylko potrzebuję jakiejś rady w sprawie mojego ogrodu, zawsze pytam Paula.

Bliźniaczki również są dorosłe: Maria, starsza o dziesięć minut, właśnie zdała kończące szkołę średnią egzaminy GCSE na same najwyższe oceny A. Podobnie jak Claire jest prawdziwym mołem książkowym i wiele czasu spędza na czytaniu. Natasha niedawno urodziła syna, Matthew – po raz pierwszy zostałem wujkiem. Postawiłem zdjęcie mojego siostrzeńca na kredensie w kuchni. Przypomina mi o cudzie życia i miłości.

W końcu moje dwie najmłodsze siostry, Anna-Marie i Shelley. Obie są głośnymi nastolatkami, zawsze w biegu. Shelley tak jak ja kocha książki, a szczególnie lubi dzieła Jane Austen i sióstr Brontë.

Zawsze jestem szczęśliwy, odwiedzając swoją rodzinę. Obecnie czuję się bliższy każdemu z nich bardziej niż kiedykolwiek w czasie dorastania. Patrząc wstecz, jestem im ogromnie wdzięczny za całą miłość, którą mi dali i wciąż dają. Ich wsparcie ogromnie przyczyniło się do wszelkich sukcesów, które odniosłem w życiu. Przy każdej wizycie z niecierpliwością czekam na nasze rozmowy o książkach i słowach (i często, nieuchronnie, o Red Hot Chili Peppers) oraz na to, by posłuchać o ich przeżyciach oraz planach i marzeniach na przyszłość. Czuję się naprawdę zaszczycony, że jestem częścią ich życia.

Większość dni spędzam w domu. To tu czuję się najspokojniej, najpewniej i najbezpieczniej, ponieważ otacza mnie porządek i rutyna. Rano zawsze

najpierw myję zęby, a potem biorę prysznic. Szczotkuję każdy ząb z osobna, a następnie płuczę usta wodą. Do mycia używam naturalnych olejków – z drzewka herbacianego i jojoby – by mieć czystą i miękką skórę, mydło jest zbyt wysuszające i wywołuje u mnie swędzenie. Na śniadanie jem owsiankę – uwielbiam czuć na języku fakturę płatków owsianych. Przez cały dzień piję ciepłą herbatę z odtłuszczonym mlekiem, to mój ulubiony napój.

Często gotuję, ponieważ to oparte na dotyku doświadczenie pomaga mi się zrelaksować. Przepis jest jak matematyczny wzór lub równanie – wynik (czy to ciasto, czy zapiekanka) jest sumą jego części. Składniki przepisu są ze sobą związane: jeśli zmniejszysz o połowę lub podwoisz ilość jednego składnika, musisz pamiętać, by zmniejszyć o połowę lub podwoić także ilość pozostałych. Jako przykład podaję tu podstawowy przepis na biszkopt dla sześciu osób:

6 jaj,
340 g mąki z dodatkiem proszku do pieczenia,
340 g masła,
340 g cukru pudru.

Co można również zapisać w ten sposób:

6 jaj + 340 g mąki z dodatkiem proszku do pieczenia + 340 g masła + 340 g cukru pudru = ciasto (dla 6 osób)

By zrobić ciasto nie dla sześciu, a dla trzech osób, zmieniam wynik na: ciasto dla 3/6 osób, co równa się $\frac{1}{2}$, więc dzielę na pół ilość każdego składnika równania (3 jaja, 170 g mąki... itd.), by uzyskać nowy wynik.

Wiele naszych domowych posiłków przyrządzam na podstawie przepisów, które zbieram z książek lub od rodziny czy przyjaciół. Pieczemy własny chleb i robimy własne masło orzechowe do kanapek na lunch. Czasem robię mleko owsiane lub jogurt na przekąskę. Przygotowujemy również pyszne niskotłuszczowe ciasto do szarlotek, a wypiekamy je z jabłek z jabłoni w naszym ogrodzie. Z części jabłek Neil robi świeży cydr. Neil często pomaga mi w kuchni, a wspólna praca jest sposobem ćwiczenia

umiejętności skutecznego współdziałania i komunikacji, jako części pracy zespołowej.

W ogrodzie mamy również duży warzywnik, gdzie uprawiamy cebulę, groszek, ziemniaki, pomidory, kapustę, sałatę i zioła, takie jak mięta, rozmaryn i szalwia. Lubię pracować w ogrodzie ze względu na ciszę, świeże powietrze i ciepło słoneczne oraz dlatego, że lubię słuchać śpiewu ptaków i patrzeć, jak owady ostrożnie pełzają wokół drzew i roślin. Praca w ogrodzie to dobre ćwiczenie fizyczne i forma relaksu, wymaga cierpliwości i poświęcenia, dzięki niej czuję, jak zacieśnia się moja więź z otaczającym światem.

Duża samowystarczalność daje silne poczucie spokoju i zadowolenia. Zupa przygotowana ze świeżo zerwanych i samodzielnie wyhodowanych pomidorów jest o niebo smaczniejsza niż cokolwiek kupionego w sklepie. Moi przyjaciele naprawdę lubią niepowtarzalne kartki urodzinowe, które robię dla nich, wykorzystując zwykły brystol, ołówek i kredki. Nie wydajemy wiele pieniędzy w sklepach spożywczych, ponieważ planuję wszystkie nasze posiłki na wiele tygodni naprzód i ustaliam budżet, zanim pójdziemy po zakupy. Około jednej trzeciej jedzenia przeznaczonego do konsumpcji w Wielkiej Brytanii kończy w śmietniku, częściowo dlatego, że wielu ludzi kupuje więcej, niż potrzebuje.

Przez krótki czas co tydzień robiliśmy zakupy w lokalnym supermarkecie, jak większość ludzi. Jednak często się wyłączałem, robiłem się niespokojny i niekomunikatywny – tak działały na mnie wielkość sklepu, duża liczba kupujących i wiele bodźców w otoczeniu. Supermarkety są również często przegrzane, a dla mnie to problem, ponieważ gdy jest mi zbyt ciepło, zaczyna mnie swędzieć skóra i czuję się niekomfortowo. Do tego migoczące świetlówki, od których bolą mnie oczy. Rozwiązaniem okazały się zakupy w mniejszych lokalnych sklepach, w których czuję się o wiele lepiej, a oprócz tego takie sklepy często mają niższe ceny i wspierają małą przedsiębiorczość w naszej społeczności.

Gdy jedziemy na zakupy, Neil zawsze prowadzi, ponieważ ja nie potrafię. Po wielu lekcjach dwa razy podchodziłem do egzaminu praktycznego i dwa razy oblałem. Ludzie ze spektrum zaburzeń

autystycznych często potrzebują dodatkowego doświadczenia, praktyki i koncentracji w czasie nauki jazdy. To wynik tego, że zwykle nie mamy zdolności przestrzennych, niezbędnych do prowadzenia pojazdu. Równie ciężko jest nam ocenić, jak mogą zachować się inni użytkownicy drogi, i zrozumieć, że nie wszyscy kierowcy zawsze przestrzegają wszystkich przepisów. Na szczęście Neil nie ma nic przeciwko kierowaniu za nas dwóch.

W przyszłości chciałbym zrobić kilka rzeczy. Jedną z nich to dalsza pomoc ważnym dla mnie organizacjom dobroczynnym, takim jak brytyjskie Narodowe Stowarzyszenie na rzecz Autyzmu i Narodowe Stowarzyszenie na rzecz Epilepsji. Gdy w imieniu organizacji dobroczynnej wygłaszam przemówienie przed tłumem ludzi, siadam lub stoję w taki sposób, bym widział siedzącego wśród słuchaczy Neila, i wyobrażam sobie, że mówię tylko do niego. Nie denerwuję się wtedy tak bardzo.

Planuję również nadal pracować z naukowcami i badaczami, by dowiedzieć się więcej o swoim mózgu i lepiej poznać, jak pracuje. Po rekordzie liczby pi i filmie dokumentalnym *Geniusz pamięci* naukowcy z całego świata zasypali mnie ofertami badań moich zdolności. W 2004 roku w Wisconsin w Stanach Zjednoczonych poznałem czołowego eksperta syndromu sawanta na świecie, doktora Darolda Trefferta. To w czasie spotkania z nim dowiedziałem się, że odpowiadam kryteriom diagnostycznym tego schorzenia. Od tego momentu regularnie wnoszę swój wkład do rozmaitych naukowych projektów badawczych. Oto dwa przykłady ostatnich badań:

W 2004 roku profesor Daniel Bor z Medical Research Council Cognition and Brain Sciences Unit (jednostki Medycznej Rady Badawczej do spraw Nauk o Kognitywizmie i Mózgu) w Cambridge dokonał analizy mojego zakresu pamięci liczb – umiejętności przetwarzania sekwencyjnej informacji numerycznej i przywoływania jej w odpowiednim porządku. Na każdą część testu sadzano mnie przed ekranem komputera, na którym po kolei wyświetlano sekwencje liczb, po jednej liczbie na pół sekundy. Po każdej sekwencji miałem napisać liczby na komputerze. Mój odnotowany zakres pamięci liczb to 12 elementów, czyli dwa razy więcej niż normalny

zakres 5–7 elementów. Gdy komputer wyświetlał liczby, którym losowo dobrano kolory, by zobaczyć, czy mają wpływ na moją synestezję, mój wynik spadł do 10–11 elementów. Profesor Bor powiedział, że nigdy wcześniej nie badał nikogo, kto miałby zakres pamięci liczb powyżej 9 i że mój wynik jest niespotykane rzadki.

Kolejny eksperyment został przeprowadzony latem 2005 roku przez Neila Smitha, profesora lingwistyki University College w Londynie. Miał on pokazać, jak przetwarzam określone rodzaje konstrukcji zdaniowych. Wszystkie zdania zawierały to, co językoznawcy nazywają „negacją metalingwistyczną”, gdzie negacja w zdaniu nie zawiera się w słowach, lecz w sposobie wyrażenia. Na przykład, większość ludzi doskonale zrozumie zdanie: „John nie jest wysoki, on jest olbrzymi” – John jest tak wysoki, że nie można go określić po prostu jako wysokiego. Ja jednak zrozumiałem to rozróżnienie dopiero wtedy, gdy zostało mi dokładnie wytłumaczone. Eksperyment wykazał, że takie zdania są dla mnie sprzeczne i ciężko mi je poprawnie zanalizować. To powszechny problem wśród osób ze spektrum zaburzeń autystycznych ze względu na dosłowność naszego myślenia i rozumienia.

Jest jeszcze jeden sposób, w który, mam nadzieję, moje zdolności mogłyby pomóc innym ludziom w przyszłości, a mianowicie szersze popularyzowanie różnych metod nauki. Weźmy wizualne pomoce naukowe – przynoszą one korzyść zarówno wielu „neurotypowym” uczącym się, jak i tym ze spektrum zaburzeń autystycznych. Na przykład zaznaczanie różnymi kolorami rzeczowników, czasowników i przymiotników może być prostym i skutecznym wprowadzeniem do gramatyki. Podobnie, w stworzonych przeze mnie kursach językowych online na mojej stronie w nowych słówkach litery mają różne wielkości, by nadać każdemu słowu unikalny kształt. Litery o małej częstotliwości występowania, jak q, w, x i z są małe; te o średniej częstotliwości, jak b, c, f i h są standardowej wielkości; a litery o wysokiej częstotliwości (samogłoski i takie spółgłoski jak l, r, s i t) są największe. Niemieckie słowo *zerquetschen* (zgniatać) jest więc przedstawione jako *zerquetschen*, francuskie słowo *vieux* (stary) jako *vieux*, a hiszpańskie *conozco* (wiem) jako *conozco*.

Moje aspiracje w życiu osobistym są naprawdę proste: nadal ciężko pracować w moim związku z Neilem, wciąż ćwiczyc umiejętności komunikacji, uczyć się na własnych błędach i jak najpełniej przeżywać każdy dzień. Mam również nadzieję, że jeszcze bardziej zbliżę się do swojej rodziny i przyjaciół i że dzięki tej książce poznają mnie i rozumieją choć odrobinę lepiej.

Wciąż doskonale pamiętam, czego doświadczałem jako nastolatek, leżąc na podłodze w swoim pokoju i patrząc w sufit. Próbowałem wyobrazić sobie wszechświat, a konkretnie zrozumieć, czym jest „wszystko”. W głowie podróżowałem do granic istnienia i patrzyłem poza nie, zastanawiając się, co znajdę. W tym momencie poczułem się naprawdę źle i serce zaczęło mi mocno bić, ponieważ po raz pierwszy zrozumiałem, że myśl i logika są ograniczone i doprowadzą nas tylko do pewnego punktu. Przeraziła mnie ta świadomość i minęło dużo czasu, nim się z tym pogodziłem.

Wielu ludzi ze zdziwieniem przyjmuje wiadomość, że jestem chrześcijaninem. Wyobrażają sobie, że autyzm utrudnia lub uniemożliwia wiarę w Boga i zgłębianie kwestii duchowych. Oczywiście to prawda, że przez zespół Aspergera trudniej mi odczuwać empatię i myśleć abstrakcyjnie, ale to nie znaczy, że nie myślę o głębszych kwestiach dotyczących życia i śmierci, miłości i związków. W rzeczywistości wiele osób cierpiących na autyzm czerpie korzyści z wiary i duchowości. Na przykład nacisk, jaki religia kładzie na rytuały, jest dużą pomocą dla osób ze spektrum zaburzeń autystycznych, które potrzebują stabilności i konsekwencji. W rozdziale swojej autobiografii zatytułowanym „Stairway to Heaven: Religion and Belief” (Schody do nieba: religia i wiara) Temple Grandin, autystyczna pisarka i profesor nauk o zwierzętach opisuje swoje rozumienie Boga jako porządkującej siły we wszechświecie. Jej wierzenia religijne wynikają z doświadczeń z pracy w przemyśle rzeźniczym i przekonania, że w umieraniu musi być coś świętego.

Podobnie jak w przypadku wielu osób cierpiących na autyzm, moja aktywność religijna ma przede wszystkim charakter intelektualny, a nie społeczny czy emocjonalny. W szkole średniej nie interesowała mnie

edukacja religijna i z lekceważeniem odnosiłem się do idei Boga czy korzyści, jakie religia mogłaby wnieść w życie ludzi. Działo się tak, ponieważ Bóg nie był czymś, co mógłbym zobaczyć, usłyszeć lub poczuć, a także dlatego, że argumenty religijne, o których czytałem i słyszałem, były dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Punktem zwrotnym było dla mnie odkrycie dzieł G. K. Chestertona, angielskiego pisarza i dziennikarza, który na początku XX wieku wiele pisał o swoim chrześcijaństwie.

Chesterton był niezwykłym człowiekiem. W szkole nauczyciele określali go jako marzyciela i osobę żyjącą „nie na tym planie, co reszta z nas”. Jako nastolatek założył z przyjaciółmi klub dyskusyjny, gdzie czasem rozprawiał o jakiejś idei godzinami – pewnego razu z bratem Cecilem dyskutowali przez osiemnaście godzin i trzynaście minut. Potrafił z pamięci cytować całe rozdziały z Dickensa i innych autorów, pamiętał fabuły wszystkich dziesięciu tysięcy powieści, które ocenił jako recenzent wewnętrzny w wydawnictwie. Jego sekretarze opowiadali, że potrafił dyktować jeden esej i równocześnie pisać ręcznie kolejny, na zupełnie inny temat. Jednak zawsze gubił się w terenie, tak pochłonięty swoimi myślami, że czasem musiał wysyłać telegram do swojej żony, by pomogła mu wrócić do domu. Był również zafascynowany codziennymi rzeczami i zjawiskami, które go otaczały, i tak pisał w liście do żony: „Nie sądzę, żeby istniał ktoś, komu rzeczy, będąc sobą, sprawiają tak dziką przyjemność, jak mnie. Ekscytuje mnie i upaja zadziwiająca wilgotność wody. Ognistość ognia, stalowość stali, niewypowiedziana błotnistość błota”. Możliwe, że Chesterton był wysokofunkcjonującą osobą cierpiącą na autyzm – z pewnością czytając o jego doświadczeniach i pomysłach, zawsze czułem, że jest mi bliski.

Jako nastolatek czytałem Chestertona i to pomogło mi osiągnąć intelektualne zrozumienie Boga i chrześcijaństwa. Idea Trójcy, Boga jako żyjącego i kochającego związku, była czymś, co mogłem sobie wyobrazić i zrozumieć. Fascynowała mnie również idea wcielenia Chrystusa, Boga, który objawia się światu w namacalnej ludzkiej formie jako Jezus Chrystus. Mimo to dopiero w wieku dwudziestu trzech lat zdecydowałem się pójść do pobliskiego kościoła na kurs, gdzie poznałem podstawy chrześcijaństwa

w czasie cotygodniowych spotkań towarzyskich. Każdego tygodnia przychodziłem na spotkanie i zamęczałem innych członków grupy, zadając pytanie za pytaniem. Nie interesowała mnie modlitwa o pomoc czy słuchanie o doświadczeniach innych osób, tylko odpowiedzi na moje pytania. Na szczęście Chesterton odpowiedział na każde z nich w swoich książkach. W Boże Narodzenie 2002 roku przyjąłem wiarę chrześcijańską.

Mój autyzm czasem utrudnia mi zrozumienie, jak inni ludzie mogą się czuć lub co mogą myśleć w danej sytuacji. Dlatego moje wartości moralne oparte są bardziej na ideach, które są dla mnie logiczne i zrozumiałe i które dobrze przemyślałem, a nie na umiejętności „postawienia się w czyjejs sytuacji”. Do każdego człowieka odnoszę się z życzliwością i szacunkiem, ponieważ wierzę, że każdy z nas jest wyjątkowy i stworzony na obraz Boga.

Nie chodzę często do kościoła, ponieważ mogę poczuć się niekomfortowo, gdy wokół mnie siedzi lub stoi dużo ludzi. Kilka moich pobytów w kościele było jednak dla mnie ciekawym i poruszającym doświadczeniem. Architektura świątyń często jest złożona i piękna, naprawdę podoba mi się duża przestrzeń nad głową, gdy patrzę na wysokie sufity. Jako dziecko lubiłem słuchać, jak ludzie śpiewają pieśni religijne. Muzyka zdecydowanie pomaga mi doświadczać uczuć, które można opisać jako religijne, jak jedność i transcendencja. Najbardziej lubię pieśń *Ave Maria*. Za każdym razem, gdy ją słyszę, czuję, jak strumień muzyki szczelnie otula całego mnie.

Niektóre z moich ulubionych historii pochodzą z Biblii, na przykład opowieść o Dawidzie i Goliacie. Wiele z nich ma symboliczny i obrazowy język, który potrafię zwizualizować i który pomaga mi zrozumieć narrację. W Biblii jest wiele pięknych i inspirujących ustępów, lecz ja szczególnie lubię następujący fragment z Pierwszego Listu do Koryntian: „Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest. Miłość nie zazdrości, nie szuka poklasku, nie unosi się pychą; nie dopuszcza się bezwstydu, nie szuka swego, nie unosi się gniewem, nie pamięta złego; nie cieszy się z niesprawiedliwości, lecz współweseli się z prawdą. Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma. Miłość nigdy nie ustaje.

Tak więc trwają wiara, nadzieja, miłość – te trzy: z nich zaś największa jest miłość”^[8].

Mówi się, że raz na jakiś czas każdy przeżywa chwilę doskonałości, doświadcza zupełnego spokoju i pełni, gdy na przykład stoi na szczycie wieży Eiffla lub podziwia spadającą gwiazdę wysoko na nocnym niebie. Ja nie mam zbyt wielu takich chwil, ale Neil mówi, że to dobrze, bo właśnie ta rzadkość czyni je tak wyjątkowymi. Ostatnia taka chwila zdarzyła mi się w pewien weekend zeszłego lata w domu – często doświadczam ich w domu – po posiłku, który przygotowałem i zjadłem z Neilem. Siedzieliśmy razem w salonie, syci i szczęśliwi. Nagle doświadczyłem pewnego rodzaju samozapomnienia i na krótką, doskonałą chwilę zniknął cały mój niepokój i skrępowanie. Odwróciłem się do Neila i zapytałem, czy miał to samo odczucie, a on odpowiedział, że tak.

Wyobrażam sobie te chwile jako odłamki czy odpryski rozrzucone na przestrzeni życia. Jeśli ktoś potrafiłby w jakiś sposób je zebrać i skleić w całość, otrzymałby doskonałą godzinę lub nawet doskonały dzień. Myślę, że w tej godzinie lub tym dniu byłby bliższy tajemnicy ludzkiego istnienia. To jakby zajrzeć do nieba.

Przypisy

[1] W języku angielskim *times* znaczy „pomnożony”, a *square* „podnieść do kwadratu” (przyp. tłum.).

[2] Lewis Carroll, *Alicja w Krainie Czarów*, przeł. Robert Stiller, Warszawa: Wydawnictwo Alfa, 1990, s. 11–12.

[3] Po angielsku *lemon* to cytryna (przyp. tłum.).

[4] *He's Got the Whole World in His Hands* (Cały świat spoczywa w Jego rękach) to pieśń religijna. *Oats, Peas, Beans and Barley Grow* (Rośnie owies, groszek, fasola i jęczmień) to brytyjska i amerykańska pieśń folkowa (przyp. tłum.).

[5] Angielska *sixth form*, czyli „szósta klasa” to trwająca dwa lata klasa przygotowująca do egzaminu dojrzałości (przyp. tłum.).

[6] *Saga o Njalu*, tłum. Apolonia Załuska-Stromberg, Poznań: Wydawnictwo Poznańskie, 1968, s. 25.

[7] Gra słów, gdyż po angielsku „pi” wymawia się tak samo jak „pie”, czyli ciasto (przyp. tłum.).

[8] Według Biblii Tysiąclecia, IV wydanie.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl
dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl
edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołówiec 11, 38-307 Sękowa
redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa
tel./fax +48 22 621 10 48
agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl
zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl
magda.jobko@czarne.com.pl

Dział marketingu: lukasz.sobolewski@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, honorata@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, info@d2d.pl

Wołówiec 2018

Wydanie II